

MAURYCY JOKAI

PORUSZYMY
Z POSAD ZIEMIĘ

POWIEŚĆ

przełożyła

A. CALLIER

~~259~~

»E pur si muove!«

~~Drówa M. PODSOŃSKA
Zakopane~~

~~GENEIGNAT CERNICHOWIANKA~~

TOM II

WARSZAWA

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1898



821.511.141-3



2636/II

Дозволено Цензурою.

Варшава, 9 Февраля 1898 г.



SM

13427

PORUSZYMY Z POSAD ZIEMIĘ!



~~Droga M. PODSOŃSKA~~

~~Zakład~~

~~PENSIONAT~~

PROCES.

Koloman czuł, że ta czarodziejka, siłą swego uroku, bierze go w niewolę i każe kręcić się dookoła siebie. Odurzony wyszedł z salonu, by na jej rozkaz przynieść ów proces fatalny.

Katinka wyrwała mu papiery z gwałtownym pośpiechem i coprędzej poczęła rozwiązywać sznurki, którymi plik aktów był związany; potem rozłożyła na stole papiery najróżnorodniejszego formatu i kobiecym obyczajem poczęła czytać od końca.

Zniechęcona rzuciła dokumenty...

— Toż to po łacinie!

Koloman pewnym był, że wygrał sprawę.

— Tak, z pewnością, to po łacinie.

— Jakże ja mam z tego co zrozumieć?

— Tego ja nie wiem.

Pani syknęła niecierpliwie.

— Ale bo też pan nic nie wiesz, doprawdy!

Potem próbowała czy jej się jednak nie uda czegośkolwiek przeczytać, możeby jakie poje-

dyncze choćby słowa? Ale i tą drogą nie doszła niczego.

Wtedy złożyła ręce jak do modlitwy i zaczęła prosić Kolomana bolesnym, wzruszającym głosem:

— Ale bo widzisz pan, bądź chociaż tak dobrym i odczytaj mi przynajmniej skargę i obronę po węgiersku! Przecież to tylko mnie boleć będzie, a nie pana!

— Nie mogę przyjmować na siebie tej odpowiedzialności.

Pani pochwyciła jego rękę i przemówiła szeptem:

— Ja tego nigdy nie powiem nikomu, żeś mi pan to czytał!

Koloman czuł, że ta kobieta zdolną byłaby go przekonać, by poszedł zabić gdzie kogo i potem zakopać go pokryjomu. Czuł, że niezadługo stanie się współuczestnikiem jej winy.

Jest coś dziwnie upajającego, coś co nas mimowoli pociąga, w tej myśli, że się jest współwinowajcą pięknej kobiety...

Koloman wpadł na podstęp. Rozumny człowiek umie przecież, tłómacząc z łacińskiego na węgierskie, nie tylko przybrać rzecz w inną sukienkę, ale jeszcze nadać jej sens całkiem różny.

To też wyszukał naprzód akt oskarżenia i począł się po nim przemykać, istotnie przemykać tylko, ślizgać po powierzchni. Przez wszystkie

skandaliczne wyrażenia jego zaledwie zdołał przejść suchą nogą.

Pani słuchała uważnie tych przeciw niej wymierzonych oskarżeń, wsparłszy nogę o podstawę stołu i ująwszy kolano splecionymi rękoma. Nagle wybuchnęła:

— A! pan mnie oszukujesz! Czytasz po węgiersku nie to, co tam jest po łacinie!

I przystąpiła do Kolomana i pochyliła się nad jego ramieniem, różowym paluszkim wskazując wiersz czytany:

— Co znaczy ten wyraz? A ten drugi jakie ma znaczenie? Tu przecież jest jakieś nazwisko, któregoś pan nie-wspomniał zupełnie? Co się z niem łączy?

Rezultatem tego śledztwa było to, że Koloman wreszcie skapitulował: poprosił jej, aby usiadła w fotelu, przyrzekając, że teraz wszystko już czytać będzie, tak jak jest napisane.

A były tam okropne rzeczy! Koloman czuł, że mu twarz płonie rumieńcem, kiedy je czytał oskarżonej, tej pięknej pani, z obliczem anioła...

No, a piękna pani co robiła, słysząc te zarzuty? Poziwiała okropnie, poziwiała jak piękny tygrys, ukazując oba rzędy liliowo-białych ząbków.

Koloman popatrzył zdumiony i drżący na tę czarodziejkę, co się nudziła, słysząc jak na nią miotają oszczerstwa.

Jemu te tajemnice, które przed nim odkrywał akt oskarżenia, tłoczyły piersi; dowiadywał się z niego, że ta urocza kobieta opuściła męża swego w noc poślubną i stawiano tam zarzut, że przyczyną jej przeniwierczego kroku był baron Balvandy.

Przy samem wymawianiu tego nazwiska serce napędziło biednemu Kolomanowi wszystką krew do twarzy, a pani — ziewnęła znów głośno.

Lektor odłożył na bok akt oskarżenia i spojrział na kobietę pytająco. Może czekał na wypowiedzenie jej zdania.

— Nudna i głupia gadanina — zawołała wreszcie z nagłym oburzeniem. — Przeczytaj mi pan teraz co pan Korcza na to odpowiedział, jak mnie też bronił?

O, odpowiedź pana Korczy była czemś mistrzowskiem, arcydziełem adwokackiej sztuki. Umyślnie mówię tu sztuki, nie umiejętności, bo prawnikami może być wielu ludzi; kto jednak swą wiedzę plastycznie zużytkować umie, kto nią potrafi malować, architektoniczne stawiać z niej budowy, ten już jest artystą a kto na niej grać umie, jak na najdoskonalszym z instrumentów, grać tak, że po tej muzyce świat tańczyć musi — ten jest skończonym wirtuozem!

Oschłą była ta replika i nudną aż do uspienia; ale przytem przebiegłą, pełną haczyków i sztuczek. Podjął naprzód popelnione formalne

omyłki, które dały powód do odroczenia procesu; oponował przeciw postawionym przez oskarżenie świadkom; porobił zastrzeżenia co do ich moralnej przeszłości, ich stosunku do oskarżyciela, ich stronności, interesowności lub nietrzeźwego stanu. Żądał, aby mu pozwolono przeciwstawić innych świadków, obalających zeznanie tamtych; wykazał wprost przeciwne sobie zeznania; dowiódł, że to co miało być rano, było wieczorem, a to co za dnia, odbywało się w nocy. Wykazał niemożliwości, niewątpliwe *alibi*; upornie trzymał się jednej godziny, o której żaden ze świadków nie powiedzieć nie umiał i w niej raz się zagnieżdziwszy, pustoszył kolejno i rozbijał wszystkie baterie przeciwnika. Nakoniec powlókł czytelnika przez wszystkie paragrafy „*corpus juris*“, jakie tylko nadały się w tym wypadku, tak iż można było być pewnym, że bardzo niewiele pozostawił niezacytowanych.

Ale...

Dwóch rzeczy unikała starannie replika: obrony charakteru oskarżonej i napaści na charakter małżonka.

A przecież obrona pana Korczy zajmowała całe cztery gęsto zapisane arkusze.

Odczyt ten takie wywarł na pięknej klientce wrażenie, że zerwała się niecierpliwie z siedzenia i ręce w tył założywszy, poczęła tam i na powrót przechadzać się po pokoju.

— I nic więcej? — spytała, kiedy Koloman przestał czytać.

— Tyle tylko.

Katinka stanęła przed młodzieńcem, oparła rękę na poręczy krzesła, na którym siedział Koloman i zatopiła głębokie, ciemne swe oczy w jego oczach.

— Co pan mówi o tej obronie?

Koloman odparł zmieszany:

— Jest ona dziełem mego szefa.

— Ale to panu nie przeszkadza wyrazić o niej swe mniemanie. Jak ona się panu podoba? proszę, powiedz mi! Ja to zachowam w tajemnicy, co mi pan powiesz.

Koloman zmiarkował, że wobec inkwizycyi tych torturujących pięknych oczu przyznać się musi. Trzeba było oświadczyć, że się jest kacerzem.

— Wyznaję, że dopatruję w niej brak czegoś.

— Czego?

— Tego, co daje życie tak ludziom, jak literom: ciepła.

Oczy pięknej pani błyszczały przy tem pytaniu tak, że biedna, na gorącym ogniu smażona dusza jeszcze więcej zeznać była zmuszoną.

— Kto umie kochać i nienawidzić, tenby inaczej napisał o tym przedmiocie.

Pani odgadła, że istniał ktoś, który o tym przedmiocie inaczej umiałby napisać. Dotknęła

zlekka końcami paluszków ramienia Kolomana i ozwała się szeptem:

— Napisz mi pan inną obronę, taką, jaką być winna wedle twoich pojęć; taką, żeby w niej było życie i ciepło. Nikt prócz mnie o tem nigdy się nie dowie.

— O, nie mam najmniejszego powodu robić z tego tajemnicy. Mój szef ma tyle do mnie zaufania, że oddaje mi najzawikłańsze procesy i każe robić próby w jaki sposób bym ich bronił. I w tym procesie tak samo polecił mi wypracować wedle upodobania bądź to akt oskarżenia, bądź obronę.

— A pan nie wybrałeś sobie aktu oskarżenia?

— Jeszcze nie czytałem wcale procesu.

— Czy byłeś pan wobec niego tak obojętnym?

— Wczoraj dopiero oddano go do mego rozporządzenia.

— I od wczoraj nie miałeś pan do tego czasu?

— Łaskawa pani jesteś niemiłosiernym sędzią śledczym. Zmuszasz mnie do wyznania, żem się obawiał go czytać...

— Czegoś się pan lękał?

— Uląkłem się tej myśli, że zmuszony będę zobaczyć obryzganą błotem postać, która dotych-

czas zawsze tylko w jasnym stała przede mną światło.

— A teraz, kiedyś pan przez to przeszedł?

— Teraz napiszę obronę.

— I mnie pan ją pokażesz?

— Pierwej przedstawię ją memu pryncypałowi.

— Dziękuję panu — rzekła piękna pani i ciasniej otuliła szalem smukłe swe ciało; potem naciągnęła zdjętą rękawiczkę na małą delikatną rączkę, jakby zabierając się do odejścia.

— Zobaczą też jak pan mnie bronić będziesz... A jeśli potrzeba panu będzie jakichkolwiek wyjaśnień, to proszę, przyjdź pan do mnie...

Piękna pani oddaliła się. Koloman wyprowadził ją głównymi drzwiami aż do bramy. Pani Piotrowa szpiegowała go z kuchni.

— Aj, aj! — paplała. — ale toż panicz cokolwiek zadługo się tam informował z tą panią w salonie!

Koloman zmierzył gadatliwą kucharkę spojrzaniem obrażonej godności.

— Lepiejby było, żebyście przyszli do rachunku...

To oświadczenie odjęło Piotrowej wszelką ochotę do gadulstwa. Pewną już była biedaczka, że z wielkiej radości paniczowi nie przyjdzie na myśl pytać, poczemu dziś był szczaw na targu?

Całą myśl Kolomana zajęła teraz bezpodzielnie ta jedna scena.

Śnił już o kobiecie, marzył o niej, ale dotąd nie zbudził się jeszcze do zupełnej samowiedzy tego, czem ona była.

Chciał tę zagadkę rozwiązać we własnej fantazyi, jak gdyby to było możliwem.

Stworzył sobie punkt widzenia podniosły, wysoki w tych regionach tak miłych młodym sercom i umysłom, z których dziewiczy puszek marzycielstwa nie starł się jeszcze, stworzył wzniosłe, rycerskie pojęcie kobiety.

Tę kobietę, tak piękną, tak bogatą duchem, tak dziecięcą jeszcze, ludzie oczerniają niegodnie; oskarżyciele jej to wstrętne, nikczemne kreatury; występki, które jej zarzucają, są urojeniem, tworem fantazyi, pozorem zwodniczym conajwyżej; to, z czego jej czynią zarzut, to kaprys tylko, to co mianują skandalem usprawiedliwioną jedynie obroną praw własnych, obroną prześladowanej.

Koloman obmyślił sobie, jakby bronił tej kobiety, gdyby był jej adwokatem. Został do tego wezwany — z dwóch stron nawet wezwany. Wszakże to było tylko studyum prawnicze.

Wziął proces i przeczytał go raz jeszcze z wielką uwagą, a kiedy ukończył czytanie, pot go oblewał i płonął ogniem.

Potem przystąpił do zredagowania aktu obro-

ny. Gdy go rozpoczynał drżał z trwogi, gdy wygotował, wyzywał świat cały do walki.

Gdyby kto obronę jego dał krytykowi w ręce i powiedział mu, że to jest monolog z wielkiego jakiegoś dramatu, rzekłby, że to arcydzieło.

W obronie jego w żywych barwach imaginy odmalowany był świat serca, kobiety, która z duszą pełną młodocianych ideałów i delikatnych uczuć, na skutek układu nieopatrznych swoich rodziców zostaje związaną z człowiekiem, którego charakter jest bezwzględny przeciwstwem tego wszystkiego, co ona śniła, o czem marzyła dla siebie. Przedstawiał jak wszędy, gdzie szukała jasności, blasku, natrafiła na brud; znalazła brutalną obrazę miłości, tam gdzie sama już miłość byłaby najsroźszą obrazą; świat wewnętrzny przeciwstawiał zewnętrznemu otaczającemu ją światowi; nieświadomość, brak doświadczenia, osamotnienie kobiety, zepsuciu najbliżej niej stojących ludzi. Przyczyną każdego błędu, każdego fałszywego jej kroku, każdego uchybienia jest mąż, wyłącznie tylko mąż. Obliczoną, uknutą i z góry przygotowaną intrygą jest sama nawet ucieczka kobiety z domu męża. Męża obarcza podejrzenie, więcej niż podejrzenie, bo z charakteru jego i czynów wywnioskowana pewność rozmyślnego przygotowania tej sprawy. Jego to cieszy, że mu uciekła żona: motyw tego jest jasny całkowicie. To wielki posag żony. Na-

okół tej osi obraca się cała piekielna intryga. Mąż jest szatanem — kobieta aniołem.

Koloman był najzupełniej zadowolony z swej obrony i ledwie doczekać się mógł powrotu pana Korczy. Przez ten czas nie szedł do Katinki po informacye. Bo i czegoż mógłby się od niej dowiedzieć? Z takiej wysokości widział przecież stokroć lepiej wszystko, niż ona sama.

A przecież jeśli kto na świecie jest przedmiotem najmniej podatnym do perspektywy *à vol d'oiseau*, to z pewnością kobieta!

Pan Korcza przybył nareszcie do domu. Kazał sobie opowiedzieć Kolomanowi wszystko, co przez czas jego nieobecności w interesach zaszło.

— A po proces pani Csollan nikt się nie zgłaszał?

Koloman unikał zawiadomienia go o bytności Katinki, póki go wprost o to nie zagadnie. Odpowiedział więc tylko, że proces jest tu jeszcze.

— Czy go czytałeś?

— Przeczytałem go...

— No, to byłbym z góry przepowiedział. Czy co zrobiłeś z nim?

— Napisałem replikę.

— Naturalnie od oskarżonej.

— Z pewnością.

— I to mogłem wiedzieć z góry. A więc przeczytamy to sobie po wieczery.

Nadszedł wieczór, pani Piotrowa poprosiła panów do stołu.

Kolomana poczęło mocno niepokoić sumienie, kiedy kucharka wniosła zupę. Żałował już, że przemilczał coś przed pryncypałem. Czuł, że Piotrowa zaraz i tak wypaple.

I oczywiście wypaplała też natychmiast.

Zaledwie wytrzymała, by postawić wazę na stole, ale dłużej nie zdołała utrzymać tajemnicy.

— Pan wiele na tem stracił, że nie był w domu. Mielśmy tu wizytę nielada! Była pani Csollan. Przybyła tu w sprawie jakiegoś procesu do pana, a ja ją wpuściłam do salonu. Przecie wiem co się komu należy... Potem przywołałam pani-cza. Temu powiedziała co miała do powiedzenia. Była tu przynajmniej z półtorej godziny. Nie mogę sobie wyobrazić, co tam miała tyle do gadania...

Pan Korcza śmiał się...

— Dowiem się zaraz z repliki co tam mówić mogła.

Koloman przypisał to gorącej zupie, że się tak zacerwienił, a w duszy życzył kucharce, by ją dyabeł poniósł na sam szczyt Łysej góry.

Pan Korcza przez cały ciąg wieczery spoglądał na Kolomana, ani jednym słowem przecież nie wyjaśniając obserwacyi swojej.

Nie spytał nawet Kolomana co sprowadziło do niego piękną klientkę? — któreto pytanie

z pewnością byłoby wprawilo Kolomana w kłopot niepomierne.

Tego nie spodziewał się zupełnie, by złośliwy świadek policzył nawet kwadrans trwania tej rozmowy.

Kiedy wstali od stołu, nałożył sobie pan Korcza fajkę tytuniem, potem wyciągnął się na skórzanej sofie w całej długości i odezwał się do Kolomana:

— A więc, *domine frater*, przynieśże teraz ten akt obrony i przeczytaj mi go...

Koloman odczytał i patrzył w twarz pryncypała z takim wyrazem, jak gdyby mówił: „Nieprawdaż, że to nie taka sucha drewniana historia, jak twoja replika w tym procesie?”

Pryncypał słuchał uważnie, pykając kłębam dymu.

Kiedy skończyło się czytanie, wytrząsnął ogień z fajki, odśrubował bursztyn od cybucha i począł zawzięcie go czyścić. Dopiero gdy z tem wszystkim się załatwił pogłaskał Kolomana po głowie pod włos i przemówił:

— O tyś poeta!

Koloman był podrażniony, że tak szydęrczo mówiono o największym jego przymiocie i zdecydował się wziąć go w obronę.

— Tak, ale w jaki sposób to, że jestem poeta, może być wadą mojej repliki?

— Bardzo wielką wadą nawet — odpowie-

dział pan Korcza, ściągając swą czapeczkę na czoło. — Bo gdybyś uszczęśliwił twoją klientkę taką obroną, to otrzymałaby natychmiast rozwód.

Koloman z jednego zdumienia popadał w drugie.

— No, a czyż to nie jest zadaniem rozwodowego procesu, by strony z sobą rozłączyć?

— Ho, ho, ho! Z pewnością nie! Zadaniem adwokata zarówno oskarżyciela jak oskarżonej jest prowadzenie tak sprawy, by sąd nie rozłączył klientów.

— Nigdy?

— Aż do pewnego czasu przynajmniej. Adwokaci muszą w interesie swoich klientów bezustannie dokładać wszelkich starań, by ostateczny wyrok trybunału utrudniać i oddalać, a sprawę mieć jaknajwięcej.

Koloman wstrząsnął głową, jak ten, który całkiem nie może czegoś pojąć.

— Pomyśl-że cokolwiek nad wszystkimi temi okolicznościami — mówił pan Korcza filuternie, przymrużając jedno oko. — Niedawno temu jeszcze, *domine frater*, byłeś świadkiem hecy, którąśmy wyprawiali z owym majorem od huzarów. Czy od tego czasu nie wpadłeś na myśl, że obok stron spór z sobą wiodących, istnieje jeszcze trzecia jakaś tajemna strona, w której interesie leży, by proces jaknajprędzej ukończonym zo-

stał? A ten trzeci jest obojga tamtych wspólnym wrogiem.

Koloman i teraz jeszcze nic nie rozumiał.

Pan Korcza nową, nałożył sobie fajkę.

— Przedewszystkiem więc, *domine frater*, dowiedz się czegoś, czego nieświadomość nie była twoją winą. Klientka twoja jest samodzielną posiadaczką odziedziczonych dóbr; nazwisko swoje kładzie przed nazwiskiem męża, a dzieci jej odziedziczają oba nazwiska. Katinka Sartory w dzieciństwie już wiedziała, że jest przyszlą, głową swej rodziny, że wobec prawa jest mężczyzną, że zawsze, ktobądź byłby jej mężem, ona dla niego i dla całego świata będzie panem, nie panią. Tak była wychowaną. Blizkim krewnym, serdecznym przyjacielem i sąsiadem jej ojca, był ojciec Berti Csollana. Obaj panowie niezmiernie posiadali bogactwa i aby je powiększyć jeszcze, ułożyli się, że dzieci swe z sobą zaręczą. Podówczas Berti Csollan miał lat dwadzieścia pięć, Katinka zaś pięć. Berti był dumnym, dzielnym, hardym, samowolnym i swywolnym młodzieńcem, Katinka wesoło szczebiocąca dzieciną. Tego naturalnie nikt nie mógł naprzd powiedzieć ojcom, że za lat piętnaście Berti zmieni się w niechlujnego, cynicznego człowieka, Katinka zaś w kobietę stworzoną do rozkoszy. Dopiero w jakieś lat dziesięć później począł przeczuwać stary Stefan Sartory, że te

niespokojne oczy, których żadna guwernantka ustrzedz nie zdołała, mogą w niwecz obrócić jego plan połączenia dóbr obu rodzin. A w tym kierunku był on nieubłagalnym, jak monarcha. Podobnie jak się księżniczkę poświęca względem państwowym, wiążąc młodość z wiekiem podszłym, ogień z lodem, na to, aby dwa kraje złąć w jeden, tak on uparcie stał przy postanowionym związku i wszelkim sposobem starał się uczynić go niemożliwym do rozerwania. Katince zawczasu powiedziano, że nie może poślubić nikogo innego, prócz kuzyna swego Berti; ona zaś zdawna nie mogła cierpieć swego narzeczonego, czego jej zresztą za złe brać nie można. To był powód, dla którego piękna dziewczyna, mimo swego ognistego temperamentu, aż do lat dwudziestu nie chciała żadną miarą przywdziać czepczka. A była to mozolna sprawa strzedz tej dziewczyny. Kiedy ojciec leżał na śmiertelnej pościeli, przyzwał do siebie córkę i raz jeszcze zawiadomił ją, że gdyby nawet umarł, ona musi wybrać sobie na małżonka Berti'ego. Pokazał jej swój testament; testamentem tym warował, że Katinka wówczas dopiero wejdzie w prawa samodzielnego rozporządzenia swoim majątkiem, skoro zostanie żoną pana Alberta Csollan. Dziewczyna wnosi panu Albertowi Csollan w posagu niezliczoną ilość sreber, gotówki, stadniny, inwentarza, trzody, wołów, nierogacizny, stada

owiec. Ale lepiej jeszcze zamotanym był węzeł. Stary Stefan Sartory wiedział, że w Siedmiogrodzie, w Csibo, istnieje domek z ogrodem, słynny z tego, że co roku zmienia właściciela, właściwiej mówiąc, że rokrocznie powraca do swego pierwotnego posiadacza. Nowonabywca nie mieszka w nim nigdy dłużej nad sześć tygodni. Tajemniczość tego domku nie polega na tem bynajmniej, by tam pokutowały duchy, obrzydzące pobyt w nim nowonabywcom, ale na tem, że zgodnie z siedmiogrodzkiemi prawami każde protestanckie małżeństwo zostaje tu rozwiedzionem; przez ciąg trwania rozwodu wszakże rozwodzące się małżeństwo musi posiadać kawałek ziemi w Siedmiogrodzie i tamże zamieszkiwać. Kto przeto naprawdę chce się rozwieść, ten nie rozpoczyna procesu przed węgierskimi sądami, ale kupuje sobie ów domek w Csibo, mieszka w nim przez sześć tygodni, a gdy rozwód jest ukończony, odkupuje go napowrót pierwotny posiadacz od czasowego, z małą dla tegoż stratą, aż póki nie pojawi się znów inny, który takowy na sześć tygodni nabędzie. Historią tego małego domku w Csibo znał dobrze Stefan Sartory, i dlatego postawił w testamencie warunek, że gdyby Berti i Katinka mieli się kiedy rozwieść prawnie, cały jego pozyskany majątek ma przejść natychmiast na brata jego Jana, majora od huzarów, tak iż córce przypadłyby wtedy tylko



dobra dziedziczne, przynoszące rocznego dochodu zaledwie dziesięć tysięcy guldenów; Berti zaś w tym wypadku musiał oddać majorowi cały otrzymany za panną Sartory posag. A teraz, *frater*, masz już w rękę nic tego kłębka, nieprawdaż? Małżonkowie rozstali się w dniu ślubu zaraz. Powody znane ci są już z procesu. Można się spierać o *pro* i *contra* w tej mierze, kto z nich dwojga zawinił więcej; ale tymczasem spada nam trzeci na głowę: strona najwięcej interesowana w tej sprawie, wuj Katinki, major, który za czasów swych gwardyjskich jeszcze przetrwonął dziedziczny majątek, a teraz w długach tkwi po uszy. Wierzycciele naciskają go ze wszech stron, a przed jego usty, jak przed usty nowego Tantalą, zawisło bogactwo, wielki do odziedziczenia majątek. Tylko, że pierwszej trzebaby ukończyć proces rozwodowy. Tak, ale obadwaj adwokaci, adwokat męża i adwokat żony, są to takie przewrotne, podstępne, twarde sztuki, że ani rusz nie dopuszczają dojść procesowi do końca, dopóki major nie zdecyduje się przenieść na tamten świat. Dopóki pani Csollan nie jest rozwiedziona prawnie, major nie może wytoczyć jej procesu o zwrot testamentem zapisanego mu majątku, skoro zaś major umrze, majątek jego i tak przejść musi na panią Csollan napowrót. W tym to *circulus vitiosus* krążymy wciąż tam i nazad. My nie spieszymy się z rozłączeniem ich, major

Pan Koreza wyjął następnie z pomiędzy swoich aktów list jakiś. Koloman poznał w nim list, który przez niego Berti Csollan przesłał był Katince. Teraz już mógł go przeczytać. List był obciążającym dowodem przeciw mężowi.

Koloman, czytając go, spuścił znów oczy i przypomniał sobie pierwsze swe spotkanie z piękną panią.

— No, a potem, kiedy już wygotujesz całkowicie swoją replikę, zanieś ją, *domine frater*, i pokaz pięknej seperatce. A jeśli ona powie, że się jej więcej podoba twoja obrona niż moja, to ja moją cofnę z procesu, a na jej miejsce dam twoją. Słowo honoru!

FIASCO.

Koloman nie miał jeszcze lat dwudziestu, gdy pisał pierwszą swą replikę. Brak mu było dwóch dni jeszcze do dwudziestego roku.

O! dniu nigdy niepowrotnego szczęścia, gdy ta liczba XX staje się pełną!

Radość, co się zamienia w dumę, nadzieja, co rzeczywistością być poczyna; sen na kwiatach, życie w marzeniu, co przechodzi w jawę, kiedy mężczyzna powiedzieć może: „Dziś mam już lat dwadzieścia!“

Zwłaszcza też jeśli dotąd nie żył jeszcze, jeśli nie śpieszył się przed czasem dojść do trzydziestki, zanim dlań dwadzieścia wybije.

Koloman, przejęty nieznanymi dlań uczuciami, przepisał na czysto swą obronę, opartą na najszczytniejszej idei — obronie kobiety dotkniętej w jej prawach najświętszych, kobiety prześladowanej, pięknej a cierpiącej.

Że jest piękna, to wiedział — że cierpi mówiło mu serce.

Z jakąż ciekawością, z jakim drzeniem wyszedł z domu, by gotową już obronę zanieść pięknej pani! Co też ona na nią powie?

Postanowił sobie spojrzeć jej w oczy i z nich wyczytać, jakie wrażenie sprawią na niej jego argumenta?

Katinka mieszkała tam jeszcze, gdzie ją po raz pierwszy odwiedził Koloman.

Ugalowany lokaj na ten raz nie przyjął go już tak podejrzliwym spojrzeniem, jak za pierwszym razem. Teraz nie był już obszarpanym studentem, ale miejskim elegancikiem.

Co więcej, na spotkanie jego wybiegła garderobiana i z domyślnym uśmiechem zawiadomiła go, że jej pani dla niego jest w domu, może przeto bez meldowania iść wprost do salonu.

Koloman wzbraniał się nieco, żeby nie sprawić pani ambarasu; ale niema się czego obawiać, można wejść spokojnie, skoro tylko garderobiana bierze to na swoją odpowiedzialność.

Piękna klientka przyjęła młodego prawnika w buduarze. Była w porannym stroju, białej muslinowej sukni, której szerokie, haftowane szlaki, zachodziły wzajem na siebie. Na głowie miała koronkowy czepeczek, z pod którego kapryśnie wybiegały angielskie loki i spływały falą na ramiona.

Uroczą słomiana wdówka bawiła się szcze-

gólniejszego rodzaju zajęciem; buduar jej tworzył formalną menażeryą. Była tam szara papuga z czerwonymi skrzydły, różowa kakadu z czerwoną główką; błękitny kanarek, przepiórka, białych synogarlic para; potem z gatunku ssących: oswojona kuna, cały legion białych myszy, kilka morskich świnek, jedna czarna, druga szara, trzecia ruda wiewiórka, mały boloński piesek o jedwabistym, długim włosie, jeź, małpka, dalej żmija, żółw, zielona żabka i złote rybki.

Piękna pani otaczała się rajem, jak ongi nasza matka Ewa przed upadkiem. Zwierzęta te tresowała i karmiła sama. Szara papuga dostawała kawę ze śmietanką, kakadu owoce, kanarek potłuczone konopie, przepiórka ziarno, synogarlice mleko i len gotowany itd. itd.

Papuga przytem uczyła się wymawiania słów, przepiórka śpiewu, kuna przędzenia, piesek służenia, żabka przepowiadania pogody, a małpa umiała wszystko.

Kręciło się to, przewijało, suwało, latało, skakało swobodnie po pokoju, co bawiło niesłychanie piękną panią.

— A! — zawołała spostrzegłszy wchodzącego i podbiegła ku niemu wesoło. — Jak gdyby jednego tylko brak było w moim raj, pan mi przychodzisz nareszcie!

Ptaki i czworonogi rozbiegły się w mgnieniu oka po wszystkich kątach.

— Byłem zajęty dotąd wypracowaniem obrony, — tłumaczył się Koloman.

— A może już gotowa? — spytała piękna pani i klasnęła w ręce ze zdumienia.

— Przyniosłem ją z sobą, aby dzieło moje poddać sądowi pani.

— A, to ślicznie! Czy i to jest napisane po łacinie?

— Nie, napisałem ją po węgiersku.

— Dobrze, dobrze. I tak ją zrozumie.

Ku objaśnieniu owego „i tak“ musimy tu wyznać, że rozmowa między Kolomanem i Katinką toczyła się zazwyczaj po niemiecku. Węgierskiego języka podówczas używały damy dobrego towarzystwa tylko do służby ze wsi; językiem salonów był wyłącznie niemiecki, a do pani jakiejś odezwać się po węgiersku znaczyłoby wziąć ją za kucharkę i uchodziłoby niemal za obrazę...

Skoro wszakże potrzeba, to w końcu i po węgiersku zrozumie.

Katinka wskazała Kolomanowi miejsce obok stołu wyłożonego mozaiką, który zdobił olbrzymi wazon z kwiatami, i siadła obok niego na kozetce.

Koloman z namaszczeniem poety i powagą prawnika rozwinął swoją obronę i zabrał się do jej odczytania.

Ależ to była rozkoszna lektura!

Synogarlice wrzeszczały; przepiórka śpiewała; kanarek tem głośniej gwizdał, im większą słyszał wrzawę; małpa bombardowała prawnika łupinami orzechów; obie wiewiórki biegały czytającemu po nogach; kuna pochwyciła sznurowadło u buta i poczęła je rozwiązywać; żółw wywijał koziółki po dywanie, nakoniec zaś szara papuga usiadła na poręczy jego krzesła i z głęboką mądrością dodawała do wysoce poetycznych frazesów swój komentarz:

— „Patrz, patrz!”

W takich warunkach nie sposób wymagać, aby odczytywana replika zrobić mogła wrażenie, choćby była niewiedzieć jak piękną i mistrzowską.

Dama daremnie starała się zaprowadzić pewien ład w swoim raj: zaledwie odpędziła jedno, pojawiało się drugie, a kiedy chciała im gniew swój okazać, nie zyskiwała na tem nic, chyba to, że i bonończyk nawet czekać poczynał.

Trzeba było innej szukać rady.

— Choć pan, proszę, siadaj tu przy mnie na kanapie.

Kiedy zaś Koloman siedział już przy niej, mogła go lepiej od tych ciągłych napaści obronić; chwyciła każde z osobna ze zwierzątek wdzierających mu się na kolana i trzymała je wszystkie; nawet szarą papugę pochwyciła za nogę i posadziła ją sobie na ramieniu.

Ale papuga widocznie zamierzyła sobie gruntownie przestudyować proces, a kiedy kilku wtrącanemi odezwaniem nie udało jej się przerwać czytania, ozwała się wreszcie czułym, błagalnym tonem: „Kolomanie!“

Młody prawnik spojrział zdumiony, uskrzydłone zwierzę nazwało go po imieniu.

Pani w naiwnem pomieszaniu starała się krzywonosego zdrajcę przywieść do milczenia, uderzając go paluszką po dzióbku.

— Milcz, ty bezwstydna!

Oczywiście ptak był bezwstydnym...

Papuga obraziła się i uciekła na gzyms okna.

Teraz przynajmniej mógł już Koloman czytać dalej replikę, bez obawy przerwania.

W tem miejscu właśnie malował, dla wiadomości sędziego, charakter, świat duszy, umysł niewinny, cierpienia swojej klientki. Był w tem prawdziwym poetą.

Aby lepiej zrozumieć czytanie, pochyliła się ku niemu piękna pani, a może i dlatego aby móżdż patrzeć w rękopis. Rękę położyła po za Kolomanem na poręczu kanapki. Koloman czuł elektryczne dotknięcie włosów, co go muskały po twarzy.

Pod koniec czytania porwał go pegaz całkowicie. Czuł tak dobrze to co napisał, że mógłby być zapłakać nad nieszczęśliwą i lzy też miał

w oczach. Była to obrona mistrzowska prawdziwie.

Ręka pięknej kobiety wciąż jeszcze opierała się na jego ramieniu.

Podniósł nagle wzrok, chcąc z jej oczu wyczytać wyrok.

I oczy Katinki były w nim utkwione, te oczy piękne, wielkie, te grzeszne oczy.

Pytanie pierwszych było: co mówisz na to, żem cię przedstawił tak czystą, tak niewinną, tak anielską?

— To bardzo piękne, — była drugich odpowiedź, — niezwykle piękne, wspaniałe — ale...

I potem nastąpiło zbijanie twierdzeń.

A zbijanie to mówiły już ustom usta.

.

Koloman w dniu tym skończył lat dwadzieścia. Z szefem swym spotkał się dopiero podczas obiadu. Zdawał się bardzo zamysłony.

Pan Korcza natomiast był w satyrycznym usposobieniu, jak zazwyczaj.

— No? I cóż? Co powiedziała piękna pani na twoją replikę? — spytał Kolomana, który sam nie podnosił tego przedmiotu.

Koloman był właśnie wielce zajęty krajaniem jakiegoś mięsa w niezwykle małe kawałeczki po to, by go następnie nie jeść wcale.

— Powiedziała, że replika jest bardzo ładną...

— No oczywiście. A zresztą nic nie powiedziała.

— Tylko, że jest bardzo ładną.

Pan Korcza przymrużył jedno oko, a drugim mrugał ku Kolomanowi złośliwie.

— Ale ja wiem, że powiedziała coś jeszcze.

Koloman udawał, że w tej chwili nic nie obchodzi go goręcej, nad obieranie rzodkiewki.

Pan Korcza śmiał się pocichu.

— I ja wprawdzie mam zwyczaj obierać rzodkiewkę, ale wtedy nie zwykłem zjadać już zielonych listków razem z łupiną, — kłuił dalej.

Ale Koloman za żadną cenę nie chciał się okazać roztargnionym. Był zuchwały jak przestępca, wzięty na spytki.

— Ja znów ogromnie lubię te listki.

— O, i to dobre, — ozwał się pan Korcza; — to doskonale chłodzi. Kiedy mnie boli głowa, przylepiam je sobie do skroni i zawsze wyciągają mi gorączkę.

I przylepił sobie z obu stron na skroniach dwa plasterki rzodkwi, zdobne zielenią listków. Wyglądał w tem jak dyablik, z parą zielonych rogów.

— Ja zaś mówię ci, mój młody przyjacielu, że piękna pani powiedziała ci coś jeszcze na tę replikę. Powiedziała ci, że wszystko to jest bardzo piękne, ale — — ale „nieprawdziwe!“

Koloman opuścił widelec na ziemię, co mu

dało wielce dobrą sposobność zniknięcia na minutę pod stołem. Kiedy z pod niego znów się wynurzył, był już napowrót tak śmiały, jak prześluchiwany najzatwardziały złoczyńca.

— Nie powiedziała mi tego.

— Nie *powiedziała*? — powtórzył pan Korcza i położył szczególniejszy nacisk na ostatnie słowo. — Ależ dlategoż nie potrzebujesz jeszcze pieprzyć szodonowego sosu.

— Kiedy ja to lubię.

— Niechże i tak będzie...

Aż do następnej potrawy pozostawił młodzieńca w spokoju. Obaj jedli szybko, jakby na wyścigi. Koloman zjadł pierwszy, ale pan Korcze dogonił go, w chwili gdy się zabierał do picia.

— Proszę bardzo, to moja szklanka.

Pana Korczę pobudzało to do piekielnej wesołości, że Koloman nie spostrzegł własnej szklanki.

— A zatem, *domine frater*, — rzekł biorąc wykluwaczkę w zęby, — skutkiem tego zamiast mojej repliki, damy twoją w procesie.

Teraz spojrział już nań Koloman przerażony.

— Aha! — wymówił pan Korcza, kiwając głową i opierając się łokciem na stole. — Teraz zobaczymy kto w tobie przeważy: adwokat czy poeta?

— Nie rozumiem wcale pytania.

— Poeta powiada: bronię sprawy, bom o niej przeświadczony, bom pewien, że oskarżona jest niewinną; obrona moja jest ognistą, świetną, będzie przekonywającą. Wtem przychodzi adwokat i dodaje: wprawdzie poeta nie ma racyi; ja *wiem dokładnie*, że oskarżona nie jest tem, czem on ją przedstawia; ale ponieważ obrona może być stosowną i przydatną dla oskarżonej, ponieważ jest bardzo ładną i efektowną, dam to, co napisał poeta. Tak mówi adwokat. A teraz, co ty mówisz, *domine frater*?

Koloman chciał się wykręcić sianem z tego dylematu.

— Ach, cała ta rzecz była przecież tylko prawniczem stylowem ćwiczeniem, niczem więcej.

— Tak? — zawołał pan Korcza — tylko prawniczem stylowem ćwiczeniem? No, to mi się podoba! A więc to było tylko studyum, zwykłe exercitium. Widzisz, ja niezmiernie lubię pilnych młodzieńców, co gorliwie zawód swój studyują. Ale teraz bądź tak dobry i pokraj tego kapłona.

Póki Koloman rozbierał kapłona, pan Korcza pozostawił go w spokoju, ale gdy z tem uporał się wreszcie, nie miał już dlań miłosierdzia.

— No, proszę, to z twojej strony nadzwyczaj piękna dążność, że się ćwiczysz w takich

rzeczach. Teraz jednak radzę ci, w interesie uzupełnienia twego studyum, stanąć na przeciwnym stanowisku i napisać replikę strony skarżącej.

— Czemużby nie? — ozwał się Koloman z wielkoduszną gotowością. — I tego mogę spróbować.

— Bo takie rzeczy kształcą niezmiernie i rozwijają umysł adwokata. To takie samo studyum jak gra w szachy; dobry gracz musi obmyślić nietylko własny plan, ale równocześnie powinien smażyć sobie głowę nad tem, coby zrobił teraz, gdyby był na miejscu przeciwnika.

Koloman pewien był już, że ten wykład przejdzie na pole całkowicie abstrakcyjne; tu teren jest szeroki i łatwo umknąć.

— Będę próbował.

— I ażebyś mógł z tem większą siłą przystąpić do tej pracy, dam ci bardzo ważny dokument, który w ręku adwokata przeciwnej strony stałby się mógł bronią niemiłosierną. Ja mu go nie dam, oczywiście; ale ty użyj go do swego stylistycznego ćwiczenia. Zobaczę wtedy co umiesz zrobić tam, gdzie nie można być poetą, nie można idealizować, ale gdzie ma się przed sobą zadanie zgubienia pięknej kobiety bez litości.

Koloman zaciekawiał się.

Po ukończonym obiedzie poszedł za swoim szefem do biura. Tu wydobył pan Korcza z zam-

kniętej szuflady jednej z szaf list jakiś i podał go młodzieńcowi.

Koloman poznał ten list odrazu. Był to ten sam, który Katinka przez niego przysłała panu Korczy.

— To jest list pani Csollan, — przemówił Korcza. — Teraz porównaj go z tym, który Berti Csollan przesłał przez ciebie swojej żonie, a wynajdziesz już sobie *punctum saliens*.

Czy obmyślił pan Korcza to co czynił, kiedy list Katinki oddawał Kolomanowi do odczytania równocześnie z listem Berti Csollana? Czy brał całą tę sprawę za żart, niemogący młodzieńcowi ostatecznie przynieść tak wielkiej szkody? Czy tym sposobem chciał go wystawić na próbę? Czy może też miał jakiś zamiar inny, przebiegły? Na to dziś odpowiedzieć byłoby przedwczesnem. Tyle tylko dodać tu możemy, że Koloman nietylko nie wygotował repliki adwokata strony przeciwnej, ale od tego dnia przestał zajmować się i innymi pracami pana Korczy; niech je sobie sam kopiuje. Kiedy zaś raz Kolomana zaciągnął do kancelaryi i powierzył mu jakieś przepisywanie, okazało się ono tak pełnem błędów, że pan Korcza musiał akt raz jeszcze sam przepisać.

PIERWSZE OSTRZEŻENIE.

Stara to anegdotka, że pewien ubłogosławiony wieloma córkami ojciec każdego młodzieńca, który wstępował w dom jego w roli konkurenta, pytał na wstępie: „Mój kochany, a czy byłeś ty już gałganem?” Jeżeli konkurent na tak szczególną interpelacyą, urażony, dawał przeczącą odpowiedź: „Ale skądże miałbym być gałganem?” wtedy mawiał mu stary: „No, w takim razie staniesz się nim później!” i nie dawał mu córki. Jeżeli jednak młody konkurent na to pytanie wzruszył ramionami, wyznając, że i on użył już swego kawałka życia, wówczas zapuszczał się z nim w dalszą rozmowę i pozwalał mu starać się o swoją córkę.

Istnieje wiara w to, że każdy człowiek raz w życiu musi się wyszumieć. Kto tego nie uczynił, wówczas, kiedy ma jeszcze na głowie gęstą czuprynę, na tego przyjdzie kolej, gdy już olysieje.

Tego zdania była też i stara pani Jenöi. Gnie-



wało ją niesłychanie, że Beni do czterdziestego piątego roku życia był taką szlafmycą; niezawodnie przyjdzie nań peryod swywoli w pięćdziesiątce. To też cieszyła się formalnie, kiedy się dowiedziała, że wnuk jej Koloman od niejakiego czasu zaczyna być urwiszem.

Gdyby o tem nawet nie doniósł był pan Korcza, donosili jej liczni zgłaszający się bezustannie drobni wierzyciele.

Teraz już nie mogła się uskarżać na Kolomana. Nie pisał wierszy, nie grywał komedyj, nie włóczył się z obszarpańcami, ale był prawdziwym paniczykiem, dandysem. Pracę pozostawiał innym, jak gdyby go z niej zluzowano. Całymi dniami przesiadywał u pięknej pani, towarzyszył jej na wieczorki tańczące, na bale i strzegł jej w teatrze.

Skoro pisał teraz do babki, nie był już tak skąpym w słowa, ale stał się rozmownym; opowiadał na jakich był zabawach, z jakimi się tam zapoznał panami, z jakimi paniami z wielkiego świata tańczył. Oto prawdziwa droga do znaczenia. Więcej to warte z wpływowymi panami mówić sobie po imieniu, być protegowanym przez wielkie panie, niż nagromadzić całą bibliotekę w swej głowie.

Staruszka z największą przyjemnością płaciła długi Kolomana. Lepiej teraz, niż później.

Dowiedziała się także, iż Koloman zaleca się

do jakiejś pięknej pani. Całe szczęście, że się z nią zenić nie może. Reszta przyjdzie sama z siebie.

I pan Korcza dozwalał młodości płynąć szerokim strumieniem i od niejakiego czasu nie powierzał mu już wcale robót mozolnych. Na szczęście było to lato właśnie, a w porze tej zwykle po biurach bardzo mało bywa zajęcia.

Koloman tymczasem wszedł jako księżyc w służbę błyszczącej gwiazdy; była to jego Wenus. Od niej zapożyczał całe swe światło.

Strzegł tak zazdrośnie i tak starannie, ukrywał swą tajemnicę, a przytem tak był ślepy, że nie dostrzegał nawet, iż o tajemnicy owej ten tylko nie wie, kto ich oboje nigdy razem nie widział.

Na balach nie tańczył z nią nigdy, w teatrze nie pokazywał się w łoży Katinki; ale natomiast przykutym był wówczas do niej promieniem spojrzeń.

A ilekroć mógł być w jej pobliżu, niepotrzebując tajemnicy swej kryć przed oczyma świata,— jakież to były szczęśliwe wówczas chwile!

Kiedy piękna pani niedbale na otomanie wypoczywa, on siedzi u nóg jej na malutkim oryginalnym foteliku i oddaje się olimpijskim rozkoszom czytania jej na głos powieści; pani zaś słucha go spokojnie. Powieść oczywiście jest niemiecką, bo i skądże miałby wziąć węgier-

skich? Csokonai, Gvadany, to lektura dla mężczyzn tylko.

Koloman błogosławił więc Niemców, że dają mu sposobność odczytywania czegoś damie swego serca.

A tymczasem dowiadywał się, że pani kochała go więcej nawet, niż ulubioną swoją papugę.

W ogóle dla tej papugi mógł on żywić uczucie wdzięczności tylko, co dnia bowiem witała go słowy: „drogi Kolomanie!“ czego nikt inny przecie nie mógł jej nauczyć, prócz samejże Katinki. Ależ to nieostrożność! Cóż będzie jeśli się o tem dowie strona przeciwna? Konsystorz gotów jeszcze papugę wezwać na świadka i zeznanie jej wpisać w protokół.

Ale wieczysta ta obawa i rezerwa, to trwożne strzeżenie kradzionych skarbów, poczyna na długą metę być nieznośnem.

Niezliczone razy Koloman miał już na języku opowiedzieć Katince historią owego domu w Csibo, ale nigdy nie czuł ku temu dość siły, aby przemówić do niej:

„Zzuj z siebie cały ten przepych, porzuć ten dom wspaniały. Masz zamiast niego moje serce; zejdz w nie, zamieszkać i zapanuj w niem bezpodzielnie!“

A przecież w wybornych tych powieściach, które jej czytał, zachodziły całkiem podobne sy-

tuacye. Ileż to razy tam okupywało się szczęście za cenę bogactw?!

Gdy przecież to oświadczenie zwłóczył tak z dnia na dzień, piękna pani niespodzianie zaskoczyła go pewnego dnia temi słowy:

— Wiesz pan oom ja wymyśliła? Od dziś za tydzień jadę do Ostendy do kąpiel.

Koloman doznał uczucia, jak gdyby biegnąc gdzieś szybko, uderzył z całej siły głową o ścianę.

— Jakby to było pięknie, gdybyś i pan zechciał mi tam towarzyszyć! — wymówiła dama, miękkim swoim aksamitnym paluszkim dotykając dłoni Kolomana. — Zdala od wszystkich znajomych twarzy, nieścigani podejrzliwemi spojrzzeniami, moglibyśmy chodzić sobie nad brzegiem morskim ręka w rękę i pływać jedną falą popychani.

— Jadę z panią do Ostendy.

— Nieprawdaż? O, jak to pięknie! — zawołała uradowana Katinka i rzuciła mu się na szyję. — Pojedziemy razem. Jużem to sobie obmyśliła wszystko: pojedziesz w charakterze mego sekretarza.

Tu znów dotkniętą została duma Kolomana.

— Nie, pani; kiedy przy pierwszym naszym spotkaniu nie przyjąłem tego stanowiska, to i dziś go nie przyjmę. Chcę być uważanym jako człowiek równej pani pozycji.

Katinka uśmiechnęła się. To jej się podobało...

— Ale na to potrzeba niemało pieniędzy.

— To już mój kłopot.

Dumny chłopak!

Piękna pani puściła zwierzynę z tym utkwionym w nią postrzałem.

Koloman zdecydował się uciec do środka zwykłego w takich razach: odszukał pana Handelsmanna.

Pan Handelsmann był to słynny lichwiarz, który młodzieńcom (a także i starym) znakomitych rodzin, dopomagał do wybrnięcia z trudnych sytuacji. Jak?... obaczmy to zaraz.

Pana Handelsmanna nazywają powszechnie milionerem.

Jak się zostaje milionerem?

Niema prostszej sztuki nad to na świecie.

Gdybym ja to powiedział, wyśmiałyby mnie każdy. Szczęściem wszakże rzekła to taka powaga, jak Stefan Szechenyi.

Owóż Stefan Szechenyi powiedział, że niema nic łatwiejszego nad zostanie milionerem. Potrzeba do tego trzech tylko pokoi.

W środkowym siedzi ten, któremu przeznaczone jest zostać milionerem. Kiedy go wywołują do pokoju leżącego po prawej stronie, czeka go tam jaki holenderski lub belgijski bankier. Uskarża on mu się, że nie wie gdzieby umieścić

swe pieniądze. Krajowe banki płacą za ledwie po dwa procent. Tak przecież istnieć nie można. Nasz przysły milioner robi wielce obojętną minę, słuchając tych skarg i narzekań. Tak, tu w Węgrzech niesłychanie trudno jest pieniądź umieścić. Stosunki posiadłości są strasznie niepewne, prowadzenie procesów niezmiernie utrudnione. Surowe prawa ograniczają na sześć stopę procentową. Koniec końcem przecież, po długich obrachunkach, przychodzi do ugody między nim a Holendrem, od którego bierze na cztery procent parę milionów. Te pieniądze niesie do środkowego pokoju. Teraz stuka ktoś u drzwi lewego pokoju. Wchodzi niemi węgierski szlachcic. Święty Boże! Na trzydzieści kroków widać mu z twarzy, że jest w interesach. Opowiada, że mu potrzeba pieniędzy, na czas bardzo krótki tylko. Przedstawia dziesięciorakie zabezpieczenie. Mówi, że trafia mu się korzystne jakieś kupno, albo też że rozpoczął się budować. Ale nasz jegomość zna dobrze takie gawędy. Zapina się aż po szyję; odpowiada niechętnie, z pewnem wahaniem, że teraz trudno o pieniądze, że ich mało jest w ogóle, że trzeba za nie drogo płacić. O, szlachcic wie to bardzo dobrze; to też gotów jest zapłacić cośkolwiek więcej nad prawny procent, to rzecz zupełnie naturalna. Koniec końcem porozumiewają się na trzydziesty procencik. Nasz jegomość idzie

do środkowego pokoju, wynosi stamtąd pieniądze, spisuje układ i wszystko jest w porządku.

Tak zostaje się milionerem.

Aż dotąd anegdotka wielkiego człowieka...

Pozostaje wszakże pewna trudność. Nie można przecież wyszczególnić w rewersie, że się bierze trzydzieści procent, bo tym sposobem wierzyciel straciłby swój kapitał. Temu zapobiedz można w taki tylko sposób, że w rewersie zapisuje się kapitał pięć razy większy od istotnie pożyczonego. Rachunek to wielce prosty. Na rewersie jednak musi figurować dwóch świadków (podówczas nie było jeszcze prawa wekslowego w Węgrzech), a ci muszą zeznać pod przysięgą, że widzieli jak wypłacono sumę wymienioną w rewersie wysokości. Jakże to więc zrobić?

Zobaczymy to natychmiast.

Ktoś stuka u drzwi pokoju po lewej ręce. Wchodzi młodzieniec.

— A, pan Jenđi, witam!

O, bo pan Handelsmann zna każdego, co choćby raz pojawił się w kole „złotej młodzieży“. Dokładną ma on znajomość namiętności, szaleństw, oczekiwanych spadków każdego z młodzieży. Kiedy ich widzi jadących konno lub w powozie ulicą, wie wybornie dokąd pędzą.

Mógłby z góry powiedzieć Kolomanowi po co tu przyszedł, ile mu potrzeba pieniędzy, na co ich użyć zamierza i jak je myśli spłacić?

Koloman zakłopotany zabiera miejsce naprzeciw bankiera.

Straszna to praca pożyczyć pierwszy tysiąc guldenów! Tysiąc guldenów, kiedy się własną pracą pozyskać nie umie jeszcze tysiąca krajcarów!

— Panie, — wymówił przyciszonym głosem, — potrzeba mi pieniędzy.

— Dużo?

— Bardzo dużo. Potrzebuję tysiąc guldenów.

— To niewiele, — odpowiedział pan Handelsmann iście ojcowskim, zachęcającym głosem.

— Tyle potrzebowałbym, — ciągnął daiej Koloman, nabierając odwagi. — Będę szczerym potrzeba mi tych pieniędzy na podróż. Moja babka jest bogata, ale na cel taki nie mi nie da... Nie pojmuje ona tego, jak bardzo młodemu człowiekowi potrzebnem jest poznanie zagranicy.

— Ja to rozumiem doskonale, — powiedział pan Handelsmann i ani uśmiechnął się przytem; a przecież wiedział już dlaczego to tak pilno Kolomanowi zbierać doświadczenia zagranicą.

— Mam dopiero lat dwadzieścia. Za cztery lata będę pełnoletnim. Aż do tej chwili nie rozporządzam niczem. Po upływie czterech lat zapłacę, pierwiej nie. Możesz mi pan policzyć to co ryzykujesz, gdybym w tym czasie miał umrzeć. Jeśli jednak dożyję, zapłacę z pewnością.

— Dobrze, ozwał się pan Handelsmann. —

Ja zwykłem wdawać się w takie ryzyka i odważam się pożyczyć panu nie tysiąc guldenów, ale dziesięć tysięcy.

Koloman zląkł się na te słowa.

— Ależ panie, ja nie żądam tyle...

— A ja mniej nie daję. Znam stosunki pańskie. Masz pan u mnie na dziesięć tysięcy guldenów kredytu. Więcej nie, to panu zapowiadam zgóry. Niechcę abyś pan do mnie przychodził dziesięć razy. Naraz przeto wydam panu tę sumę, jaką ci w ogóle dać mogę, a potem nie masz już po co przychodzić, do mnie...

Kolomanowi wydawało się, że ten pan Handelsmann jest wielce żartobliwym człowiekiem. Zaproponowana suma zawróciła mu całkiem w głowie.

— Dobrze więc — wymówił, ale zęby szczękały mu i zaprzeczały, aby to istotnie było dobrze. Przyjmuję te dziesięć tysięcy.

— Czy mam je panu dać zaraz?

— Niech i tak będzie.

Pan Handelsmann przeszedł do środkowego pokoju i wyniósł stamtąd wielki portfel, zamknięty na stalowy zameczek.

— Naprzód przeto wypłacę panu sumę, następnie zaś napiszemy rewers na nią, z szóstym procentem. Więcej nie biorę. Mój pisarz i buchalter podpiszą się jako świadkowie na rewer-

sie. Wobec nich przeliczyzz pan raz jeszcze sumę, ażeby ją widzieli na własne oczy.

Kolomanowi zamigotało przed oczyma; skoro zobaczył otwierające się przegródki portfelu, zawierającego bajeczne skarby. Pan Handelsmann wyrzucił zeń obojętnie trzy wielkie paczki.

— Tu jest tysiąc guldenów w pięcioguldenowych banknotach.

— Skoro je pan przeliczyłeś, to jestem spokojny — odparł Koloman z rycerską wspaniałomyślnością.

— Nie, nie, proszę: policzmy! Pieniądzy nie należy nigdy brać nie przeliczywszy.

Pan Handelsmann znaglił Kolomana, ażeby drżącymi rękama przeliczył po jednemu wszystkie dwieście sztuk banknotów.

Kolomanowi przy tej pracy pot wystąpił na czoło.

— Ta druga paczka zawiera również tysiąc guldenów — w losach.

— W losach? A cóż ja mam począć z tymi losami? Ja w życiu mojem nie grałem na loteryi.

— Ależ to rzecz najprostsza w świecie. Zanimiesz pan to do pierwszego lepszego wekslarza; tam za małym rabatem zmieniają to panu na gotówkę. Proszę policz pan.

— Cóż tu liczyć? — zawołał Koloman gniewnie, poczęło mu już bowiem być całkiem jas-

snem, że na tym drugim tysiącu straci przynajmniej ze dwadzieścia procent.

I pan Handelsmann też nie naglił dalej.

Rozwiązał trzecią paczkę.

— A tu są pozostałe ośm tysięcy guldenów.

— Co to ma być? — spytał Koloman, przyglądając się zdumiony owej paczce.

— Wartościowe papiery, — uspokajał lichwiarz; — hadikskie udziały.

Koloman, przywiedziony do wściekłości, wybuchnął śmiechem.

— Panie, nie bierzże mnie za głupca. I ja pośród aktów wzrosłem... Wiem co to są owe hadikskie udziały. Wielkie dobra na których one były oparte, są dziś wystawione na subhastę; proces potrwa jeszcze z lat pięćdziesiąt i za te akcye nikt nie zobaczy krajcara. Pan te cenne „wartościowe papiery“ zakupiłeś kędyś u jakiegoś antykwaryusza na funty prawdopodobnie. Te ośm tysięcy guldenów nie mają wartości i ośmiu krajcarów nawet.

I pan Handelsmann śmiał się również. Śmiech to był potworny.

— Rozumny z pana młodzieniec. O tem jednym wszakże nie pomyślałeś pan, że do tych rzeczywistych dwóch tysięcy guldenów musi być przecież jakaś „dokładka“, jak mówią rzeźnicy. Kawalek kości i ochłapów do mięsa, żeby dopełnić wagi funta.

Teraz pojmować począł Koloman całą sprawę. Pokój pana Handelsmanna pełen był tego rodzaju bezpożytecznych wartościowych papierów, które nabywało się za dziesiątą, za dwunastą część wartości, częstokroć nawet na wagę papieru ledwie. Tych on używał na to, by pożyczającym młodzieńcom w czterech piątych „dokładać“ do sum przez nich podpisywanych. Obaj więc świadkowie mogli ze spokojnem sumieniem zaświadczyć, że wzięta suma tyle wynosiła, wierzyciel mógł to zaprzysiądz również a nawet dłużnik zaprzeczyć temu nie mógł.

Koloman wziął najspokojniej kapelusz i rzekł, że dziękuje pokornie za taką przysługę.

— Powiedziałem, mój panie, że chciałbym mieć tysiąc guldenów. Ale *tych* dziesięciu tysięcy potrzebować nie mogę.

Pan Handelsmann zaśmiał się ponownie; nie był bynajmniej obrażonym, włożył tylko napowrót paczki do wielkiego portfela.

— Na ten raz więc nie możemy się porozumieć ze sobą, — przemówił z serdeczną uprzejmością do odchodzącego. — Bądźcobądź, jestem zawsze do usług pańskich.

— Dziękuję.

Koloman wychodził strasznie przybity od bankiera. Był tyle naiwnym nawet, że widział obrazę dla siebie w tej propozycji.

O nim przypuszczać, że jest tak lekkomyślnym człowiekiem, tak rozrzutnym młodzieńcem!

Wymyślił sobie plan, który miał urzeczywistnić jego marzenia i dostarczyć mu środków do wprowadzenia ich w życie.

Trzeba mu tylko załatwić się z dwiema kobietami: z Katinką i z babką.

O! ty poeto!

Z jednym bankierem nie sposób ci było się pogodzić, a wyobrażasz sobie, że możesz trafić do ładu z dwiema kobietami.

Poszedł prosto do Katinki. Całe pół dnia już jej nie widział.

O każdej porze miał do niej wstęp swobodny; dla niego piękna pani nie była nigdy ani nieobecna, ani niezdrowa, ani nieubrana. Miał zwyczaj nie pytać nawet służącego, czy mu wejść wolno.

Skoro przecież teraz w przedpokoju kładł swą szpicrutę na stole, spostrzegł, że leży tam już druga szpicruta.

„Hm... Toć tylko szpicruta, nic innego. Niech sobie będą dwie.“

I położył swoją na krzyż na leżącej.

W salonie już posłyszał srebrzysty dźwięk śmiechu Katinki. Był to dźwięk tak uroczy, jak ton słowiczej pieśni. Ale nikt przecie nie śmieje się głośno sam jeden.

Kiedy wszedł do pokoju, Katinka siedziała

na kanapie, z obu rękoma wzniesionemi nad głową, i śmiała się z całego serca, piękną główkę schyliwszy na ramię. U nóg jej zaś, na owem osobliwszem krzeselczku, siedział baron Balvandy.

Na tem samym maleńkiem, oryginalnem krzeselku, na którym Koloman codnia czytywał pięknej pani...

Baron opowiadał widocznie gospodyni jakąś zabawną historyjkę z dziejów towarzystwa, z której ona śmiała się tak bardzo.

Skoro go spostrzegli, piękna pani nie przerwała bynajmniej śmiechu; Balvandy natomiast zerwał się ze swego siedzenia, podbiegł ku wchodzącemu i uściskał go serdecznie.

— *Servus*, kochany chłopcze!

Kolomanowi wydawało się to cokolwiek dziwnem. Cóż to za szczególniejszy zwyczaj, żeby trzecia jakaś osoba w obcym miejscu wchodzącego gościa przyjmowała tak poufale?

I czy to potrzebne, aby ta trzecia osoba siadała napowrót w maleńkim foteliku, który był zwykle przecież uprzywilejowaniem miejscem wchodzącego gościa właśnie?

Trzecia osoba spostrzegła, że druga radaby bardzo dowiedzieć się, z czego pierwsza tak się śmiała przed chwilą.

Natychmiast zatem poczęło się opowiadanie jakiejś anegdotki.

— Przed twojem przyjściem opowiadałem tu

właśnie pani odwiedziny nasze u wspólnego naszego przyjaciela, pana Berti. Od czasu ostatniego figla był on tak rozgniewanym na wszystkich swoich przyjaciół, że nikomu drzwi domu swego nie chciał otwierać, okna nawet kazał ceglami zamurować do połowy. Wybiera się nas zatem dziesięciu, samych chwatów i wesołych chłopaków, do niego w odwiedziny. Ale jak go tu wywabić z jego jaskini? Widocznie odprawiał poobiedną drzemkę; ponad jego dworem wznosi się pagórek, a na nim stoi wiatrak. Tyś go musiał widzieć, Kolomanie, gdy tam byłeś. Przed wiatrakiem ustawiony był wieki kamień młyński a obok leżała belka, niedopuszczająca by się stoczył nadół z pochyłości. My więc kierujemy kamień w stronę dworu, a potem usuwamy z przed niego belkę; uwolniony kamień młyński w mgnieniu oka stacza się jak lawina i uderza tak gwałtownie o ściany dworu, że chyba każda cegła zadrżała zosobna. Berti wyobraził sobie, że ziemia wzruszyła się w swych posadach i z gołą głową wypada na dziedziniec. Wtedy my występujemy całym szeregiem i zdejmując kapelusze, witamy go najuprzejmiej: „Wybacz pan, chcieliśmy zapukać tylko, aby się przekonać czy gospodarz w domu.“

Koloman nie spuszczał z oka twarzy Katinki; śmiała się i teraz wprowadzie z tej anegdotki

o opuszczonym swym małżonku, tylko że nie był to śmiech taki jak poprzedni.

Młody prawnik przez zazdrość chciał rozmowę na inny sprowadzić przedmiot. Zauważył u Balvandy'ego czarne rękawiczki.

— Po kimże nosisz żałobę? Czy ci kto umarł?

Tem tragicznem pytaniem sądził, że położy tamę powszechnemu zbyt wesołemu humorowi.

Ależ udało mu się!

Na tę interpelacją twarz Balvandy'ego przeciągnęła się nagle, rysy przybrały powagę, ściągnął kąciki ust, spojrział płacząco, potem wyjął z kieszeni chustkę i rogami począł sobie obcierać oczy, a wreszcie wybąknął drżącym głosem:

— Moja biedna ciotka umarła. Pozostawiła mi dobra Kordicza. Oby jej Bóg dał niebo, biedaczce!

Katinka rozśmiała się głośno z tej parodi, całkiem już tak jak poprzednio. Ale bo też Balvandy taki był śmieszny, gdy naśladował dziecięce łkanie.

— Właśnie prosiłem tu panią, ażeby od dziś za tydzień raczyła w gronie dawnych wielbicieli ukazać się na nabożeństwie żałobnem za duszę nieboszczki, w kościele Franciszkanów.

Koloman popatrzył pytająco na Katinkę. Za tydzień powinni już byli być w Ems. Pani nie odpowiedziała nic...

— Za dwa tygodnie zaś, — ciągnął Balvandy tymże samym żalobnym głosem, — odbędzie się w dobrach Kordicza instalacya. Uroczyste wprowadzonym zostanie w posiadanie spadku po nieboszczce, który to akt połączony będzie z wielkiem polowaniem z nagonką, przedstawieniem teatralnem i poświęceniem kościoła. I na tę uroczystość również mam nadzieję, wolno mi jest ustnie prosić szanowną panią. Przyjaciela mego Kolomana zainwituję listem o wielkiej pieczęci.

„Możesz mnie długo prosić, — pomyślał sobie Koloman, — Bóg wie gdzie my będziemy wówczas.“

Katinka jednak nie odmówiła wcale temu zaproszeniu, przeciwnie, zajmowało ją rozpytywanie się o szczegóły instalacyi.

— I co tam pan masz właściwie w tych dobrach?

— Nędzne dwadzieścia wiosek i wspaniały nowy kościół, który wystawiła zmarła.

— Tak? A gdzież zamierzasz pan przyjąć gości?

— W lesie wybuduje się wspaniałe namioty z desek.

— A gdzież będą dawać przedstawienia aktorzy?

— Postawi się dla nich prześliczny teatr z desek także.

— A gdzież się bal odbędzie?

— We wspaniałej reducie z desek.

— Ha, ha! prawdziwa wspaniałość z desek!

— No, zobaczy pani co to będzie za przepych, za zabawa, jakiej świat nie widział od czasów, kiedy cesarz Józef bawił w tych lasach. Ja pokażę, jak się to bawić można pośród kniei.

Kolomana gniewało to, że Katinę tak bardzo zajmuje cała ta sprawa. Przyszły mu na pamięć wszystkie te oszczerstwa, które czytał w procesie o osobach jej i Balvandy'ego.

A dla niego nie ma teraz piękna gospodyni ani jednego słowa. Dotychczas nie poprosiła go nawet, by zajął miejsce.

Z goryczą w sercu podszedł do papugi. Ta przynajmniej zawsze doń przemawia czułem, pochlebnemi słowy.

I teraz przemówiła również; ale teraz zawołała:

— Ty ośle!

Koloman założył sobie nie wyjść dopóty, dopóki nie oddali się Balvandy; ale wtedy nie zostanie tu i minuty dłużej.

Plan ten atoli jedna chwila obróciła w niwecz.

Katinka rzekła nagle do obu:

— No, a teraz idźcie sobie, bo muszę przebrać się do teatru.

Bohaterowie sięgnęli po kapelusze.

Katinka równocześnie podała obudwom ręce do pocałunku.

Koloman poczuł delikatny uścisk swej dłoni i pomyślał o tem, czy też równocześnie nie uściśnęła tak samo ręki drugiego?

Kiedy na ulicy żegnał się z Balvandym przemówił doń baron z obmyśloną serdecznością:

— Jutro zatem spotkamy się u pięknej pani, a za dwa tygodnie na polowaniu w Kordicza.

Koloman nagle zapoznał się z zazdrością. Oszołomiony był nią, nieprzytomny, jak człowiek co pije dwojakie wino, słodkie i cierpkie.

Czuł, że ma pełne prawo nienawidzić tego człowieka. Jako prawnik mógł sobie być postawić pytanie, na czem polega to prawo nienawidzenia? Obaj walczą z sobą o jeden przedmiot. Jeżeli wszakże mowa tu o prawem nabyciu, wtedy Balvandy uważanym być musi jako *primus acquisiteur*, on zaś za uzurpatora tylko. To niedostateczny tytuł prawny. Nienawiść to zatem dwóch złodziei, co się biją o skradzione dobro.

Bądźcobądź, w takich wypadkach walczące z sobą strony odrzucają na bok kodeks i same piszą sobie prawa.

Koloman śnił wciąż sen różowy, o krwawych odcieniach.

Tak więc będzie!...

Jutro spotkają się u pięknej pani, i tam powie on Balvandy'emu:

„Mój panie! Nie pojedziemy polować w Karpaty. Proponuję ci zapasy, w których my obaj będziemy i myśliwcami i zwierzyną równocześnie. Kto z nas wówczas wyjdzie z tych łowów cało, ten niech uniesie nagrodę walki dokąd zdoła, ja do Ems, ty w Karpaty.“

Tak, ale na to aby do Ems jechać, trzeba pieniędzy i stoimy znowu przed tą samą przeszkodą. Ten, co śni ów sen różany, radby ulecieć w powietrze, a tu nie może nóg podnieść. Czuje, że mu ciężą ołowiem.

A mózg jego cały ogniem jest i płomieniem.

Naraz spostrzega, że znajduje się w pokoju pana Handelsmanna, tak jak to bywa we śnie, który nas z miejsca na miejsce przenosi.

— A! pan Jenöi! Znowu się więc widzimy! — powitał go pan Handelsmann, zacierając ręce. — Czemże mogę służyć?

Koloman przez chwilę stał zamyślony, a potem zerwał się nagle.

— Przyjmuję te pieniądze — wybąknął zdławionym głosem.

— I do tej chwili są też one do pańskiego rozporządzenia, — wymówił bankier i wyjął z szuflady tenże sam portfel. Dotąd go jeszcze nie schował był na właściwe miejsce... Wiedział, że po niego powrócą. — Czy zechcesz pan przeliczyć pieniądze raz jeszcze?

— Wystarcza, żeśmy je poprzednio liczyli.

— Hm, hm. Niech i tak będzie. Podpisze pan teraz oblig?

— Podpiszę.

Pan Handelsmann zadzwonił, zaczem z kancelaryi wyszedł młody człowiek w wytartym surducie, trzymając w ustach pióro.

— Mauler! — odezwał się lichwiarz, — zawołaj no tu i Pacsnika, a potem wyliczycie temu panu sumę i podpiszcie rewers jako świadkowie.

Panowie Mauler i Pacsnik przeliczyli z urzędową powagą dziesięć tysięcy guldenów na stole. Cztery piąte są w papierach wartościowych, a co to za papiery wartościowe, to już nie obchodzi zupełnie świadków.

Spełniwszy swe zadanie, panowie ci usunęli się dyskretnie; ale Koloman mógł zauważyć, że poza portyera szklanych drzwi biura bezprzestannie ktoś śledzi ich bacznie. To na wypadek, gdyby zrozpaczonemu dłużnikowi przyszła ochota potężnym razem pięści skwitować dług swój na głowie pana Handelsmanna, a potem z zamkniętym portfelem wymknąć się za drzwi. Niedawno temu zdarzyło się, że pewien młody dłużnik wyrwał mu rewers z ręki i zanim zdołał temu przeszkodzić, pożył go i połknął.

— To więc byłoby już załatwione, — przemówił pan Handelsmann, kładąc rękę na zwią-

zanych paczkach pieniędzy. — Teraz chodziłoby tylko jeszcze o małą, nie nieznaczającą formalność. Jak powiadam formalność to tylko.

— Cóż takiego?

— Pan nie jesteś jeszcze pełnoletnim, jak to powiedziałeś i jak to zresztą sam widzę. Prawa nasze stanowią, że długów zaciągniętych podczas małoletności, doszedłszy do lat wolno nie uznać. Można żałować tego, że się wzięło pieniądze, a wówczas i wierzyciel żałować musi, że dał, bo ich nie odbierze nigdy. Przeciw temu wynikowi rzeczy przeto używać zwykliśmy pewnej prezerwatywy. Proszę, siadaj pan tu obok mnie... Cała ta rzecz jest żartem, bagatelką. Małoletni dłużnik pisze w imieniu ojca, matki czy ciotki, po których spodziewa się odziedziczyć spadek, list do mnie, w którym spadkodawcy ci zapewniają mnie, że odnośna suma wypłaconą mi zostanie przez piszącego.

Koloman skoczył przerażony. Nie mógł znaleźć wyrazu na to, co chciał powiedzieć.

— Co? Ja? Sfałszować list na imię mojej babki?

— No, no, niema się co tak unosić. Z tego nie może wyniknąć nic złego. Każdy robi za zwyczaj to samo, a jeszcze nie było wypadku, aby stąd dla kogo wyniknęły nieprzyjemności. To rzecz całkiem naturalna. Młodzieniec mógłby, doszedłszy do pełnoletności, prawnie dług swój

unieważnić. Ale nie uczyni tego, bo wówczas znagliłby mnie do wystąpienia z owym poręczającym listem, a w takich wypadkach małoletność nie istnieje już dla sądów. Woli przeto zapłacić dług swój i tym sposobem wycofać ów list, nieco śliskiej natury.

Koloman przeraził się.

— Tym sposobem więc każdy młody człowiek, który od pana otrzymuje pieniądze, musi wyjść z tego domu fałszerzem!

— No, no, nie gorączkujże się pan tak bardzo.

Koloman też nie gorączkował się już ani trochę, tylko włożył rewers swój do kieszeni i wymówił:

— Uniżony sługa!

— Powrócisz pan tu jeszcze!

— Tutaj, nigdy! — zawołał Koloman, chwycił za kapelusz i podążył ku drzwiom.

Febra nim trzęsła na samą myśl, że ktoś posądzać go może o taki stopień upadku.

A przecież musiał wrócić raz jeszcze...

Przyczyna tego była następna. W sieni dopiero spostrzegł, że zamiast swego kapelusza, pochwycił w pośpiechu kapelusz bankiera, w którym ginęła mu całkiem głowa. Trzeba było przeto wrócić po swój własny.

Bankier przyjął go śmiechem.

— Widzisz pan, przepowiedziałem, że pan tu powrócisz!

— Po mój kapelusz tylko, — odpowiedział Koloman szorstko.

Jakże jednak został zdziwiony, gdy w swym kapeluszu zobaczył zapakowane dlań pieniądze.

— Co to jest?

— Pańskie pieniądze... Nie gniewajże się pan na mnie... Chciałem pana poprostu wystawić na próbę. Bo na świecie dwa są rodzaje gentlemanów: tacy, co mają słowo honoru na ustach i tacy, co je mają w sercu. Ja teraz znam już pana i od pana nie będę żądał takiego listu. Bierz pan swoje pieniądze.

Kolomanowi zapachniało kadzidło pochwały.

Wyjął z kieszeni odebrany rewers i podał go panu Handelsmannowi.

Ale bankier wziął rewers, róg jego zapalił u płonącej zawsze spirytusowej lampki i palący się papier rzucił do pieca.

— Tak, mój panie, jesteś dumny swoim honorem. To pięknie z twej strony, to dzielnie. Spaliłem pański rewers. Tym sposobem dług pański staje się długiem honorowym, i teraz ja jestem zupełnie zabezpieczony. Mógł byś pan mieć kaprys zaprzeczyć prawnie ważności swego rewersu. Ale tego kaprysu, by wyprzeć się honorowego długu i nie zapłacić sumy na słowo pożyczonej, pan nie będziesz miał nigdy. A teraz, żegnam pana!

Koloman czuł się rzeczywiście podniesionym.

Patrzcie, liczą do do rzędu tych wzniosłych charakterów, którym dozwolonem jest rujnować się na dane słowo i słowo to płacić albo pieniędzmi, albo kulą posłaną w czaszkę.

To zawrotna wyżyna dla młodej głowy!

A teraz ma już w rękę ową potęgę, dzięki której może zapewnić tryumf swej namiętności, swej dumie. Może już teraz współzawodniczyć z owym drugim „panem“.

Oczywiście przedewszystkiem podążył do domu; aby otrzymane pieniądze schować w bezpieczne miejsce. Na zmienienie losów dość będzie później czasu.

W sieni już czekała nań kucharka.

— Śpiesz-no pan, śpiesz! Już na pana czeka tu ktoś oddawna w ogrodowym pokoju.

— Kto taki? — spytał Koloman.

— Kto, no kto? — odpowiedziała filuternie kucharka. — Prześliczna pani.

Kolomanowi poczęło gwałtownie bić serce. Może „ona?“ Może przyszła za nim, aby go przejednać. Po niej i tego spodziewać się było można...

Ależ dał się zwieść ślicznie! Kiedy z bijącym sercem otworzył drzwi sypialnego swego pokoju, zastał w nim kulawego Biroczy'ego.

On to był ową prześliczną panią.

Koloman nie wiedział, czy ma się cieszyć, czy gniewać, z powodu zobaczenia dawno nie-

widzianego kolegi. O nim, coprawda, teraz najmniej myślał.

Ale Biroczy powitał go z całą serdecznością, a faunowa twarz jego wyrażała radość, którą z sobą tu przyniósł. Ścisnął go za rękę bez końca i nie chciał jej puścić.

— Przynoszę ci radosną wiadomość.

— Jakąż to?

— Przychodzę z poselstwem od nadżupana Decsery. Nadżupan podczas feryj sądowych wyjeżdża do swoich dóbr i życzy sobie na ten czas zabrać ciebie z sobą.

— No, i cóż w tem tak wielce radosnego?

— Jakto? Alboż to nie radosna dla ciebie wiadomość? Toż chciałeś być u niego juratem...

— Ale nie zaczynać na wsi karyery jurata.

— Słuchajże, tam się bawią wybornie. Zbiera się tam wytworne towarzystwo. Okolica prześliczna, piękny zamek i park wspaniały...

— Że zaś ja nie jestem ani ogrodnikiem, ani myśliwym, cóż więc począłbym w tym parku?

— A co będziesz robił w Peszcie podczas całego ogórkowego sezonu; chyba, że zechcesz chodzić codzień do menażeryi na Kerepeszskiej ulicy, albo co niedziela „pod Gwardzistą“ próbować sił swoich z czeladnikami rzeźnickimi?

— Ja ci się przyznam, że wsi nie lubię.

— Hrabia zresztą ma wspaniałą bibliotekę,

z rzadkim zbiorem rękopisów, z którego mógłbyś niejednej zaczerpnąć wiadomości.

— I to nie zabawa na te psie upały.

— Słuchaj-no, będzie tam jeszcze inna rozrywka... Stara księżna przywozi właśnie z klasztoru z Wiednia wnuczkę do domu. Twarz, mówię ci, piękna jak u anioła. Widziałem miniaturę jej, malowaną na słoniowej kości. A będziemy mieli sposobność podróżowania z nią razem w jednej karecie. Księżna sama życzy sobie tego, abyśmy z nią się wybrali ponieważ lęka się jechać przez Alfödskie stepy. Będziesz z pewnością siedział naprzeciw pięknej hrabianki.

Tego już nadto! To tak zupełnie, jak gdyby człowiekowi choremu na żołądek, mówiono o drogich, dobrych potrawach. Toż on właśnie i teraz chory jest na piękną twarzyczkę.

— Nie mógłbym odjechać tak nagle. Przecież nie mogę porzucić mojej roboty u Korczy i bez wszystkiego z nim się rozstawać.

— Pan Korcza będzie jutro w porze obiadowej w domu, wtedy będziesz mógł pożegnać miłe jego oblicze. Na twoje miejsce zaś codzień już przychodzi do biura kancelista, który załatwia wszystkie roboty. Dziwi mnie tylko, żeś się od dwóch tygodni z nim nie spotkał..

Teraz naprawdę już wpadł w gniew Koloman.

— Ale daj mi raz pokój wreszcie z twoim nadżupanem, twoją księżniczką i twoją hrabianką. Nie pojedę teraz z niemi, choćby chodziło o podróż do królestwa niebieskiego.

— Niech i tak będzie. Dziś, jak widzę, wstałeś lewą nogą z łóżka. Prześpij się dobrze tej nocy. Jutro wieczorem powrócę. Trzy dni mają czekać na ciebie.

— Zobaczę cię z przyjemnością, jeśli mnie zastaniesz w domu. Ale szkoda byłaby doprawdy, gdyby ci państwo, czekając na mnie, więcej peszteńskiego kurzu połknęli, bo ja teraz jechać nie mogę.

— Czyś chory?

— Tak jestem chory.

— Dobrze; odwiedzę cię jutro. Może przyśni ci się piękna twarz hrabianki.

Koloman zamknął drzwi, skoro wyszedł Biroczy i już tego dnia nie wyszedł ze swojego pokoju.

Wyjął listy, które piękna pani pisała do niego, i odczytywał je ciągle na nowo... Po kropelce wysysał z nich odurzającą truciznę, która żywemu człowiekowi wrywa duszę z ciała. Szukał w nich pociechy, a gdy ją znalazł, szukał goryczy.

Późno w noc poszedł spać...

Miał nadzieję, że o niej śnić będzie.

Ale sen to wieszczka, której kaprysów z góry odgadnąć nie można.

Przed Jenöim we śnie stanęła twarz kobieca; ale nie była to twarz Katinki.

Oblicze promienne, jak Bóg; — wspaniałe jak kraj ojczysty; z uśmiechem ciepłym jak słońce. Skoro zamknie oczy, zda ci się, że to konanie; kiedy je napowrót otworzy, że to zmartwychwstanie. Milczenie twarzy tej jest mową; jej spojrzenie jakimś wołaniem wielkiem; — mgła smutku mroczy ją wiekuistą nocą; — obie ócz gwiazdy, to dwa światy olbrzymie, niezmiernone. Sen cały, to jakby historia ośmiu stuleci...

Czyjeż to może być oblicze?

Koloman zbudził się, czoło okrywały mu krople potu. A i wtedy jeszcze, na jawie, czuł, że twarz tę, dla której nie miał nazwy, przyciska do swojej piersi; nie mógł się otrząsnąć z wrażenia.

Ah, cóż tam, to sen przecie!

Sen oznacza, żeśmy spali i nic więcej...

Jenöi przedsięwziął sobie iść dalej po tej drodze, na którą wstąpił. Niechaj mu nikt nie narzuca rad żadnych, ni to na jawie, ni we śnie.

A przecież śnił wciąż jeszcze.

Śnił wciąż ów sen różowy, o krwawych cieniach.

Pan Jenöi opuścił mieszkanie ze stanowczym zamiarem, że gdziekolwiekby spotka pana Bal-

vandy'ego, rozpocznie z nim sprzeczkę. To będzie pierwszym jego czynem.

Spotkał go też niebawem, ale spotkał tak, że nie mógł rozpocząć sprzeczeki. Balvandy jechał konno.

Dziwnie upokarzająca pozycya, kiedy pieszy spotyka jeźdźca. Na tego każdy patrzy, obrzucają go spojrzzeniami; sam tętent konia ściąga już do okien panie; o całą miarę człowieka stoi on ponad tłumem.

Ponieważ więc pieszy żadną miarą nie może pochwycić jeźdźca, nasz bohater przeto musiał wracać do domu, nie załatwiwszy na ten raz sprawy. Tu czekał go inny jeździec — huzar. Ale ten przyszedł pieszo.

Pan Jenöi w wysmukłym wojaku, obwieszonym sznurami, guzami i szychami, zaledwie poznał dawnego swego kolegę Feri Csuka.

Feri Csuka zresztą i dziś, jak dawniej, był na „ty“ ze swymi kolegami, nie zwracając na to uwagi, że on jest huzarem kiedy tamten tylko cywilnym i że on sam zarabia już sobie na kawałek chleba, jako pierwszy waltornista pułkowy, kiedy tamten żyć musi jeszcze na kredyt.

Ścisnął woiąż rękę Kolomana.

No, a pan Jenöi cieszył się także cokolwiek, że widzi znowu dawnego kolegę. Dowiedział się od niego, że jest teraz na urlopie i jedzie do domu, a Peszt leżał mu po drodze.

Ale twarz gościa błyszczała jakąś wielką radością. Widocznem było, że cieszyło go coś więcej jeszcze niż to widzenie się.

— Czy już czytałeś „Tu domanyos gyüjtemény“ (Uczone zbiory) — spytał pana Jenöi.

Pan Jenöi popatrzył mu w twarz ze zdziwieniem. „Tu domanyos gyüjtemény?“ teraz, kiedy on myśli tylko o tem jakby kupić sobie konia.

— Skądże tobie te „Uczone zbiory?“

— O, ja to mam, prenumeruję! Na to mi wystarcza żołąd. Co popołudnie zbierają się u mnie koledzy, powracając z rajtszuli, a ja im czytam wówczas.

— I ja trzymam pismo to również — mówił pan Jenöi.

Nie zauważył nawet, że już umie kłamać. Rozpoczyna się zazwyczaj od drobnostek.

— A więc zapewne czytałeś ostatni numer.

— Nie; nie poprzecinałem jeszcze kartek.

— Nie poprzecinałeś? — mówił zdziwiony trębacz; — patrz, tu mój numer, już rozcięty. Przeczytaj to...

— Co?

— List do nas!

— List do nas?

— Ale przecież zanotowany jest już w treści na tytułowej karcie!

— Na tytułowej karcie?

— Przyznajże, Kolomanie, żeś jeszcze nie widział nawet tego pisma.

Pan Jenöi zarumienił się... Gniewało go, że go tak pochwycono na kłamstwie. A zresztą, cóż go tam obchodzi cała ta nudna bazgranina?

— Widzisz, a przecież dobrzeby było, żebyś ten list przeczytał. Bo pisze go nasz przyjaciel, podróżnik Paweł Barko, z kirgizkich stepów do nas, swoich kolegów-kronikarzy. Czy ty pamiętasz jeszcze, jakieśmy pisali tę kronikę?

Dusza Kolomana nagle spochmurniała, jak kiedy wiatr przysłoni słońce wiosennymi obłoczkami.

— Pozostawiam go u ciebie, przeczytaj — powiedział Feri Csuka — a po południu przyjdę po numer. Gdybym cię miał nie zastać, to odeślij go Biroczy'emu, u którego mieszkam i który dzieli ze mną swoje łóżko, jak niegdyś.

Trębacz położył na stole Kolomana starannie obłożoną w papier broszurę, raz jeszcze silnie dłoń mu uściśnął, a potem oddalił się pewnym, silnym krokiem, z brzękiem ostróg.

W uczuciach pana Kolomana pozostał jakiś ton fałszywy. Niemilem mu było, że ten stajnią, woniejący żołnierz uważnie śledzi to, o co on się teraz już nie troszczy wcale. Tamten od ust odejmuje sobie kawałek chleba, zrzeka się tak milej mu fajki, aby ze szczupłego żołdu nabywać jedyne naukowe węgierskie czasopismo;

tamten po mozolnej żołnierskiej pracy, kiedy wyjdzie z garnizonowej kapeli, jeszcze gromadzi dokoła siebie towarzyszy i odczytuje im to, co węgierska nauka dać im zdoła. A on, co powinienby iść przodem on... nic nie robi.

Jednakże wziął w rękę zeszyt i począł czytać.

Były to listy młodego węgierskiego uczonego, do pozostałych w kraju przyjaciół, które gazeta zamieściła.

A skoro raz zabląkał się Koloman w tę pustynię, zgubił się w niej już całkowicie.

To co czytał zabrało całkiem w niewolę jego duszę.

Były to przygody śmiałego młodzieńca o żelaznej woli, który sam, bez niczyjej pomocy ni protekcji, bez wskazówek wybrał się w świat szeroki, w nieznaną świat, kędy nie zabląkał się jeszcze żaden europejski podróżnik — ażeby szukać tam pozostałych śladów swego narodu; by kraj swój z bogactwami takimi zdobyczami, z powodu których świat cały o nim mówić będzie zmuszony.

To bohater, to Ryszard Lwie serce, z jego sercem ale bez jego miecza; Mojżesz, który dla swego niewolniczego ludu szuka Kanaanu wolności; szaleniec, którego szaleństwem wiedza; prorok, na którego zstąpiły ogniste języki Pana.

Co za prostota, co za prawda w opisach! Nigdzie frazesu, ani trochę patosu, nie tylko

przekonywająca, na własne oczy oglądana rzeczywistość.

Kiedy opowiada, że spał na gołej ziemi, nie mówi, że była twarda; kiedy go zasypała zamieć śnieżna, nie mówi, że znosił zimno; kiedy przez kilka dni z rzędu nie natrafił na ludzkie mieszkania, nie mówi, że głód cierpiał; kiedy ścigany odniósł rany, kiedy włożono nań więzy, kiedy go przypiekano u ognia, nie mówi, że cierpiał; kiedy nie znalazł tego, czego szukał, nie mówi, że go bolał zawód; kiedy zmęczenie, niebezpieczeństwa, przeszkody zwały się nań tak, iż pod niemi upadał, nie mówi, że zrozpaczył. Zbiera napowrót siły i przedziera się coraz dalej w świat nieznaną. A co opisuje, to wszystko jest nauką. O niegościnnych skałach piaszczystych pustyń mówi jako geolog; z nazw licznych dzikich ludów może sobie filolog złożyć studyum porównawcze. Kiedy pośród nich dostał febry, studjuje stare ich zwyczaje leczenia. Trafia na miejsce, gdzie go polubiono, gdzie mu ofiarują słodkie rodzinne ognisko, ze słodszą jeszcze miłością; nie pozostaje jednak tam, idzie dalej, dokąd go wiedzie powołanie. Przebiegł łańcuchy gór i opisał florę tych szczytów, wśród których nie natkasz śladu człowieka. Służył tatarskiemu panu za niewolnika, kuł ołów nad jeziorem Koliwan, jako zbiegły i pochwycony napowrót niewolnik.

Sypiał z uciekającymi rozbójnikami w jaskini białych skorpionów i jako przyrodnik opisał minę, skorpiony i rozbójników; ścigany przez altajskiego niedźwiedzia, ukrywał się tak długo w spróchniałem drzewie, póki tamtego głód nie znaglił do ustąpienia. Utracił podczas burzy na morzu całą garderobę, ale uratował w torebce swoje zapiski. Rosyanin pewien, który dowiedział się jakie skarby zebrał wędrownik w długiej swej podróży, ofiarował mu dwa tysiące rubli za to, żeby je przesłał petersburskiemu Towarzystwu geograficznemu. Ale on nie wydał mu ich, tylko uprosił Rosyanina, aby na mapie wyszukał miasteczko, które się zwie Pesztem, bo tam istnieje pisemko uczone, któremu właściciel zapiski te ofiaruje za darmo i Rosyanin odesłał papiery te do Pesztu. Tym sposobem listy przybyły do kraju.

Co powiodło tak daleko ich autora? co te listy doprowadziło do ojczyzny? O, czyż Kolo-man tego nie rozumiał?...

Nieskończona miłość, miłość bezmierna, na którą niema na ziemi nazwy; którą opiewają psalmy nad wodami Babilonu; pod której techniem mieszkaniec Irlandyi, przeniesiony na ląd stały, więdnie; która zimnego Niemca rozplómienia, a gorącego Francuza przywodzi do szału — on tylko miałby jej nie czuć?

On tylko nie miałby wiedzieć, jaka to ubłogosławiona postać niewieścia pojawiła mu się we śnie?...

Och tylko on miałby nie wiedzieć *kim ona jest* — on... poeta?

MALOWIDŁO NA SŁONIOWEJ KOŚCI.

Koloman wpadł do pana Handelsmanna i wciśnął mu w rękę wczoraj otrzymane paczki z pieniędzmi i niepieniędzmi: „Masz je pan, ale moje słowo honoru odbieram napowrót“. — A potem nie czekał już co czcigodny pan ów na to powie, tylko uciekł z jaskini smoka coprędzaj.

Stamtąd następnie podążył do Biroczy'ego. Wpadł do niego, jak ktoś co przed chwilą przepłynął Dunaj i sam się cieszy z tego, że nie utonął.

— No, jestem więc. Rozporządzaj mną. Prowadź mnie dokąd chcesz...

Biroczy przycisnął przyjaciela z prawdziwą radością do piersi. On wiedział z jakiego uratował się niebezpieczeństwa.

Niebawem nadszedł i trębacz. A jakże ten teraz cieszył się tem spotkaniem! Koloman nie ukrywał przed nim tego, że jest teraz całkiem innym, niż był zrana.

Obiad zjedli trzej młodzieńcy razem; nie wy-

puszczali już z rąk swych Kolomana, popołudniu zaś dostawili go panu Korczy. Nie mógł im teraz już przepaść. Pan Korcza, skoro mu Biroczy wyjaśnił sytuacją, natychmiast przybrał się w strój paradny i poprowadził Kolomana do księżny, aby jej go przedstawić. Oprócz tego, jako plenipotent rodziny Decsery, miał zawiadomić księżnę o rozmaitych innych rzeczach.

— Ja będę twoim tłumaczem, *domine frater*, a ty będziesz moim. Jeślibym gdzie utknął w niemieckim dyskursie, pamiętajże mnie z błota wyciągnąć.

Niemiecka rozmowa była słabą stroną pana Korczy, u Decserów zaś był to język domowy. Po węgiersku mówi tylko dziadek; odważa się też czasami używać tego języka i nadżupan wówczas, gdy już inaczej być nie może, ale z wyraźnym cudzoziemskim akcentem i okropnie łamaną mową. Młodsza generacja zaś zupełnie już nie zna węgierskiego „narzecza“.

Księżna wozila z sobą mało służby; była niezmiernie oszczędna. Jeden jedyny lokaj przyjął przybyłych w przedpokoju. Pan Korcza i jego pupil, nienarażeni na długie czekanie, wpuszczeni zostali do księżny, która stając w peszteńskim swym pałacu, z oszczędności zajmowała tylko jeden pokój. Opalanie większej ilości pokoi spowodziłoby bezpotrzebne koszta. To też sale tego pałacu, o grubych wilgotnych murach i wiecznie

zapuszczonych żaluzjach, latem tylko ogrzewało skwarne słońce.

Tu, w małym tym pokoju, przyjęła księżna przybyłych. Pana Korczę znalazła od dawnego czasu a i o Jenōim słyszała już poprzednio. Wnuczka również znajdowała się przy księżnie i obaj panowie zostali jej przedstawieni.

Księżna była to otyła pani, o cerze niezmiernie białej i siwych w loczki ułożonych włosach. Oczy jej poglądały z wyrazem godności i dobroduszności zarazem; widać było, że usiłuje zawsze czynić dobrze, oczywiście o ile to dobro nie kosztowało pieniędzy.

Księżna podała panom do pocałowania rękę, okrytą miteńką, i lekkim poruszeniem ręki ukazując wnuczkę, przedstawiła ją: „Hrabianka Dorota“.

Trzeba było zaprawdę na to prawdziwie książęcej śmiałości, aby w Węgrzech córkę ochrzcić imieniem Doroty, odkąd, dzięki satyrycznej epepei Csokonay'a, imię to doszło do tak dwuznacznej sławy; ale hrabianka mogłaby nazywać się choćby Hekata lub Meduza, a zdumiewająca jej piękność zawsze toż samo robiłaby wrażenie. Powiedziałbyś, że to obrazek na słoniowej kości: twarz blada, z ledwie dostrzeżonym rumieńcem, otoczona falą obfitych, połyskujących złotem włosów, których przepych podnosiło jeszcze proste zaczesanie w jeden gruby warkocz. Brwi i rzęsy

niemal czarne, pod niemi wielkie oczy, błękitne, nie tym nudnym błękitem nieba lub niezabudek, ale barwą jezior górskich.

A usta?... to drobniutkie listki różane, czarowne kiedy się rozchyłą dla wymówienia jakiego słowa.

— Hrabianko, jak długo pozostanie pani w Peszcie? — pytał Koloman, na co odpowiedziała z łagodnym uśmiechem:

— Jutro jedziemy *ensemble!*

„*Ensemble!*“ Co za czarodziejskie słowo? Czy istnieje na ziemi wyraz rozkoszniejszy?

Kolomana coprawda, porywał każdy wyraz, wychodzący z tych cudnie pięknych usteczek; zachwyty ten mącił mu tylko czasem pan Korcza, który w rozmowie z księżną co krok utykał, a wtedy zwracał się zawsze do Kolomana o pomoc, z interpelacją: „jakże się to mówi?“ Rozmowa ta była-bo też niemałą dla niego pracą!

Kiedy wreszcie księżna, podniósłszy się, dała im ten znak, że odejść mogą, pan Korcza tak był rad, jak uczeń źle przygotowany, który przeszedł gorący egzamin. Kolomanowi natomiast urastały skrzydła.

Słówko „*ensemble*“ z pięknych tych ustek otwarło przed nim świat nowy, jak kiedy przed biedną, obciążoną grzechami duszą, na zawołanie anioła odemkną się nagle wrota rajy.

Gdy żegnał się z panem Korczą, dwukrotnie

ucałował twarz pryncypała, choć ta nie była przecież bynajmniej do całusów stworzoną. Łzy mu płynęły strumieniem, kiedy dziękował za wyrażoną przysługę, z czego znowu pan Korcza śmiał się zapamiętale.

— Dobry był z ciebie chłopak, frater! — mówił, ściskając Kolomana. — Ja, bardzo cię lubilem. Starajże się, aby cię i nadżupan polubił. On wiele będzie mógł dla ciebie zrobić.

Adwokat zdał następnie Kolomana w ręce Biroczy'ego. Mały kulas i trębacz nie pozostawili go już ani na chwilę samemu sobie. Ale strażowanie to było całkiem zbytecznem. Dźwiگاł on pęta uroku jednego jedynego słówka, zagrożony w przepaści tych zabarwionych błękitem górskich jezior oczu.

Tamta była całkiem już zapomniana.

Wczesnym rankiem nazajutrz zajechała wielka karetka podróżna, do której poczytylion w cesarskim mundurze zaprzągł cztery konie; juraci pomagali w upakowaniu rzeczy. Tylna część staroświeckiej landary zastawiona, poprzywiązywanyimi kuframi i pudłami, wyglądała jak arka, która gotuje się przetrwać potop.

Czwarta była, gdy księżna i Dorota zeszły z piętra zamku. Lokaj wyniósł za niemi torbę podróżną. Koloman i Biroczy oczekiwali u drzwiczek karety. Koloman stał z wielkim pałaszem w ręku, Biroczy'emu zaś ostentacyjnie wyglądały

z kieszeni dwa pistolety. W owych czasach trzeba było takie przygotowania robić na podróż do Alfödu.

Księżna życzyła im dzień dobry i zapytała, czy już są po śniadaniu, nie zwracając przecież bynajmniej uwagi na to co odpowiadali. Koloman podał jej pośpiesznie rękę by dopomódz wejść po stopniach karety; następnie spłynęła po schodach hrabianka i zajęła miejsce na tylnem siedzeniu, obok babki. Z kolei wszedł Biroczy i usiadł naprzeciw księżny, gdy tymczasem Kolomanowi przypadło czwarte wolne miejsce, na którym kolanami dotykał kolan hrabianki Doroty.

Służący zamknął drzwiczki, pocztylion zadał w trąbkę i ciężka arka potoczyła się ku rogatom miasta, trzęsąc nielitościwie.

Sen na różach był skończony. Koloman nie czuł już ani namiętności, ani zazdrości, ani wspomnienia rozkoszy, ani męczarni: wszystko wydawało mu się snem, męczącym snem, o którym mówimy: dobrze, że to sen tylko.

Jakież to szczęście módz podróżować w ciasnem pudle, które ludzi tak zbliża do siebie! Każdy przedmiot na drodze daje ci sposobność do nawiązania rozmowy. Koloman żywił tajemne pragnienie, aby jakaś przygoda dała mu sposobność stanięcia bohatercko w obronie towarzy-

szek podróży i wyswobodzenia ich z niebezpieczeństwa.

Niestety, los po macoszemu życzenie to pozostawił nieziszczonem. Rozbójnicy nie napadli karety; konie jej nie poniosły; prom na Cisie nie zatonął. Tem więcej za to było sposobności do wykazania galanteryi po stacyach, ilekroć chodziło o pozyskanie koni, o umowy z pocztylionami, o znaglenie oberżystów do dania czystego pokoju, czystej wody lub innych niepodobieństw. W tych rzeczach Koloman, rozwijał niezwykłą energią, tak że Biroczy zdumiewał się niepomalu.

— Nigdy nie byłbym sądził, że umiesz się tak kłócić.

Ale czegoż nie umie człowiek, kiedy mu słońce przyświeca!

Po południu powóz włókł się nudną płaszczyzną nieskończonej równiny. Gorąco było. Koloman czas jakiś objaśniał hrabiance widoczne w dali punkta, przyczem wymyślał różne podania i baśni; nagle wszakże spostrzegł, że delikatna twarzyczka pięknej panny coraz więcej poddaje się ogarniającej ją senności.

Księżna spała już oddawna.

Nakoniec i piękna Dorota oparła głowę o miękkie poduszki karety i... zasnęła.

Koloman pozostał „sam“, zaspokajając tylko wzrokiem nieme swe uwielbienie.

Mógł teraz patrzeć prosto w słońce.

I teraz dopiero zobaczył, jak nadziemskie zjawisko los rzucił na jego drogę. Blade oblicze okrażała blaskiem jakaś nadziemska aureola. Kilka włosków zabłąkanego loczka, co się wysunął niekarnie, łechtalo twarzyczkę. Czemuż zapobiedz temu nie mógł? Małeńkie, otworem pozostałe usteczka zdały się coś szeptać we śnie... Czemuż nie mógł posłyszeć o czem mówią?

Powóz toczył się po murawie gęsto zahaftowanej rumiankami; dzwonki zaprzęgu brzękały monotonnie; zdala dochodził ryk bawołu ze trzciny. Obie panie spały, ale obaj juraci czuwali, rozmawiając z sobą po łacinie.

— Szkoda że nie umie po węgiersku — rzekł Biroczy.

— Zobaczysz, że się nauczy.

— Któż ją będzie uczył?

— Ja!

— Stoi zawysoko!

— Ja dorosnę, bym mógł ją dosięgnąć.

Naraz słowa zamarły na ustach Kolomana. Zobaczył coś, na widok czego zdrętwiał. A przecież nie był to bynajmniej tak straszny widok... Kiedy wymawiał te wyrazy, twarz obrazu na słoniowej kości oblał lekki rumieniec. Miałażby posłyszeć go rzeczywiście, a może i zrozumieć? Czy dlatego może zarumieniła się tak nagle?...

Ta twarz uroczo piękna sprawiła, że Kolo-

man zamilknął; dał tylko znak Biroczy'emu, aby nie mówił nic więcej. Ale niepotrzebną była ta wskazówka, powóz bowiem zawadził o kamień i obie panie zbudziły się równocześnie. Księżna krzyknęła w przestachu: „Jezus, Marya!“ Dorota zaś otwarła oczy i... uśmiechnęła się. Kolomanowi lżej się zrobiło na sercu, a piękne oczy wciąż zamykały się znowu.

Księżna natomiast stała się teraz nagle wielce rozmowną i raz po raz zwracała się z jakimś pytaniem do Kolomana. Chciała dowiedzieć się od niego nazw wszystkich miast, których wieże widać było zblizka lub zdala; nazw krzewów, które rosły przy drodze, ptaków, przelatujących w powietrzu. Kazała mu opowiadać sobie o jego rodzinie, a wypytawszy młodzieńca z geografii, historyi naturalnej i heraldyki, przeszła następnie na filozofią, historią i wyższe nauki polityczne, egzaminując go tak dokładnie jak profesor. To też Koloman nie mógł już oddawać się poprzednim swym kontemplacyom.

I tak to szło już ciągle, dopokąd nie zajęchali przed bramę pałacu Decsery'ch.

W dziedzińcu pałacowym oczekiwał już przybywających cały regiment służby i oficyalistów. Słońce miało się ku zachodowi; nadżupan wyszedł osobiście aż do sieni, powitać matkę i córkę. I dla Kolomana znalazł uprzejme słówko, następnie zaś oznajmił mu, że klucznik zaprowadzi

go do jego pokojów. Na marmurowych, szerokich schodach zniknęło przed Kolomanem zjawisko, które dotąd podziwiał; jego i Biroczy'ego zaprowadził klucznik bocznymi kręconymi schodami do apartamentu, przeznaczonego zawsze dla juratów, a składającego się z wielkiej sali, przedzielonej cienkimi przepierzeniami na trzy pokoiki. Okna tych pokoiów wychodziły na olbrzymi park, którego stuletnie lipy całe wówczas właśnie okryte były kwiatem; przez otwarte okna napływało wieczorne powietrze, nawskróś przesiąkłe wonią miodu.

— No, a cóż żałujesz, żeś tu przybył? — spytał Biroczy przyjaciela.

Długi, gorący uścisk dłoni był odpowiedzią.

Tego wieczora nie zobaczył już Koloman hrabianki. Panie były zmęczone; młodym paniaczom zaś wspaniałą kolacją podano na górze.

Inne-bo też to było życie, jak u pana Korczy! Juraci nadżupana Decsery żyli jak hrabie. Służba przyzwyczajoną była do tego, by młodzież, przebywającą tu w charakterze juratów, uważać za ludzi, z których z biegiem czasu będą sami dostojnicy, a kto wie czy nie ekscelencyje!

Koloman przespał pierwszą noc w tym pałacu jak ten, co przestąpił próg przybytku prawdziwego szczęścia.

Nazajutrz poproszono juratów na śniadanie

do jadalnej hrabiostwa sali, punkt o dziesiątej, wedle węgierskiego obyczaju. I stary hrabia był obecnym teraz, w niebieskim swym surducie, i głębokim ukłonem powitał Kolomana, który nie mógł zaponować na tyle nad sobą, by się nie zarumienić na myśl o owym „dwugroszniaku“. Szczęśliwym czuł się przynajmniej, że Dorota nie była obecną ich spotkaniu i że przeto nie widziała niezręcznego tego rumieńca.

Po śniadaniu nadżupan pocałował w rękę księżnę wielce patryarchalnie. Toż samo uczynili stary hrabia i stary rządcą dóbr, a za nimi obaj młodzieńcy. Widocznie księżna rządziła tu absolutnie.

Koloman, coprawda, przyzwyczajony był do kobiecych rządów; ale wyznać sobie musiał, że tu daleko umiejętniej władano, niż w domu jego babki. Rozkazy księżnej nie były hałaśliwe, przeciwnie łagodne, ciche, ale stanowcze.

— Panie administratorze — mówił stary hrabia zwracając się do rządcy — ponieważ księżna życzy sobie dziś przewodniczyć w radzie rodzinnej, proszę, zechciej pan przygotować potrzebne akta.

— Leżą już one na stole w archiwum — odpowiedział zagadniony.

— Byłem tego pewien, — odparł hrabia z wielką grzecznością. Poczem zwrócił się znów do księżny.

— Którego z dwóch juratów życzy sobie księżna wziąć za sekretarza przy radzie familijnej? Drugi z panów mógłby przez ten czas użyć przechadzki w parku. Może pana Biroczy'ego?

— Nie — ozwała się księżna — pana Jenöi proszę; niech pójdzie zaraz z nami.

Było to wielkie wyróżnienie.

Z jadalnej sali wszyscy przeszli do archiwum, którego starożytne, rzeźbione dębowe szafy zawierały akta rodzinne, i zajęli miejsce u wielkiego zielonem suknem pokrytego stołu. Księżna zasiadła na prezydyalnym miejscu i wskazała Kolomanowi krzesło na lewo.

Administrator rozwiązał plik aktów i począł je odczytywać głośno. Były one łacińskie.

Koloman nie słuchał ich treści, tylko przerażony patrzył w twarz księżnej: „Czy ona też to rozumie?“

Kiedy akt odczytano, księżna skinęła, że życzy sobie powiedzieć coś w tej materii.

Zabrała potem głos w najdoborowszej łacinie, jaką kiedykolwiek władał mężczyzna; mówiła o przedmiocie z wielką znajomością rzeczy i niezmierną przenikliwością.

Kolomanowi zdało się, że cały długi stół ten począł wraz ze wszystkimi siedzącymi u niego kręcić się dokoła. Rad był zapaść się gdzieś w ziemię.

Niestety, niemożliwem było zapadnięcie się

w ziemię, nietylko niemożliwym, ale i niedozwolonym, rada familijna bowiem poczęła zajmować się takim przedmiotem, którego antecedenecy on właśnie znał najlepiej: chodziło o ów krzyż rewindykowany.

Został on już sprowadzony do domu, był nawet postawiony, wzniesiono dlań kaplicę, a teraz miało tylko nastąpić poświęcenie obojga.

Zadawano Kolomanowi w tym przedmiocie pytania, a każdy przemawiał doń po łacinie.

Jeden nadzupan tylko stanowił w tej mierze wyjątek; ilekroć zabrakło mu łacińskiego wyrażenia, przytaczał niemieckie, a z tem znów utknąwszy, wracał do łaciny.

Koloman w głębi duszy przeklinał tego, co pierwszą w Węgrzech sprzedał gramatykę łacińską.

Jedyną miał jeszcze tylko myśl zbawczą, że może panie spały wówczas, gdy rozmawiał w karcie z Biroczym i nie słyszały słów jego, bo jeśli słyszały, to i zrozumiały...

I tę ostatnią deskę zbawienia wszakże wprędce mu odebrano.

Kiedy skończyło się posiedzenie rady familijnej i księżna powstała, skinęła na Kolomana, aby pozostał.

Koloman chciał ukryć przejmujące go drżenie, ale rumieniec go zdradził. Nie zdołał podnieść na księżnę oczu.

Zaledwo rozeszli się mężczyźni, ozwała się księżna powolnym, dobitnym głosem po łacinie do Kolomana:

— *Non semper, qui oculos clausos habent, dormitant.* (Nie zawsze śpi ten, co ma oczy zamknięte).

Twarz Kolomana na te słowa oblał płomienny rumieniec.

Ale księżna mówiła dalej:

— To dobrze. Niechaj tak będzie jakieś powiedział: „Ja do niej dorosnę!“ Dorośnijże! Jest to dewiza, którą u swego herbu wypisują ci tylko, co do tego czują dostateczną siłę.

Teraz już ośmielił się Koloman spojrzeć w oczy księżnej.

— Widzisz pan, ja lubię takich ludzi, których stać na silną wolę. Odwaga to szlachectwo... Opowiem panu historią, którą już może i słyszałeś. Obecny kanclerz był za młodu, jako zwykły jeszcze szlachcic, w domu swego wuja, kiedy przybyli doń goście. Wuj miał właśnie wyjechać za jakimś interesem. Goście żalowali tego niezmiernie i próbowali skłonić gospodarza, by pozostał w domu. Wtedy młody siostrzeniec ofiarował się przez czas nieobecności wuja podejmować gości, a stary dostojnik odpowiedział mu z niejaką dumą: „Oho, mój chłopcze, długo ci jeszcze rósć trzeba, nim będziesz mógł podejmować *moich* gości!“ Ale młody chłopiec odпові-

dział: „A jednak nadejdzie czas, w którym będę przyjmował gości króla nawet...” I dorósł też do takiej wysokości, że mógł spełnić owo przyrzeczenie. Dziś ów Węgier jest kanclerzem i każdy dostojnik państwa wchodzi do niego z pokłonem. Czy widzisz pan przed sobą tę drogę? Ona każdemu stoi otworem. Trzeba tylko mieć odważne serce i rozum. O panu wiele mi już opowiadano. Staraj się, aby mówiono więcej jeszcze. Ile uzyskasz sobie u świata, tyle zyskasz u mnie. Ja widzę w świecie dwie tylko kategorie ludzi: panów i sług. Od ciebie zależy, w której postaci stanąć chcesz przede mną. Dla mnie widzialnym możesz być tylko w jednej — wszelkie inne dla mnie są niewidzialne. W naszych sferach nie bawią się ludzie w romanse. Nikt nie ma do tego sposobności. Tu wolno tylko błyszczeć, czy to mundurem, czy powodzeniem. Pan masz dość woli i siły. Spożytkuj je... Myśl o tem, że ja pamiętam twoje słowa, a może doświadczysz tego, kiedy ci przyjdzie wstępować po szczeblach wielkiej społeczności drabiny, że jakaś ręka niewidzialna pomaga ci wznosić się w górę.

Koloman tak był wzruszony, że ucałował rękę księżnej, co może było poniekąd przekroczeniem etykiety.

Na tyle dobroci odpowiedzieć nie umiał; nie

było to potrzebnem zresztą, księżna bowiem ciągnęła dalej:

— W rozmowie swojej mieliście za złe Dorocie, że nie umie po węgiersku. Przyczyna tego leży całkowicie w stosunkach naszych tylko. Bo i pocóż miała się uczyć tego języka? Aby zrozumieć co między sobą mówią chłopci? To dla niej rzecz niepotrzebna, bo z nimi nie będzie stykała się nigdy. W naszych salach obrad posłyszysz tylko język łaciński. W towarzystwie, w życiu publicznem, u dworu mówi się wyłącznie po niemiecku. Za granicą rozmowa jest francuską. Śpiewać uczyła się po włosku. Skoro chce czytać, ma na swe zawołanie niemiecką, angielską, francuską bibliotekę. A na cóż użyłaby węgierskiego języka? Nie ma nic, czegoby dowiedzieć się mogła za jego pośrednictwem. Erotycznych wierszy Csokonay'a nie dam mojemu dziecku do ręki. Wszystko co dotychczas napisali węgierscy poeci dobre jest tylko dla mężczyzn. Na dziewczęta nie rachowali wcale. Jednakże mimo to wszystko przyznają panu słusność. Dziewczęta przeobrażają się z czasem w kobiety, a dla mężczyzny Węgry rzecz to sprowadzająca na twarz rumieniec, kiedy żona jego nie rozumie ojczystego języka. Powiedziałeś pan, że ją będziesz uczył po węgiersku. Ja zezwalam. Ucz ją codzień przez godzinę.

Kolomanowi wydało się, że stoi u bram zba-

wienia. Trzeba było niezmiernego panowania nad sobą, aby w tej chwili się nie zdradzić. W milczeniu skłonił się księżnie, która skinęła nań, że może już odejść.

Przyszedłszy do swego pokoju, uważał sobie za szczęście, że nie zastał tu Biroczy'ego. W tem upojeniu uczuć pragnął być sam... Tysiące dumnych, ukrzydlonych planów rodziło się w jego mózgu, a na końcu każdego z nich, niby na szczycie Jakubowej drabiny, błyszczała delikatna twarzyczka pięknej hrabianki, którą osiągnąć musi, chociażby stała najwyżej.

Dopiero gdy go wezwano na obiad, zbudził się z tych snów swoich dumnych.

Teraz wchodził już pewien siebie na te magnackie sale.

Hrabiowska sala jadalna obliczona była na liczne towarzystwo. Nadzupan przywykł do tego, by długi stół jej obsiadali goście lub rodzina. Nie lubił w nielicznem jadać towarzystwie. Kiedy mu zabrakło ludzi, kazał poprostu zbierać po drodze komedyantów wędrownych, lub podróżujących studentów, i ci zajmowali puste u stołu miejsca. Prócz tego był zawsze na pogotowiu jakiś pisarek, który na wypadek gdyby fatalna liczba trzynastu zasiadła do stołu, zamieniał ją swą osobą na czternaście.

Sama już rodzina, wraz z domownikami, stanowiła wcale pokąźną liczbę.

Na czele stołu siadała księżna; po prawej jej stronie zabierał miejsce stary hrabia, po lewej nadżupan. Obok staruszka siadała ulubienica jego, hrabianka Dorota, przy niej panna Zuzanna, towarzyszka księżnej; obok nadżupana trzech młodzi hrabicz, dziesięcio, ośmio i sześćioletni; przy nich ojciec Demezyusz, ksiądz guwerner, naprzeciw niego dwaj juraci, Koloman obok panny Zuzanny; na szarym końcu stołu wreszcie monsieur Henryk Francuz, metr tańca. Na ten raz było osób dwanaście.

Ten monsieur Henry zaś, był to murzyn.

Najdoskonalszy typ murzyński: twarz płaskonosa, o grubych, wywiniętych wargach, kędzierzawych, wełnistych włosach i pełnych życia oczach.

Ten murzyn był przecież duszą towarzystwa.

Podczas gdy ojciec Demezyusz odmawiał przedobiednią modlitwę, której wszyscy słuchali stając z pobożnie złożonemi rękoma, monsieur Henry takie namaszczone wyprawiał miny, wzdychał tak głęboko, jak tylko prawdziwy a prawdziwy Francuz wzdychać umie, a kiedy wyrzeczono amen, rzucił się znów z taką swobodą w fotel, sięgał z takim upodobaniem po łyżkę jak również tylko prawdziwy Francuz potrafi.

I Koloman za wszystkimi powtórzył: amen. Zdało mu się, że to pierwszy już szczebel owej

długiej, świetlanej Jakubowej drabiny. Nigdy w życiu jeszcze nie modlił się dotąd po łacinie.

Ale wraz z ukończeniem pacierza puścił monsieur Henri swemu dowcipowi wodze i aż do końca obiadu zabawiał całe towarzystwo anegdotkami.

Koloman tylko nie słuchał wcale żartów tancmistrza; on ukradkiem spoglądał wciąż z uwielbieniem na piękną hrabiankę, która znów ze swej strony przez cały ciąg obiadu nie podniosła oczu od talerza.

Mr. Henri kilkakrotnie zwracał wprost swe słowa do „monsieur Clamant“, jak tytułował Kolomana, ale ani razu nie otrzymał odpowiedzi. Koloman stał się już arystokratą.

Po obiedzie, kiedy z Biroczy'm przechadzał się po parku, kulawy Asmodeusz następną uwagą z bogacił wiedzę Kolomana:

— Słuchaj-no, ja już ten dom poznałem z gruntu i na wylot. Tu największym panem, tym, do którego wszystko należy, jest stary hrabia Decsery; ale ten nie może rozkazywać tu nikomu. Jemu rozkazuje syn nadżupan, księżna zaś rozkazuje obu. Księżnie bezwarunkowo rozkazuje ksiądz Demezyusz, guwerner; na jego zaś guwernerską mość wywiera, jak się zdaje, wielki wpływ panna Zuzanna; ta znowu znajduje się pod władzą owego przedzierzgnionego we Francuza Negra. Dlatego jeśli w tym domu chcesz

zajść wyżej, radzę ci: postaraj się naprzód o względy murzyna.

Koloman odpowiedział na to: „Straszny z ciebie waryat!“ i wymierzył mu potężny raz w plecy za tę radę.

DALEKO WIDZĄCA RODZINA.

Dobrze to powieściopisarzowi, bo on zawsze pisać może co mu się podoba; natomiast historykowi wcale nie bywa wesoło; on-bo pisać musi tylko to, co jest prawdą. W dzisiejszej epoce realizmu nie zadawalają się ludzie tem nawet, aby z wiarogodnymi dokumentami w rękę dowieść, że to lub owo działo się istotnie. Żądają gwałtem jeszcze wytłumaczenia, czy wedle praw mechaniki, chemii i Bóg wie czego jeszcze rzecz ta stać się mogła.

I starożytne „*spiritus familiares*“ nie już dziś nie pomogą. „Przypadku“ się nie dopuszcza, a „miłość“ wprawdzie jest tolerowana, ale dla jej genezy domagają się zaraz gruntownego umotywowania.

Zachodzi przeto pytanie, jaką przyczynę mogła mieć można rodzina Decserych, by niebo swe otworzyć takim dwu planetom, jak „przy padek“ i „miłość“?

To, że Koloman był dziedzicem bogatego

rodu, nie może tu służyć za powód dostateczny. Decserowie są w pięćkroć bogatsi i stanowisko ich prócz tego jest znacznie wyższem.

Musimy przeto rzecz tę zanalizować.

Hrabiowie Decsery stanowili „daleko widzącą“ rodzinę.

Owo „dalekowidztwo“ jest w tym razie spekulacją wyższego gatunku.

Spekulacyjność taka domaga się wrodzonego instynktu w tym kierunku i odpowiedniego uzdolnienia.

W rodzinie Decserych każdy członek, stary czy młody, ubłogosławiony jest takimi zdolnościami. Może jedną Dorotę tylko wyłączyłby tu wypadło.

Już u młodych hrabiczów znajdujemy ten talent. Przyszły dziedzic majoratu jest niezmiernie pobożnym chłopcem, modlącym się chętnie, który codziennie służy do mszy w zamkowej kaplicy, ilekroć ksiądz Demezyusz odprawia nabożeństwo, i z wielkiem namaszczeniem przywdziewa wówczas koronkową komeszkę. Średni jest to słabe, bojaźliwe dziecko, które lęka się wystrzału fuzyi, i które od najmłodszego nawet bierze ciągi, ilekroć tylko spuści ich z oka nauczyciel. Bo też ten najmłodszy hrabioz, to zawadyaka gwałtowny, chłopak sprzecny, odważniejszy od obu starszych swych braci, igrający ohotnie z ogniem i nożem.

A mimo to przecież wszyscy trzej wiedzą już i opowiadają sobie wzajemnie, że ten najmłodszy, ten zawadyaka i junak będzie księdzem. Przeznaczony on na biskupa. Średni, tchórz, zostanie żołnierzem. Z niego będzie generał. Pierworodny zaś ten co oczy przewraca, będzie w przyszłości nadżupanem. W tak wczesnem już dzieciństwie każdy wie z góry jaką pójdzie drogą życia i kroczy po tej drodze, choć ona wprost przeciwna wrodzonym jego usposobieniom.

Dziadek to spekulant nabywca. On spekuluje na dobrach. Na tej drodze zebrał sobie olbrzymi majątek. Sprzedaje, zamienia, odkupuje, bierze w zastawy, wystawia na subhasty, skarży, procesuje, wykupuje, zna stosunki wszystkich właścicieli dóbr w całym kraju, oblicza sobie naprzód, kiedy te lub owe dobra wystawione będą na sprzedaż lub na subhastę. Naprzód już ma w pogotowiu pieniądze, aby mógł ubiedz wszystkich innych nabywców.

„Dalekowidztwo“ nadżupana całkiem inny ma znowu kierunek. Jego spekulacye są wyższe; nie rozciągają się one na dobra tylko, ale na kraj cały. A w spekulacyach tych przodowniczką jest mu matka, księżna.

Istnieje „węgierski“ wyraz: „związek“.

Ten „związek“ jest jedyną potęgą na ziemi. Święte przymierza władców, stronnictwa, legion urzędniczy, tajemne sprzysiężenia, ligi, jezuici,

wolnomularze — wszystko to błędnie wobec tego „związku“.

Ten związek zasiada sędziowskie krzesła, głosuje przy urnie wyborczej, szepce w buduarach, peroruje na ludowych zgromadzeniach, radzi u zielonych stołów, jedzie na czele armii, otwiera drzwi sal audyencyonalnych, informuje ministrów, tańczy na dworskich balach, prowadzi narzeczone do ołtarzy; słowem zdobywa i zyskuje wszystko czego ludzka żądza zapragnąć może: pieniądze, dostojęstwa, urzędy, zaszczyty, miłość, order, przychylne wyroki, popularność.

Tajemnicę tworzenia takiego związku posiadała właśnie księżna; a po niej odziedziczył ją syn jej, nadżupan.

Sieć jej stosunków obejmowała wszystkie koła, wszystkie sfery i kasty, które tylko można było wciągnąć w rachubę, począwszy od dworu cesarskiego i dworu palatyna, aż do zielonego stołu komitatów.

Jedną z instytucji tworzenia „związku“ był właśnie system trzymania zawsze juratów w domu hrabiów Decsery.

„Jurat“ był to rodzaj jakiejś mitologicznej osobistości, w istnienie której z czasem nawet może nikt nie zechce uwierzyć.

Z dwudziestoletnich młodziutkich prawników naraz robiono wielkich panów, którym wolno było kroczyć po ulicy z szablą u boku, wcho-

dzić przez zamknięte dla innych drzwi tajemnych obrad kuryi królewskiej; wolno było siadać do stołu z dworem, tańczyć na balach dworskich z hrabiankami; świadectwo jego wobec prawa znaczyło tyle, co świadectwo sędziego i asesora razem wziętych; a za to wszystko składał on tylko przysięgę, że godności swojej strzedz będzie wiernie i tajemnie sobie w tym charakterze powierzonych nie wyda.

Cała jednak ta świetność trwała raptem rok cały.

Następnie składał egzamin, otrzymywał dyplom i wszystkiemu było już koniec; kazano mu odpasać szablę, zamykano przed nim salę obrad kuryi, odsuwano jego krzesło od stołu królewskiego personalu. Dostojeństwo, pensya, znaczenie, wszystko się kończyło i wolno mu było wrócić na dawne stanowisko biedaka, który bardzo pokornie prosić musi, by na tym gęsto ludzkością porośłym świecie i jego, ścisnąwszy się nieco, dopuszczono do kawałeczka miejsca.

Tego rodzaju przechodnich wielkości zatem zwykł był nadżupan Decsery zbierać dwie lub trzy, czasem więcej nawet w około siebie a po roku znów zastępował je innemi.

Dla niego, jako dla nadżupana, byłoby może daleko właściwszem nawet trzymać jednego sekretarza, zamiast tej licznej kohorty juratów, a ludzie poziomego sposobu myślenia utrzymy-

wali, że system ten zaprowadził on dlatego, że sekretarzowi musiałby płacić pensją, gdy tymczasem juraci zadowalają się utrzymaniem; — ale w tem się myłono. Wprawdzie nadżupan, tak jak cała rodzina, posiadał sporą dozę oszczędności, ale utrzymywanie u siebie juratów było u niego daleko dalej obliczonym planem.

Zwykł on być z pośród młodzieży krajowej wyszukiwać sobie tych, którzy zdolnościami lub majątkiem usprawiedliwili wielkie pokładane w nich nadzieje i z tymi w magnackim swym domu obchodził się jak z własnymi dziećmi. A umysły młodociane umieją zazwyczaj tak być wdzięcznymi! Pierwsze wrażenia pozostają w nich na zawsze.

Kiedy po upływie roku jurat opuszczał dom hrabiowski, unosił z sobą mimowiednie ową niteczkę niewidzialną a nierozzerwaną, która go z tym domem wiązała silnie.

A potem juraci nadżupana nie przybierali nigdy napowrót roli biedaków, co to żebrać muszą o jakiś kawałeczek miejsca dla siebie na świecie. Mogli być pewni, że skoro tylko w świat wyjdą z tego domu, natychmiast znajdzie się dla nich jakieś opróżnione miejsce i że miejsce to coraz się więcej rozszerzy.

Tym to sposobem wdzierały się we wszystkie koła kraju owe niewidzialne niteczki, które wszystkie zbiegały się w domu Decsery. Prote-

gowani ich, którzy mieli względem nich zobowiązania wdzięczności, byli wszędzie obecni; wpływ domu od góry warstw społecznych do dołu rósł coraz więcej, rozszerzał się coraz bardziej, a jeśli księżna na co powiedziała: tak być musi, — z pewnością wszelką tak się stawało.

Któż wreszcie znać może przyszłość? Co tu mówić o niej pewnego, kiedy młode głowy biorą się do jakichś tajemnych posiedzeń i śmiałym, twórczym umysłem chcą postarzały świat pchnąć na nowe tory!

Świat przybiera zwykle kształt taki, jaki się w nim nada młodzieży.

Dwadzieścia lat wystarczy na metamorfozę, która kraj cały zmienić może z gruntu. Któż zaręczy, czy to serce, co w młodej bije piersi, z fal morskich nie wypłynie i Neptunowi na urągawisko, nowego świata nie wyrzuci ponad potopu wody? Koloman Jenöi był przewodnikiem owoczesnej młodzieży.

To wyjaśnia dlaczego dostał się do domu Decserych, dlaczego tak go w nim przyjmowano.

Jeśli da się wynieść w górę, poprowadzą go aż tam, gdzie przyświeca cel błyszczący, jeśli nie da, odtrąca go i pewnie upadłego z ziemi niepodniosą.

Zobaczymy czy można pochwycić meteor w siatkę na motyle?

Jeżeli Koloman sądził, że jest w niebie, Biroczy zato w tym domu czuł się zupełnie na ziemi. Natrafił tu na coś, co dla prawnika jest nieocenionem: na dwóch wiodących z nim spór przeciwników. Jednym z nich był ojciec Demezyusz, drugim monsieur Henri.

Monsieur Henri przed południem ma czas wolny, kiedy ksiądz daje lekcyę młodym hrabiczom; ojciec Demezyusz zaś po południu jest swobodnym, wówczas kiedy monsieur Henri zajęty jest uczeniem tańca. Przed południem zatem pojawia się murzyn, popołudniu zaś guwerner w ogrodowym pokoju po to tylko, by z Biroczy'm wieść nieskończone dysputy. Negr zaczyna z nim spór o narodowość, ksiądz o religią; pierwszy lży Węgrów, drugi kalwinów. Prócz tego po obiedzie jest zawsze jeszcze jedna godzina, w której zarówno guwerner jak negr są wolni, wówczas mianowicie, kiedy berajter uczy przez godzinę hrabiczów konnej jazdy. O tej porze właśnie szedł Koloman dawać lekcyę języka węgierskiego hrabiance Dorocie. Wtedy obaj panowie połączonemi siły rzucali się na osamotnionego wiernego Scyta i poczynął się bój na piękne, tak że kiedy Koloman wracał, zastawał ich z kroplami potu na czole.

Dzień każdy dawał im nowy temat.

Pałac Decsery'ch był prawdziwie magnackim domem. Miał wspaniałą bibliotekę, muzeum sta-

rożytności, galeryą obrazów, co wszystko nadzupan sam pokazywał każdemu ze swych gości; czasami nawet bywał w tak dobrym humorze, że zwolywał dzieci, guwernerów i juratów i biorąc na siebie rolę kustosza muzeum, objaśniał im po kolei wszystkie osobliwości bogatego zbioru.

Biblioteka zajmowała ogromną salę, której część górną można było przejrzeć z biegnącej dokoła galeryi. Były tam w drogiej oprawie książki ze wszystkich działów nauk, w językach wszystkich żyjących i umarłych narodów, od najdawniejszej literatury począwszy, aż do najnowszej. Wspaniałe wydania, białe kruki, których cena dochodzi tysięcy; osobliwości przeznaczane tylko do książęcych księgozbiorów; unikaty, które się kryją przed wzrokiem ludzkim; olbrzymie w pergamin oprawne folianty z mosiężnemi klamrami; słynne zbiory map: a wszystko to ślicznie uporządkowane. Brunatna skóra ze srebrzonymi napisami na grzbietach — to książki religijnej treści; biały pergamin z drukiem złoconym — to starzy klassycy; żółta ciemną skórą, zaopatrzona czerwonym drukiem — to dzieła historyczne i prawnicze; safian czerwony — to beletrystyka. Osobny oddział na chińskie i japońskie książki, a wśród nich znajdziesz pomieszane tureckie i arabskie, astronomią, historią i baśnie.

Kiedy hrabia pokazywał wszystko to zdumionej i podziwiającej młodzieży, monsieur Henri zadał nagle złośliwe pytanie:

— A gdzie tu jest oddział na węgierską literaturę?

Hrabia wskazał jedną z szaf, gdzie były ustawione długie szeregi ksiąg obok siebie; ponad nimi na szafie widniał napis: „*Hungarica*“.

— Ah! ależ to wszystko po łacinie! Prawdziwych wszakże, po węgiersku pisanych książek czyż niema tu zupełnie?

Hrabia wskazał jeden narożnik, gdzie pod prowadzącymi na galeryą schodami była nisza. Leżał tam nieuporządkowany cały stos jakichś druków, nieoprawnych, niepoprzedcinanych nawet. To było wszystko...

Kiedy tego dnia Koloman powrócił z węgierskiej swej lekcyi, zastał Biroczy'ego sprzeczącego się zajadle z murzynem.

Monsieur Henri mówił:

— Węgier umie tylko pisać kalendarze.

Biroczy wezwał Kolomana, aby za to bluźnierstwo pomógł mu strzepać porządnie tancmistrza. W miejsce tego wszakże Koloman odpowiedział spokojnie:

— *Vous avez raison, monsieur.* A i do tego nawet musimy zapożyczać obliczeń astronomicznych u innych.

Innym znów razem hrabia pokazywał im swój

zbiór starożytności. Była to również wspaniała kolekcya rozklasyfikowana z wielką znajomością rzeczy: bronie, biżuterye, ozdoby, puhary, naczynia, stare monety, starożytne posążki i pomniki. Hrabia był znakomitym archeologiem. Umiał oznaczyć wiek każdego przedmiotu, wskazać tego co go wykonał, miejsce gdzie go znaleziono i dawnego jego właściciela.

Monsieur Henry następnie zasypywał hrabiego tego rodzaju pytaniami:

— Czy ten naszyjnik Katarzyny Bethlen jest węgierską robotą?

— Nie, to wyrób wenecki.

— A ten medalion, który nosiła narzeczona Duszana?

— To serbski wyrób; arabeski różnokolorowe tego dowodzą.

— A te rzeźby kamienne z Abrudbany?

— To są rzymskie pomniki.

— Ależ te różnobarwne berdysze, to przecie chyba wyrób węgierski.

— Nie, to zabytki czeskie.

— Przynajmniej płatnerz, co wyrobił tę huzarską szablę był pewnie Węgrem.

— Nie, wypisane jest na niej jego nazwisko: Fringia.

— A któż wykonał ten piękny, wypukły puhar dla Batorego?

— Sas kronsztadzki.

— Czy te miedziane miecze, znalezione w Cisie, były bronią Węgrów?

— Nie, to była broń Swewów.

— Ależ przynajmniej te topory...

— To są zabytki po pierwotnych, nieznanych mieszkańcach z epoki kamiennej.

— Czy pośród tych wszystkich numizmatów niema choć jednej monety, któraby była pamiątką po słynnym księciu Rakoczym?

— Jest tutaj, miedziana.

— Tak, ale i na niej jest napis łaciński: *Pro libertate!*

Tego dnia podczas wielkiej kogościej walki Biroczy'ego z panem Henrykiem, Koloman poślyszal następane zdanie:

— Węgry są do niczego niezdatni, ohyba do wyrabiania siermięg i kulaczy (drewnianych butelek).

I za tę uwagę nie rozplatal Koloman negra na dwie połowy, ale odparł tylko smutnie:

— *Vous avez raison, monsieur!* Na tej ziemi pozostawiali Sarmaci, Rzymianie, Awarowie, Czesi, Niemcy pamiątki swej pracy; po ludzie wszakże, który ten kraj ukochał tak bardzo, nie zostanie żadnej tu pamiątki.

Nazajutrz obaj antagoniści wszczęli znów spór z powodu galeryi obrazów; murzyn utrzymywał, że węgierscy malarze umieją tylko drewniane

skrzyńki malować w tulipany; dalej ich sztuka nie sięga.

W stajniach Decsery'ch było dużo angielskich, arabskich, normandzkich wspaniałych wierzchowców. Henri i tu nadaremnie pytał o konia węgierskiego.

— Węgierski koń dobry jest tylko do zaprzęgu.

Całe gospodarstwo prowadzonym było przez oficjalistów Czechów i Niemców; murzyn-Francuz daremnie dopytywał się o Węgra-oficjalistę.

— Węgier zda się tylko na pana, lub na chłopca.

Często bardzo przybywali do zamku oficerowie z konstytuującego w sąsiednim mieście pułku, weseli, rozmowni towarzysze. Monsieur Henri wprędce z nimi zrobił znajomość. Pytał ich czy tu się urodzili?

— *Jamais!*

— Węgierski bohater zda się tylko na prostego żołnierza!

A za wszystkie te zdania nie spieszył Kolo-man bynajmniej przykładowie ukarać murzyna, lecz odpowiadał zawsze tylko: „*Vous avez raison. Dotychczas tak jest istotnie*“.

— Jedno tylko macie wy Węgrzy — rzekł murzyn pewnego dnia, kiedy już Biroczy nawet oniemiał w tej ciągłej walce — choć to jedno zaniedbujecie zupełnie; a przecież tem mogli-

byście świat zdobyć. Jest niem ów[ła]czący w sobie wszystko co piękne, ów idealny, porywający solowy taniec węgierski!

Biroczy wybuchnął niepohamowanym śmiechem.

— „O czym śni koń? O owsie!“

— A ja mówię zupełnie seryo!

— Dobrze, nauczże mnie węgierskiego solowego tańca, murzynie! Daj mi nim świat zdobyć! — drażnił kulawy tancmistrza.

— O, choóby i pana, oóhnie. A co się tyczy zdobycia, to będzie ono zupełnem, bo i komizm ma swoją siłę zdobywającą. Ale wolałbym nauczyć monsieur „Clamant“. Tu przynajmniej trud nie poszedłby na marne. No, więc namyśl się pan, panie Clamant; mogę pana codziennie uczyć przez godzinę, kiedy mam czas wolny, wtedy mianowicie, gdy hrabicze jeżdżą konno. Nie potrzebujesz mi pan za to nic płació. Skoro z czasem zostaniesz wielkim panem, wynagrodzisz mi to jakoś. Bo wierzaj mi, to wszystko czegoś się nauczył w szkole nietyle przyniesie ci korzyści, ile ów idealny, solowy taniec węgierski, którego ja cię wyuczę. Głowa nie poniesie pana tak wysoko, jak palce u nóg, jeżeli mnie je powierzysz.

Koloman podał murzynowi rękę.

— Zgoda! Uczę się od pana węgierskiego solowego tańca.

Biroczy ze złośliwym śmiechem szepnął Kolomanowi w ucho:

— Ale kolego! — sławnie poszedłeś za moją radą!

Monsieur Henri oznaczył zaraz godzinę, w której umiejętności tej udzielać będzie Kolomanowi: po południu, od czwartej do piątej.

— A! to niemożliwe, w tej godzinie właśnie a daję lekcję węgierskiego hrabiance Dorocie.

— Ciekawym po co się tego uczy? Zamorusane chłopcy tylko mówią tym językiem. Uwolnij się pan od tego bezpożytecznego trudu.

Koloman przy tych słowach obrzucił murzyna spojrzeniem piorunującym.

Negr-Francuz zaśmiał się, a potem powiedział:

— Niechże i tak będzie, uczmyż się wieczorem, kiedy już wszystko w zamku rozejdzie się na spoczynek, w sali ogrodowego pawilonu.

Tak, to dobrze.

O, ani jednej z tych cennych lekcyj języka węgierskiego nie chciałby stracić Koloman, ani jednej z nich sekundy! Ilekroć wchodził na górę do apartamentów księżnej na tę lekcję, zegarek jego zawsze szedł śpieszniej niż wszystkie inne w całym zamku, a kiedy miała się kończyć lekcja, dowodził znów, że tamte idą za pośpiesznie.

O, bo też to była rozkosz olympijska.

Siedzieć tuż obok uwielbianego anioła, móż

wraz z nią patrzeć w jedną książkę i też same powtarzać wyrazy!

Znagłać spuszczone te piękne oczy, by przy wymawianiu węgierskich wyrazów patrzyły w jego oczy i odgadywały z nich jego myśli.

A potem widzieć ten uśmiech, któremu towarzyszy rumieniec, ilekroć usteczka błąd jakiś popelnia, a błysk zadowolenia, kiedy udało się wy mówić dobrze.

Gdy Kolomanowi w piśmiennych ćwiczeniach hrabianki udało się znaleźć błąd zachwycający, kiedy mógł zapomnianą literę wpisać między jej litery, zdało mu się to tak rozkosznem zetknięciem, w jakim słońce spotyka się z księżycem.

A cóż za tryumf, gdy uczennica zadana lekcją wyrecytowała bez błędu, z pewnem nawet wewnętrznem zadowoleniem; gdy uwagi jego zatrzymywała w pamięci; gdy dokładała starania, aby nie popelnić błędu, który on raz już poprawił; gdy z zapalem dążyła wciąż naprzód, usiłując z nauczycielem rozmawiać w tym nowym dla niej języku!...

Czyż i to nie jest rodzaj miłosnego wyznania?

Ale Koloman był zakochanym zarówno w przedmiocie, jak w uczennicy.

Godziny biegły pośród najściślejszej etykiety. Naprzeciw małego stoliczka przez cały ciąg

lekcyi siedziała sama księżna, zajęta robotą na drutach.

Okropne są kobiety, kiedy im w rękach migają bezustannie te cztery błyskające, ostre bagnety, a uwaga ich zwróconą jest całkiem gdzieindziej. To najbaczniejsza forpoczta.

Żadnego podejrzanego słowa nie sposób powiedzieć ni napisać. Ale bo też niedorzecznością byłoby mówić słowami tam, gdzie można posłyszeć szept dusz... Zaprawdę, to była miłość!

To może tłumaczy znów, dlaczego Koloman ze swej strony z takim zapalem aż do północy, zamknięty sam z negrem w ogrodowym pawilonie, uczy się solowego węgierskiego tańca.

Ale bo też istotnie był to taniec idealny piękny. Ogień i godność, szlachetne ruchy i dumna męska plastyka, siła i wdzięk łączą się w nim, spływają w jedną harmonię. Sztuki do niego potrzeba i powołania. A, kto dziś ten taniec widzi na scenie, ten nie może mieć o nim zgoła pojęcia; z salonów bowiem znikł on już zupełnie. Dziś to rzeczy zapomniane.

Monsieur Henri zachwycony był postępami Kolomana.

— Urodzony tancerz! Geniusz prawdziwy! Musiałbym nie być uczciwym człowiekiem, gdyby w ciągu przyszłego karnawału monsieur Clamant nie zatańczył tego tańca na balu dworskim

i nie wyniósł sobie stamtąd szambelańskiego klucza.

Czuł to i sam Koloman. Taki biedny uczony, którego głowa jest całą biblioteką, ale który nie uczył się tańca — kiedy przybierze się w paradny narodowy strój węgierski i zechce pokazać się wobec dostojnych państwa, jakże on nędznie wtedy wygląda, jak potyka się na własnych nogach, jak płacze, jak potraça każdego, jak drżą pod nim kolana, jak bąka niedorzeczności, kiedy go kto zagadnie — a wszystko to dlatego tylko, że zapomniał o kształceniu nóg; gdy tymczasem ta druga postać dumna, rycerska, której każde poruszenie służyć może za model dla malarza, przychodzi, spogląda, zwycięża i mówi mądrze, bo jej noga na właściwym staje miejscu.

Koloman począł na Biroczy'ego poglądać nieco z góry, odkąd nauczył się wznosić wyżej — na końcach palców mianowicie. Biroczy spostrzegł to lekceważenie i pomścił się na Kolomanie w ten sposób, że pokazał mu, iż i on kulawemi swemi nogami może wykonać wszystkie te figury, z których Koloman tak jest pysznym. Był to widok nadzwyczaj pocieszny.

Koloman podczas takich poobiednich produkcji w zwykłym kółku czerwienił się jak indyk. Irytowały go te żarty. Temu co ganił jego poezye, wybaczal zawsze; ale kto się ośmielił

parodyować jego taniec, na tego był wściekle zawziętym. Milczał gdy murzyn wyszydzał wszystkie Węgrów przymioty; ale kto chciałby drwić sobie nawet z węgierskiego solowego tańca, przeciw temu wybuchnąłby szlachetny gniew jego niezawodnie...

Droga M. PODSOŃSKA
Zakład
PENSJONAT CZERNOBILANKA
Tel. 123.

PIERWSZE „TY“.

Ojciec Demezyusz sądził, że trafi w myśl całej rodziny, kiedy na naradzie familijnej, postawił wniosek aby poświęcenie krzyża i kaplicy odłożonym zostało na dzień św. Piotra i Pawła, w którym to dniu właśnie obchodzono imieniny hrabiego. Jak już wiemy, rodzina Decsery'ch była żarliwie katolicką. Mimo to wszakże projekt księdza nie zyskał wcale aprobaty. Księżna oświadczyła wprost: „Kiedy są imieniny mego Pawła, wtedy nie może już być mowy o żadnym innym święcie.“

Miłość rodzinna nad pobożnością jeszcze brała u nich górę. Silniejszą, ona była u Decsery'ów, niż spekulacya nawet.

Każdy znajomy ich wiedział to doskonale, że codziennie miłym im jest gość, prócz w dnie imienin rodzinnych. W dnie takie bramy zamku są zamknięte i szwajcar każdemu przybyłemu oznajmia, że nikogo niema w domu. W dnie takie lubią oni być wyłącznie w swoim kółku,

w towarzystwie tych tylko, z którymi żyją codziennie.

A właściwość to bardzo łatwo dająca się wytłumaczyć. W dniu uroczystości rodzinnych nie jest się hrabią, ani księżną, tylko ojcem, matką, dzieckiem. Starzy arystokraci wówczas tak samo radzi są, kiedy mogą zapłakać łzami radości, jak najpospolitsi ludzie, a młodzi hrabieze taksamo trzepią powinszowania wierszowane i tak samo wrywają sobie podarki, jak dzieci biedaków. Ci znów co się kochają, całują się wzajem przy takich sposobnościach, jak najzwyklejsi śmiertelnicy. A wszystko to niewłaściwem jest przecie dla wielkich panów. To już widok nie dla obcych. To też dzień imienin obchodzi się w zamku za zamkniętymi bramami.

W dzień ten nawet biskup nie byłby dla nich pożądanym gościem i nie zostałby przyjętym. Poświęcenie krzyża przeto i kaplicy odłożono na wielką uroczystość krajową św. króla Stefana.

Uroczysty dla rodziny dzień św. Pawła rozpoczął się mszą w kaplicy zamkowej; księżna sama wykonała podczas niej przepiękną melodyą Haydna na organach.

Z kaplicy udaje się cała rodzina wprost do sali dziadka, księżna całuje swego małżonka, nadzupan i wnuki przystępują po kolei do ucałowania ręki solenizanta, a następnie pozosta-

wiają go samego. Staruszek modli się sam przez godzinę. Potem otwiera swój pokój i można już wejść do niego.

Najpierw składają powinszowania księżna i nadżupan, krótko i zcicha życząc starcowi długich lat szczęścia; potem wchodzi ojciec Demezyusz z trzema swymi wychowañcami.

Najstarszy z trzech hrabiów miał na sobie strój rzymski; średni przybrany za szwajcarskiego kosiarza, z pozłożoną kosą; najmłodszy za we-neckiego gondoliera, ze złożonem wiosłem w ręku.

Rzymianin miał do dziadka przemowę w łacińskich heksametrach, z której przy pomocy suflerowania ojca Demezyusza wybrnął jakoś szczęśliwie bez błędu. Przemowę tę wręczył też ojcu rodziny na piśmie.

Szwajcar recytował po niemiecku, jakiś wiersz niezawodnie bardzo piękny, z którego przecież nie można było zrozumieć ani słowa, dzięki wielkiemu wzruszeniu interlokutora. Doręczone pi-smo stanowiło komentarz.

Gondolier tem wyraziściej zato wypowiedział wiersz swój w klasycznej mowie Petrarke; a mówił tak ładnie, że zachwycił wszystkich.

Stary hrabia z radością dziadka przyjął te powinszowania. Rzymianinowi powiedział: „*Agogratias, dilectissime domine!*“ — Szwajcarowi: „*Danke für ihre Güte, mein Herr!*“ — Gondolierowi zaś: „*bravissimo, signore!*“

Hrabianka Dorota zadużą już była, aby wierszowane powinszowanie recytować i nie przyniosła też z sobą zapisanego arkusza. Na białej sukience, smukłą jej niby palma kibić obcisłał gorsecik, zasznurowany sznurami perel; włosy spuszczone we dwa grube warkocze przeplecione były różowemi wstęgami; bladą piękną twarzą czkę krasiał uśmiech.

Staruszek ujął oburącz wnuczkę i popatrzył jej w twarz. Potem odwrócił ją i z upodobaniem przyglądał się długim jej warkoczom; obejrzał nawet czerwoną wstążkę. Wszystko to podobało mu się niezmiernie.

— No, a ty, Dorota, czego się nauczyła? — spytał następnie w uprzywilejowanym języku rodziny, po niemiecku.

Wówczas biała lilijka padła mu na szyję, a nie uśmiechała się już teraz, ale zarumieniła, jakby do tego co miała powiedzieć potrzebną była całkiem inna już postać i pięknym, dźwięcznym głosem rzekła do dziadka po węgiersku:

„Oby cię nam, dziadku, zachował Bóg jak najdłużej i kochaj nas tak, jak my ciebie kochamy.“

Stary hrabia ze zdumienia rozwarł szeroko oczy i usta... Niespodzianka wydała mu się nieprawdopodobną. Naprzód chciał się roześmiać, ale naprzekór chęciom, dwie strugi łez pociekły mu z oczu; nakoniec obu ramionami przycisnął pię-

kną wnuczkę do piersi i okrywając złotowłosą jej główkę pocałunkami, szepnął drżący:

— Niech cię Bóg błogosławi, moja droga dziecino!

Księżna klasnęła w dłonie z radości, młodzi hrabieze dziwili się, a czarny metr tańca szepnął Biroczy'emu na ucho, że jednak ten język brzmi jakoś daleko piękniej niż wówczas, kiedy nim mówią chłopci... Ale stary hrabia i teraz nie wypuszczał Doroty z uścisku i począł z nią rozmawiać; dziewczę odpowiadało na wszystko rozumnie, z zastanowieniem, a póki mówiła po węgiersku była wciąż czerwona, co zresztą miało naturalne swe przyczyny.

Nadzupan przerwał w okropnej węgierszczyźnie:

— Doprawdy, ona mówi lepiej po węgiersku odemnie!

Stary hrabia popatrzył na swego syna i odparł:

— Uważam to...

Nadzupan bowiem słynnym był strzelcem bąków gramatycznych.

— Tak, ale któż *ciebie* nauczył po węgiersku? — dopytywał się hrabia Paweł swej wnuczki.

Różową twarz dziewczęcia oblał jeszcze mocniejszy rumieniec, kiedy ledwie dosłyszalnym głosem wyszeptala:

— Pan Jenöi.

Oczy hrabiego Pawła rozwarły się szerzej jeszcze na to nazwisko.

— Pan Jenöi? — spytał utkwivszy wzrok w Kolomanie i w tej chwili gwałtowna burza wspaniałomyślności zawrzała mu w piersi.

Miał piękny, starożytny zegarek w kieszeni; wyjął go ze spojrzeniem, jak gdyby zamierzał podarować go Kolomanowi. Ponieważ ten jednak nie ruszył się z miejsca i on też wyperswadował sobie swój zamiar. Popatrzył tylko która godzina i włożył zegarek napowrót do kieszonki.

— Panie Jenöi, — rzekł tylko — jestem panu bardzo wdzięczny.

Koloman nie życzył też sobie niczego więcej.

I odtąd zawsze już hrabia Paweł mówił *ty* do swojej wnuczki. Poraz to pierwszy w swem życiu nazwał tak kogoś..

Każdy u niego miał jakiś tytuł: żonę nazywał „księżną,“ syna „nadżupanem,“ wnuków tytułował, „dominus,“ do chłopca nawet mówił „mój panie!“ Tak samo miał odpowiedni tytuł dla ofycjalistów, służbę tytułował „monsieur“ i „madame,“ a nigdy nikogo nie dopuścił do siebie tak blisko, by mu „ty“ mówić. Nawet do mopsa księżny odzywał się „panie psie!“

A teraz na całym świecie znalazła się jedna

dusza ludzka do której on, tak jak do Boga, mówi: „ty!“

Dorota w tym jednym dniu niezmiernie wiele dla siebie pozyskała w świecie. Tego przynajmniej już teraz może być pewną, że jej nie przeznaczą na przeoryszę klasztoru, aby młodszym braciom przysporzyć fortuny.

A wszystko to z jakiego powodu? Z powodu drobnostki.

Koloman myślał sobie z dumnym zadowoleniem, że ta dzisiejsza scena radości bądźcobądź wywołaną została tylko przez ową podsłuchaną w karcie rozmowę; jego to więc zasługa i miał w tem słusność. Inni muszą to wiedzieć również. A jeśli jest na ziemi sprawiedliwość, nie może to przecież pozostać bez nagrody.

Patrzajcież jak dalekowidztwo w tej rodzinie udziela się obcym nawet!

Dzień świętych Piotra i Pawła aż do samego wieczora był dniem przyjemnych niespodzianek. Każdy długo już naprzód przygotowywał się, jakimby sposobem ucieszyć czemś starego hrabiego, od nadzupana do kucharza — i naodwrot każdy znów otrzymał jakiś stosowny podarek.

Księżna w tem wszystkim główną odgrywała rolę; ona poddawała każdemu pomysł, czemby solenizantowi mógł sprawić niespodziankę, ona również obmyślała wszelkie podarki, które w imieniu hrabiego Pawła rozdzielano następnie.

Powszechnie bowiem wiadomą było rzeczą, że hrabia Paweł nigdy przez cały ciąg życia nie dał żadnego prezentu nikomu. Płaci punktualnie co komu winien, a podarku choćby pieniężnego, służbie nigdy nie dała jego ręka. Prezenta imiennowe polecała rozdawać księżna.

Wieczorem koncert zamykał całą uroczystość. Księżna i jej towarzyszka grały na fortepianie. Pater Demezyusz grał bardzo ładnie na flecie, monsieur Henri zaś na skrzypcach. Hrabianka Dorota śpiewała.

Potem następował żywy obraz: jakiś rebus przy jaskrawem oświetleniu z lampionów, przedstawiony przez trzech wnuków.

Żywy ten obraz zamykać miał całą uroczystość rodzinną; zanim się wszakże dostojni państwo z miejsc swych podnieśli, wystąpił monsieur Henri naprzód, ze skrzypcami i smyczkiem w ręce, i uprosił towarzystwo, aby raczyło kilka minut jeszcze poświęcić niespodziance, którą on przygotował.

A o tem nie wiedziała nic nawet księżna!

Monsieur Henri przycisnął brodę do skrzypiec, pociągnął smyczkiem po strunach i począł przygrywkę do melodyi węgierskiego solowego tańca.

Ciekawie przypatrujące się zebranie zobaczyło naraz, jak z głębi podchodził ku przodowi Koloman. Młodzieniec miał na sobie obcisły

elegancki strój narodowy; lewą ręką podparł się w bok, prawa muskała koniec wąsika i na dany znak skrzypiec pomknął się mężkim, dumnym, szlachetnym krokiem w wir tego arystokratycznego tańca.

Pięknie-bo było patrzeć, jak się gnie i kołysze w tym szlachetnym, pełnym wdzięku tańcu; rozkoszą było śledzić szlachetne jego ruchy. Jak się mówi o muzyku, że czuje co gra, tak i on czuł co tańczy... W każdym jego kroku był pewien wyraz, pewna wymowa.

Na twarz starego hrabiego wystąpiły nagle dwie czerwone plamy, zapłonął niezwykłym jakimś ogniem. Głowa podniosła się naraz w górę z pośród ramion, białe włosy mimowolnym ruchem ręki podjął i zgarnął w czub nad czołem; potem podniósł się z krzesła, wyprężył, piersi wysunął naprzód, oczy mu błyskały i dłonią począł wybijać takt tańca, jednym ramieniem towarzysząc ruchom tancerza; czasem przytupnął nawet zlekka nogą, i ani spostrzegł, jak ostrogi u butów poczęły mu uderzać o siebie.

Ogólny poklask towarzyszył zakończeniu tańca.

Teraz hrabia Paweł podszedł za cofającym się w głąb, zarumienionym młodzieńcem. Uderzył go naprzód po ramieniu, a potem zlekka po policzku.

Wreszcie przemówił doń wciąż jeszcze błyszczącymi oczyma:

— To właśnie przed pięćdziesięciu dwoma laty tańczyłem wobec naszej najjaśniejszej królowej Maryi Teresy na balu dworskim. Widziałś to księżno, nieprawdaż?

Księżna skinęła wzruszona. Może wtenczas właśnie, może z łaski tego tańca, zakochała się w Pawle Decsery. Taniec to niebezpieczny...

— Kiedym wykonywał ten taniec, — ciągnął hrabia Paweł dalej, — przystąpił do mnie jego wysokość małżonek królowej. Byłem wówczas młodym ładnym chłopcem; uderzył mnie zlekka po twarzy, potem wyjął z kieszeni ten perłami sadzony zegarek i powiedział mi: „Noś go pan, na pamiątkę tego tańca“. Tak też i ja mówię dziś do pana: „Noś go, na pamiątkę tego tańca“.

Gdyby kto był Kolomanowi wcisnął w rękę zegar z wieży św. Szczepana, nie byłby mu chyba zaciężył bardziej, niż ten który podano mu teraz.

Wszyscy oniemieli z podziwu...

Hrabia Paweł Decsery, który nigdy nikomu nic nie podarował, który własnym wnukom nie kupił nigdy bodaj drewnianego konika, obdarowuje nagle całkiem obcego sobie człowieka najcenniejszym z rodzinnych swoich klejnotów, trzykrotnie cenną pamiątką, którą sam wziął

z rąk królewskich za dumny swój taniec, drogą pamiątkę otrzymaną w pięknych dniach młodości!... A dziś oddaje ją młodzieńcowi który obecnie tak samo jest mężkim i dumnym, jak on był wówczas!

I pięknych oczu para tak samo w tej chwili ściga Kolomana pełnym troski wzrokiem, jak wówczas hrabiego Pawła.

Komużby taki tryumf nie zawrócił w głowie?

Kiedy rozeszło się towarzystwo, ozwał się negr do Kolomana.

— A co, mój panie czemże zajdziesz dalej: głową, czy nogami?

Biroczy natomiast wyśmiał go...

— Kolego, ciebie stary hrabia obdarzył swoim zegarkiem, gdyby jednak był zobaczył mnie tańczącego, byłby mi chyba podarował całą wieżę.

Oczywiście zazdrość przez niego mówiła.

Koloman bez trudu mógł marzyć, że trzy osoby pozyskał już dla siebie w tej partyi: starego hrabiego, księżnę i najpiękniejszą z pięknych. Pozostaje tylko jeszcze nadzupan.

Nastał jednak czas, w którym największy krok na drodze do łask rodziny zrobić miał za pomocą — głowy.

Zbliżało się zebranie Komitatu. Nadzupan polecił przyzwać do siebie Kolomana i powiedział mu, że nie nawykł koncypować mów, zwłaszcza

też w węgierskim języku. Dlatego powierza Kolomanowi, ażeby napisał dlań mowę na otwarcie zgromadzenia, do której on dostarczy mu parę myśli.

Mowa miała być rozumną, a niezbyt kwiecistą; mogłoby mu bowiem przytrafić się to, co już raz się zdarzyło, że przekręceniem wyrazu wywołała śmiech ogólny.

Ślizkie to było zlecenie, a zarazem dowód wysokiego zaufania.

Potężnemu panu napisać mowę, któraby wyrażała jego poglądy, któraby światu ukazywała najgłębsze tajnie jego istoty, i to tak, aby świat ten nigdy się nie domyślił, że to *ja* nie jest prawdziwem *ja*!

Koloman odpowiedział temu wezwaniu z największą starannością i uwagą, które dowiodły wielostronnego jego uzdolnienia. Najtrudniejsze to do podjęcia zadanie dla poetyckiego umysłu, przyspasabiać dla kogoś innego mowę o mnóstwie słów, a niewielu myślach, bez kwiatów stylu, bez treści, suchą, z dyplomatycznymi wykrętami, próżnym balastem i urzędową powagą. A jednak i tego umiał dokazać. Prawda że kosztowało go to mąk niemało; ale czegoż nie zrobi ten poczciwy rozum człowieka dla tyrana serca!?

Opracowana mowa zyskała sobie uznanie nadzupana, na zgromadzeniu zaś komitatowem

uczczono ją wiwatem. Szwagier nadżupana szepnął mu w ucho: „Co ci się dziś stało? toż ty wcale rozsądnie zaczynasz mówić“.

Nasz bohater więc i u nadżupana pozyskał sobie łaski.

Był tu już odtąd niemal zupełnie jak w domu.

ARYADNA.

Katinka oczekiwała przez dzień cały wizyty Kolomana; że zaś nie przyszedł przed południem poczęła się niecierpliwic. Wyjechała na spacer; kazała powozowi przejechać przed kawiarnię, gdzie zazwyczaj złota młodzież dnie całe trawiła. Ale Kolomana tam nie dojrzała. Popołudniu pojechała do miejskiego parku, przebiegła wszystkie tak jej dobrze znane ścieżki pośród zarośli, zaszła na małą wysepkę, gdzie nieraz szukali razem czterolistnej koniczyny i wiązali trawę, by zobaczyć czy z niej się zwiąże wianek. Na ten raz wszakże nie znalazła ni czterolistnej koniczyny, ni Kolomana nigdzie.

Wieczorem poszła do niemieckiego teatru. Lornetka nie mało miała do roboty, i tu wszakże nie odnalazła tego, którego szukała.

Zirytowana już nadobrze, powróciła do domu i dowiedziała się, że Koloman nie był u niej przez dzień cały; napisała do niego list i przez

swego służącego posłała do mieszkania młodzieńca.

Służący powrócił z odpowiedzią, że pan dziś popołudniu wyprowadził się od pana Korczy i przeniósł do pałacu hrabiów Decsery, jutro zaś rano wyjeżdża na wieś, wraz z hrabiowską rodziną.

Katinka podarła list przyniesiony napowrót i kazała sprzątnąć nietkniętą wieczerzę.

Służba z całym spokojem spożyła wyniesione potrawy i wyśmiała jeszcze jaśnie panią.

O, Katinka wiedziała wybornie, że jest celem pośmiewiska wszystkich. Wyśmiewają ją wielbiciele, obrońca, służba..... wszyscy.

Przedsięwzięła ze swej strony wszystkim tym ludziom takiego splatać figla, żeby się już śmiać niemogli.

Zamknęła się w swoim pokoju i przeczuwała noc całą w ubraniu na sofie.

Okna jej mieszkania wychodziły na wschód; widać łz nich było właśnie jak najdokładniej ogród pałacu Decserych, wychodzący bokiem na ulicę, od której odgradzał go mur wysoki; z małą w rogu furtką. Po za ogrodem był dziedziniec, w głąb którego można było również zajrzeć dokładnie z piętra sąsiedniego domu.

Kiedy pierwszy promień jutrzeńki musnął franki, siadła Katinka w oknie i poczęła pilnie obserwować dziedziniec sąsiedniego pałacu.

Widziała jak stangret wyciągał karete z wozowni, jak pakowano walizy i kufry, jak potem zaprzężono do niej konie i pocztylion usiadł na kozioł.

Wtedy wzięła do ręki perspektywę.

Z pałacu wychodzili gotowi już do drogi podróżni. Otyła, podeszła pani, młoda dziewczeczka, niby motyl prująca powietrze; potem jakiś kulawy mężczyzna, wreszcie „on“... A zatem on będzie siedział naprzeciw panny.

Zamykają drzwiczki. Pocztylion trzaska z biczem i wytacza się przez bramę kareta.

Katinka zapłakała gorzko.

Teraz nauczyła się, że zazdrość jest lekarstwem od którego zakochany, jeśli mu się je mądrze daje po łyżeczce, rozkocha się więcej jeszcze; jeśli wszakże zażyje naraz całą butelkę lekarstwa, musi wyzdrowieć.

Ależ ona nie zamierzała bynajmniej wyleczyć Kolomana.

A teraz mogła się przekonać również o istnieniu antydotu...

Coś ją strasznie bolało w tej całej sprawie. Może serce? Nie, tylko próżność.

Bolało ją, że teraz wyśmiana będzie. Co sobie pomyśli pan Koreza, który wiedział o wszystkim, co Balvandy, który dumny będzie z tego, że samem ukazaniem się swoim odstraszył współzawodnika.

Gniew ten dziwaczne podszeptywał jej do ucha rady.

Na dzień ten wydała rozkaz, że dla nikogo niema jej w domu, że jest chora.

Ale nie była bynajmniej chorą, tylko pisała list... Skoro go ukończyła, zawiązała gęsty, potrójnie złożony welon na kapelusz, żeby jej nikt nie poznał na ulicy, i sama list ten odniosła na pocztę. Nikt przecież nie mógł odgadnąć do kogo on był pisanym.

Przez trzy dni nie przyjmowała u siebie nikogo, wszystkich odprawiano ode drzwi. Wciąż była jeszcze chorą.

Balvandy wszakże co dnia zostawiał dwa swoje bilety w przedpokoju.

Czwartego dnia wyzdrowiała wreszcie cudownym sposobem i pozwoliła, by wpuszczano do niej odwiedzających.

Pierwszym był naturalnie Balvandy.

— A! pani! — zawołał baron. — Na miłość Boską nie przerażajże świata wiadomością o swej chorobie. Przez trzy dni całe nie robiłem nic innego, nad wywlekanie z domu po kolei wszystkich lekarzy w mieście i badanie ich, dopóki wreszcie nie dowiedziałem się od jednego, że pani cierpisz na niebezpieczną „febris acolomana“. Na Boga, dajże się pani wyleczyć!

— Dziękuję, jestem już wyleczona, — odpowiedziała z uśmiechem dama.

— Aleopatyczną czy homeopatyczną metodą?

— Prostą tylko chłopską kuracją.

— A więc środkiem sympatycznym.

— O, to niema zupełnie tak szumnej nazwy. Najzwyklejsza, mówię, prawdziwie chłopska kuracja.

— No, bardzo jej ciekaw.

— Mogę pana z nią zapoznać. Cztery dni temu napisałem do mego męża, aby przybył do Pesztu.

— Ah! pani pragniesz go widzieć?

— Pragnę go nie tylko widzieć, ale chcę się z nim pojednać.

— W jakim celu?

— No, w jakimżby innym celu, jeśli nie poto, byśmy w przyszłości żyli z sobą razem, jak na uczciwych małżonków przystoi.

— Jak na uczciwych małżonków przystoi? A! to klasyczne! to nieopłacone! Czy pani wracasz do jego domu, czy też on przybywa do pani?

— O to się umówimy dopiero.

— A! to niebiański żart... Wyobrazić sobie piękną panią Katinę w salonie Gödenylaku, który zimą służy za owczarnię, to przechodzi wszystko, co może stworzyć fantazya.

— Ja te pokoje zmienić będę umiała.

— A może i ich pana?

— Zastosujemy się do siebie, poczynimy sobie wzajem ustępstwa.

— Czy każesz go pani myć i czesać co sobotę?

— Proszę wyrażać się o nim z większym szacunkiem; jest moim mężem.

— A, tego nie wiedziałem.

— Powiem panu więcej: jestem jego żoną!

— A, co o tem, to i Berti sam nie wiedział.

— No, zobaczysz pan... Oboje zawiniliśmy i oboje przebaczymy sobie wzajemnie i w przyszłości będziemy z sobą żyli jak...

— Jak Filemon i Baucis. Po pani spodziewać się można wszystkiego; kobiety do wszystkiego są zdolne, nawet do tego, by się zakochać we własnym mężu. Ale Berti nie podda się pod to jarzmo.

— A gdyby to już uczynił?

— Co?!

— Dziś otrzymałam od niego odpowiedź, w której zaprosiny moje przyjmuje z radością. Pojutrze tu będzie.

— I ja także...

Katinka musiała się rozśmiać; natychmiast wszakże przybrała poważną, rozgniewaną minę.

— Nie gniewaj się, łaskawa pani, — mówił Balvandy, — ja sobie umiem wyobrazić najzupełniej stan jej umysłu. Tożem niedarmo uczył się psychologii. Aryadna mówi sobie: skoro mi

morze zabrało Tezeusza, to wrzucę w nie i wszystko inne również: naprzód tego waryata Balvandy'ego, choć to poczciwy chłopiec, potem proces rozwodowy, czem zgryzę mocno pana Korczę i kochanego wujaszka majora, który na samą wieść, że się godzę z mężem, wylęknie się śmiertelnie... Przybywaj więc Bachusie!

— Proszę bardzo nie lżyć mego męża nazwą Bachusa!

— Toż to był bóg! Że lubił wino? Cóż to szkodzi? Ale ja będę Neptunem, który Tezeusza napowrót do Naxos sprowadzi.

— Wtedy już pan Csollan będzie w swoim domu.

— Jeszcze czego! Nie wpuszczę go nawet do Pesztu. Naszlę na niego całą bandę opryszków, którzy zapędzą go napowrót do Gödenylak; albo w Peszcie podpalę oberżę „pod dwiema kozami“, wtedy nie będzie wiedział gdzie stanąć i zawróci.

— O, właśnie że on nie zajedzie pod „dwie kozy“. Gdzieindziej już postarałam się dla niego o mieszkanie.

— Gdzie?

— Tego panu nie powiem.

I rzeczywiście Katinka nie dała sobie wyludzić tej tajemnicy. Ale Peszt nie jest Londynem, a podówczas daleko mu było i do Wiednia

nawet. Nietrudno więc było mieć na oku wszystkie
 kie zajazdy.

Ostatnim zajazdem w śródmieściu, po za którym, prócz niemieckiego teatru i kilku pałaców niema już nic więcej, jest tak zwany „biały okręt“.

Tu wynajęła Katinka dla swego lubego małżonka mieszkanie, które ten przyjął łaskawie, jakkolwiek skłonności raczej ciągnęły go do „gryfa“ lub do „czerwonego wołu“. Mimo to jednak chciał dogodzić żądaniu żony i z okazałym swoim zaprzęgiem jechał przez całe miasto.

A był to ekwipaż ciekawy... Powóz miał pudło, na którym wskutek licznych napraw kowalskich, więcej już było klamer żelaznych, niż drzewa, w wierzchu zaś więcej dziur, niż skóry, jedno z kół przednich, w drodze złamane, zastąpiono kołem zdjętem z chłopskiego wozu. Stopień odpadł gdzieś w podróży, a drzwiczki przywiązano sznurkiem, by nie stały otworem. Wszystkiego tego nie znać jednak znów tak bardzo, bo powóz cały na palec grubo oblepiony jest błotem, tak że sztuką byłoby odgadnąć czy jest całkiem nowy, czy mocno stary. Czarne błoto osiadłe na nim pod Poroszlem, żółte gdzieś w okolicy Hatvan, zielonawy szlam pod Czin-kołą a czerwone błoto na ulicach Pesztu.

Tem więcej zato uwidocznia się zaprząg ekwi-

pażu. Naręczny jest na szesnaście piędzi wielkim potworem o czaplej szyi, który nie ma nawet tyle wstydu w oczach, by łeb swój girafy schować nieco. Jeśli wszakże to bydlę nie ma ani trochę wstydu, to zato siodłowy tem jest wstydlwszy; widocznie trapi go myśl, że o całe półtorej piędzi niższym jest od swego towarzysza i dlatego kurczy ile tylko może i zwiesza w dół głowę z parą chlapiastych, obwisłych uszu. Wedle Bertiego Csollana jednak powszechną jest regułą, że siodłowy musi zawsze być cokolwiek mniejszy od naręcznego. Koń z czaplą szyją był kasztanem, siodłowy zaś dereszem, póki obu nie pokryły plamy starości.

Z przedniego zaprzęgu jeden koń nie ciągnie wcale. Tańczy sobie tylko. Widocznie przez całą drogę musi mieć nader przyjemne myśli, bo tańczy wciąż i ani mu w głowie przyłożenie się choćby odrobiną trudu do dzieła. Jest to widocznie młody koń wierzchowy, który poraz pierwszy użytym jest do zaprzęgu; zresztą bardzo ładne zwierzę, szlachetnej półkrwi. Może też to i duma z pochodzenia, że pozostawia drugiemu całą pracę u przedniego dyszla, której ten poddaje się z całą uczciwością, tem więcej, że jest to zwykły długogrzywy i długoogoniasty chłopski mierzynek.

Ale wszystkie cztery mają u szyi dzwonki, tak że wszędzie lud staje, kiedy ten ekwipaż

najpryncypalniejszemi ulicami Pesztu zmierza ku dziedzińcowi „białego okrętu“, gdzie zręczny stangret tylną osią zawadza o kamień tak, iż Berti Csollan nie już wypada, ale wylata z karety i głową o mur uderza.

Nie zraża to jednak bynajmniej Bertiego. Tobolki stróż wynosi z powozu do przygotowanego dlań pokoju; w trop za nim biegnie numerowy z podwianem okiem, prawdopodobnie z powodu, że mu je podbito w niedzielę na balu, i pyta czy jasnie pan czego nie rozkaże?

Pierwszym zaprawdę obowiązkiem Bertiego byłoby posłać po golarza i kazać z siebie zrobić jakąś do ludzi podobną postać, ażeby dziś wieczorem jeszcze móż stanąć przed małżonką, która jest wybredną wielkoświatową damą. Ale—na to dość czasu jutro.

— Cóż tu jest do widzenia w Peszcie? — brzmiało zapytanie jego.

— „Intryga i miłość“ Schillera w teatrze.

— A mnie co po tem? Po niemiecku rozumiem jeden wyłącznie wyraz: „bezahl“, a i ten pojmuję bardzo rzadko. Schillera zaś znoszę tylko jako wino *).

— Potem mamy teatr optyczny.

— Cóż to jest? Psie widowiska?

*) Schiller (*Schillerwein*) wino mieniające się, ni białe, ni czerwone. (Przyp. tłum.).

— O, i to jest. Na Kerepeskiej ulicy wielka dziś „heca“, na którą bardzo licznie uczęszczają państwo.

— Cóż to za heca?

— No, psy, byki i bawoły połykają się wzajemnie.

— To lubię. Czy płaci się tam *entré*?

— Oczywiście! Dziesięć krajcarów.

— Więc pójdę.

Berti wziął natychmiast swój „fokos“ (kij z małą siekierką u rękojeści) pod pachę, nałożył sobie pełen kapciuch tytoniu i brudny, obłocony jak był, puścił się na odszukanie owej hecy.

Na progu zastąpiła mu drogę służebna żona, która u niej pełniła obowiązki gospodyni. Piękna ta dama miała jedno tylko oko, drugie, które utraciła podczas ospy, zwykła była spuszczonej na czoło lokiem przysłaniać starannie.

Panna ta czekała tu na jaśnie pana i poleconą sobie miała od swej pani delikatną misyą, ku czemu zatrzymała też Bertiego we drzwiach i w poufnym ozwała się doń szepcie:

— Prosiłabym jaśnie pana, pragnę pomówić z nim w cztery oczy.

Za żadną cenę w świecie nie byłby wyrzekł się Berti przyjemności wypowiedzenia natychmiast czegoś pociesznego, co mu przeszło przez głowę.

— Hej, numerowy! — zawołał na odchodzą-

cego — wróćże się i przynieś z sobą jedyne swe oko, bo ta panna chce się rozmówić zemną, w cztery oczy, a my oboje razem mamy trzy dopiero...

Obrażona panna zawrzała gniewem i zawołaawszy: „Gbur z pana“! zatrzasnęła mu drzwi przed samym nosem, nie myśląc już zupełnie o powierzonej sobie przez panią misyi. Można sobie wyobrazić co tam będzie wygadywała w domu!

Berti więc, w dniu przyjazdu swego, wieczorem nie poszedł do Katinki, ale na hecę.

H E C A.

Koniec końcem trzebaż dbać o rozrywki i dla mniej wykształconej publiki. Niekażdy człowiek osiągnął taki stopień doskonałości cywilizacyjnej, by mógł uczęszczać do niemieckiego teatru, zostającego pod protektoratem jego ekscelencyi naszego palatyna, a zbudowanego za pieniądze węgierskiej szlachty.

Kerepeska ulica znajduje się jeszcze w stanie formacyi. Poza osławioną kawiarnią Zrinyi, widać w pewnej oddali przysadziste kształty wielkich budowli szpitala św. Rocha, a poza niemi nic, prócz kilku podrzędnych oberży, których otoczenie stanowią małe parterowe wiejskie domki. Jeden tylko pałac Beleznay'ów psuje ogólną harmonią. Ulica jest jeszcze błotniejszą i więcej na niej wybojów, niż na trakcie, trakt bowiem należy do komitatu, ta ulica zaś do miasta. Gdzie jaki sklep jest otwarty, tam sprzedają wszędzie paprykowaną słoninę, lub conajwyżej dla odmiany wódkę.

Skoro zaś wędrowiec tą ulicą bez trotuarów, brnąc po błocie, zdołał dojść do wysokiego muru, opasującego jej narożnik, poznać może częścią, po wrzasku uliczników, wdrapujących się na mur, częścią po huk bębna dochodzącego z wewnątrz z wytrwałością godną lepszej sprawy, że tu się coś dzieje widocznie...

Niemalą, wszakże stanowiłoby pracę wynalezienie wejścia. Drzwi wprawdzie mur ten ma aż troje, wszystkie jednak zabite są gwoźdźmi. Natomiast znajdzie się zawsze ktoś, co przybysza poinformuje, że wchodzi się do tego teatru przez przyległy domek parterowy. Trzeba minąć podwórze domku, przejść jakąś wozownię i tu dopiero przyjmuje przybysza jakaś podżyła jejmość, nakłada nań podatek dziesięciu krajcarów, a wtedy może już wstąpić w bramy rajy.

Plac ten był niegdyś magnackim jakimś ogrodem. Co się stało z pałacem, który niegdyś stać musiał przy nim, tego nikt nie wie. Może go nigdy nawet tu nie było. Dziś okrągła buda z desek, w rodzaju amfiteatru, zajmuje środek; w niej z nieoheblowanych desek zaimprovizowane ławki stoją pozbijane. Pierwsza ława nazywa się pierwszym miejscem, a zarezerwowaną jest dla panów oficerów i wogóle dostojniejszej publiczności. Kilka drzew akacyowych, które się tu zablakały użyto za podpory do baryery okalającej szranki. Wysoki na sążeń parapet od-

dziela piasek areny od miejsc zajętych przez publiczność, opatrzony dokoła mocnymi bramami. Ponad bramą wznosi się wyższa jeszcze trybuna, również zbita z nieoheblowanych desek, oblepionych obrazami bitew; na niej, przybrany w trykoty „dziki“ wali w bęben, a równocześnie gra na klarncie; pod trybuną znajduje się klatka, w której mieszczą się przeznaczone do hecy zwierzęta. Wycie i ryk ochrypli z niej się wydobywające pozwalają się domyślać, że teraz właśnie studują swe role.

Publiczność jest niezmiernie dobraną. Pierwszy rząd zajmują same dobrze odżywiane oblizki: rzeźnicy, masarze, czeladnicy garbarscy i przybyłe z nimi damy, które przełazą przez ławy; pośród nich tu i owdzie świeci błyszcząca twarz przekupnia słoniny z pobliskiej targowicy, juraci o burszowskich manierach, weseli i śmialszyscy czeladnicy, młodzi studenci, mieszczenie i wszelkiego rodzaju zbieranina. Każdy, gdy gdziekolwiek zajmie miejsce, ogląda się przy kim usiadł i pilnie baczy na kieszenie, żeby mu czego z nich nie wyjęto. Przegroda obok sceny przedstawia łożę, gdzie oficerowie kawaleryi, złota młodzież i szulerzy wyższego rzędu zwykle bywają wpuszczani — ludzie, którzy płacą nie według cen zamieszczonych na afiszu. Nakoniec na skraju galeryi stoi policyant, zastępujący wiecznie czujne oko ziemskiej władzy.

Przedstawienie już się rozpoczęło; bęben zamilkł, aby ustąpić miejsca harfie, która w owe czasy w tej okolicy świata była jeszcze nowością, ale bęben ucichł, przeto oczywiście Berti Csollan nie mógł wiedzieć na Kerepeskiej ulicy gdzie to odbywają się olimpijskie igrzyska.

Na szczęście jego szedł naprzeciw niego jakiś melancholijny obywatel, w wysokim, wytartym kapeluszu na głowie i granatowym płaszczu z pelerynką zarzuconym na ramiona; że zaś z pod płaszcza wyglądały dwie pary butów, które widocznie niesiono do przymierzenia, przeto nie trzeba było zbytnej przenikliwości, aby odgadnąć, że czcigodny ten obywatel był szewcem.

— Słuchajcie-no, majstrze — odezwał się Berti Csollan do niego — nie możecie mi wskazać gdzie tu jest widowisko?

Mężczyzna w krótkim płaszczu zatrzymał się, zmierzył pytającego, zastanowił się co mu odpowiedzieć wypada, a potem odrzekł:

— Ponieważ igrzyska byków i psów przedstawiają takie rozrywki, w których duchowo-moralna jedność nie wykazuje zazwyczaj swego wcielonego ja, dlatego nie mogę pańskiego idealnego życzenia uzupełnić osobistem doświadczeniem. Gdyby pan wszakże zechciał kroków swych przyspieszyć nieco w tym co dotąd kierunku, to pomyka tam jakiś pan, którego nogi zawarte są

w wysokich sztylpowych butach; ten prawdopodobnie dąży ku temuż samemu celowi, od niego przeto będziesz pan mógł otrzymać potrzebne wyjaśnienie...

Berti spojrział wielkimi oczyma na mówiącego. Nie słyszał jeszcze nigdy nikogo, przemawiającego takim stylem. Potem wszakże spojrział w ukazywanym mu kierunku i nie powiedziałszy nawet „bodaj cię paraliż pokręcił!“ pospieszył dogonić idącego przed nim pana w sztylpowych butach.

Majster przecież stanął, popatrzył za nim i wymówił tonem głębokiego przekonania:

— I niema tu potem być trzęsienia ziemi!

Berti w kroczącej naprzód postaci zdala już poznał Balvandy'ego. A dawno już tęsknił za nim... To też spieszył, aby go dognać, a ponieważ Balvandy miał na głowie okrągłą dżokejską czapkę, dognawszy przeto, uderzył go po niej napełnionym skórzanym kapciuchem, wołając: „servus, Niemcze!“ Balvandy, nie odwracając się, wymierzył mu poza siebie porządny raz szpicrutą przez nogi i odpowiedział w odwet: „Servus, Kozaku!“ Potem udali obaj, że się dopiero poznają i poczęli się niepomiarkowanie wzajem cieszyć ze spotkania.

I Balvandy spieszył na hecę. Wziął natychmiast kochanego swego przyjaciela pod ramię

i poprowadził go do znanego nam już wspaniałego teatru, wstępne nawet opłaciwszy za niego.

— Dziś będziem się bawić razem do samego już rana.

Przedstawienie było już w biegu. Pierwszy numer jego stanowił teatr optyczny. Drewniane lalki odgrywały jakąś sztukę, której treść objaśniał Włoch po niemiecku. Kto się na tę część widowiska spóźnił, nie stracił wiele.

Ale walka psów, to przynajmniej coś porządne!

Obu dostojnych gości wsunął Włoch do owej łoży, gdzie dla pomieszczonej tam publiczności przygotowano znakomitą rozrywkę złożoną z ręcznej sikawki, ku obryzgiwaniu wodą gratysowej publiczności, pnącej się po murze. Zabawka ta niezmiernie podobała się panom, którzy częsty czynili z niej użytek. Wśród krzyku opróżniał się wtedy mur na chwilę, lecz w parę minut później napowrót już roił się niezliczonemi głosami.

— Psy, dawajcie prędko psy! — wołała publiczność niecierpliwie, a czeladnik rzeźnicki, z odwiniętymi rękawami koszuli, bijąc gwałtownie sękatym kijem w parapet, kładł tym sposobem nacisk na głos woli narodu.

Otwarto wreszcie drzwi areny.

Nadzorca psów w juchtowych butach wprowadził dwa buldogi na lince; jeden był żółty,

drugi łaciasty. Żółty zdawał się silniejszy i cięższy, ale łaciasty wyglądał na daleko zwinniejszego.

— No, kto trzyma zakład za łaciastym przeciw żółtemu? — wołał ze swej łoży Balvandy.

— Ja stawiam na żółtego! — odhuknął czeładnik rzeźnicki.

— Dwa przeciw jednemu! — woła Balvandy i rzuca dwa srebrne talary na ziemię.

— Ja trzymam! — brzmiała odpowiedź czeładnika i on również rzucił swego talara w piasek areny.

Nadzorca spuścił oba psy z liny i odpiął im obroże. Publiczność szcuć je poczęła.

Już wzmagające się warczenie oznajmiało o naprężonym stosunku między psiami potęgami, które tylnymi łapami wyrzucały piasek wysoko.

Zanim wszakże mogło przyjść do wybuchu wojny, jakiś chłopak, który przed chwilą właśnie otrzymał pełen nabój wody z sikawki prosto w twarz, pomścił się w ten wesoły sposób, że z wyżyn muru rzucił między gotujących się do walki buldogów wielką, pasiastą jak tygrys kotkę.

Niespodziewana interwencya owa miała ten skutek, że wrogie sobie buldogi nagle zawiązały koalicją przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi i oba na kotkę napadli.

Ale i kotka była zbrojną; rzuciła się też na jednego z psów i tak mu dobrze zagłębiła pięć pazurów w skórę, że krew pociekła mu z pyska.

Walka poczęła się tem zajadlejsza, że nadprogramowa; publiczność była rozdrażniona. Daremnie ze wszech stron szcuto psy na siebie — o walce między nimi nie mogło być mowy.

— Chyba wypędzić kotkę!

Taką była opinia publiczna. Kotka tymczasem, dopadłszy akacyi, zniknęła na samym jej wierzchołku; widzowie od prawej strony ślali ku niej grad kartaczowy różnych pocisków; ona wszakże widocznie zdecydowaną była bronić swej fortecy aż do tchu ostatniego. Musiano w końcu zaprzestać bezskutecznej walki i w pożądanym spokoju, uznać stanowisko kotki jako „status quo ante bellum“.

Ale swoją drogą publiczność była zirytowana; ci wszyscy co się zakładali z sobą, wystrychnięci byli na dudków. — „Przekłête psy, niegodziwa kotka!“ — ryczał to ten, to ów...

Numer ten programu należało uważać za przepadły; publiczność gwizdała, klęła, galerya dzieciaków na murze wrzeszczała w niebogłosy, chowając ile możności głowy, na które sypały się zgniłe jabłka. Jeden tylko policyant na swem miejscu stał niewzruszony.

Burza ta dopiero wówczas się uspokoiła, kiedy na placu boju pojawił się Włoch, podniósł z ziemi

powrzućane na arenę talary i pooddawał je zakładającym się, przepraszając zarazem szanowną publiczność i wysoką szlachtę, że skutkiem niezależnego od dyrekcyi wydarzenia „rzymskie igrzyska zwierząt“ takie zrobiły fiasko.

Z kolei następowała najgodniejsza uwagi część przedstawienia — walka byków.

Właściciel sąsiedniego domku był rzeźnikiem, z tyłu zaś w dziedzińcu stał szlachtuz, gdzie padłe w walce lub poranione bydło natychmiast dobijano. A miało to dwoistą korzyść.

Naprzód, że niższym warstwom społecznym, zwłaszcza też ludności mówiącej węgierskim językiem, daje się przez to sposobność szlachetnej rozrywki; powtóre zaś, że mięso osłabionego w walce bydła staje się kruchszem i na skutek tego sposobniejszem do użytku publiczności. Władze zatem popierały walki byków tak z umoralniającego, jak z higienicznego punktu widzenia.

To też tem bardziej żałować muszę, że nie mogę tu przedstawić wszystkich wzruszających scen odgrywanego się wystąpienia, któremi pojedynk rozszalałego byka z bawołem rozwesela widzów; nie dlatego, by wobec przerażającej tej walki wypadało mi pióro z ręki, ale dlatego prosto, że olimpijskie to igrzysko nie mogło także przyjść do skutku. Skoro bowiem wyrowadzonego na arenę bawołu zaczęto podszycować na byka, ten uląkł go się tak bardzo, że

zamiast zdecydować się na walkę, skoczył ku parapetowi i następnie dziwnym sposobem przesadził wysokie odgrodenie. Skakał jak angielski koń wyścigowy, czepiał się jak lampart, aż nagle, ku powszechnemu przerażeniu, znalazł się pośród publiczności. Na szczęście — nie miał ochoty zatrzymywać się tam dłużej, ale pędził wprost ku bramie ogrodu i pierwszym uderzeniem rogów ją wysadziwszy, pognał tam, gdzie ulica jest najszerszą. Tym epizodem tedy zakończyło się niefortunne tego dnia widowisko.

SŁAWNY ATLETA.

Po narodowej tej zabawie wsadził Balvandy kochanego swego przyjaciela do doróżki, aby wedle przyrzeczenia przeprowadzić go przez wszystkie przyjemności, których przed pół wiekiem przeszło Buda-Peszt mógł dostarczyć.

Nie będziemy im towarzyszyli w całej tej wyprawie po złote runo wesołości; powiemy tylko, że pod koniec nocy przyjęły ich o każdej porze otwarte, gościnne sale kawiarni „pod Zri-nyi'm“. Zastał tam Berti całą gromadkę szulerów, grających w „moje twoje“ i przysiadł się do nich. Naprzód wygrał od nich dużo, później wszakże oni odegrali nietylko swoje, ale i wszystkie jego pieniądze. Wtedy Berti zapalił się już na dobre i usiłował od Balvandy'ego pożyczyć sto guldenów. Ale Balvandy znał miłe nawykienie Bertiego Csollan, że pożyczonych mu w grze pieniędzy nie oddaje nigdy.

— Nie dam ci nic, chyba, na zastaw.

— Tak, ale cóż ci mam dać w zastaw? Moją fajkę?

— Ta niewarta i pięciu groszy.

— Mój szpencer?

— Nie wziąłbym go i darmo.

— Rewers?

— Daj mi ten pierścionek, który masz na palcu.

— Ależ to obrączka ślubna mojej żony.

— To mi wszystko jedno... Jutro możesz go wykupić.

I Berti oddał w zastaw obrączkę swoją ślubną, na której wyryte były początkowe litery imienia i nazwiska żony. Jeśli odegra swoje pieniądze, może i zapłaci sto guldenów. Ale jeśli i te straci, kupi sobie jutro inną obrączkę za pięć guldenów, a Balvandy niech się cieszy swoim zastawem.

I naturalnie przegrał owe sto guldenów.

W ten sposób zabawiali się obadwaj przyjaciele do rana, cała zabawa zaś szkodę przyniosła tylko kieszeni Balvandy'ego, który nad ranem odprowadził towarzysza swego do domu i położył go sam do łóżka, w numerze pod „białym okrętem“.

Berti spał do dziewiątej. Kiedy się zbudził, zwolna poczęło mu przychodzić na myśl, że nie jest w Gödenylak; po niejkiej chwili znowu

udało mu się przypomnieć sobie, że obecnie jest w Peszcie; po pewnym czasie wreszcie wiedział już nawet, że przybył tu na zaproszenie żony, z zamiarem pojednania i że wskutek tego pierwszym jego obowiązkiem byłoby kazać się ogolić. Świtało mu w głowie nawet coś takiego, jak gdyby wczoraj wieczorem dał polecenie kelnerowi, by o dziewiątej przysłał mu balwierza.

Ktoś puka już do drzwi.

— Proszę!

Berti spogląda ku otwierającym się drzwiom i widzi jak przez nie wkracza jakaś postać niby mu znana, a przecież nieznana. W pośpiechu nie przychodzi mu na myśl gdzie to ją widział. A przecież to Sebastyan, czeladnik rzeźniczy, którego wczoraj miał przyjemność poznać na hecy.

Sebastyan ma na sobie nowy, obramowany szpencer i barankową czapkę.

Czapkę kładzie na krześle, potem zdejmuje z siebie szpencer i zawiesza go na kołku, wreszcie odwija szerokie rękawy koszuli aż po ramię.

Berti patrzy co to z tego będzie?

Sebastyan odwiązuje sobie krawat.

Potem staje przed Bertim i mówi:

— No, więc jestem.

— Aj, do kata, że tu jesteś, to widzę. Ale poco tu jesteś?

Sebastyan spluwa w prawą pięść, potem spluwa w lewą, potem zaciera obie dłonie, wyciąga ramiona i mówi:

— Zobaczmyż więc kto z nas kogo powali na ziemię.

— A niech cię piorun na ziemię powali! Poco tu przychodzisz do mnie, ty gałganie?!

— Poco do pana przychodzę? Alboż pan mnie nie przywołał?

— Ja? ciebie? Kiedyżeś ty słyszał choćby jedno słowo z ust moich?

Sebastyan załamał ręce jak ten, którego przeraża niespodziewana bezczelność.

— Toż to wydrukowane przecież literami tak wielkimi, jak moja pięść!

— Co jest wydrukowane, ty ośle?

Sebastyan pociągnął Bertiego do okna i wskazał mu róg domu Teleky'ego, naprzeciw „białego okrętu“, gdzie stała gromada ludzi, gapiąc się na olbrzymi plakat; w pośrodku tegoż widocznym był wizerunek Herkulesa, dźwigającego z ziemi centnarowe wagi.

— Przecież z takiej odległości nie mogę czytać.

— No, to możesz pan sobie obejrzeć zblizka. Cóż to jest, proszę?

I otworzył na oścież drzwi numeru Bertiego, skąd już Csollan mógł zobaczyć tenże sam afisz,

przyozdobiony postacią Herkulesa, z następującym napisem :

„BERTI CSOLLAN,

pierwszy akrobata sułtana tureckiego, wyzywa niniejszem wszystkich siłaczy Budy-Pesztu do walki. Temu kto go zdoła pokonać, przyrzeka sto guldenów“.

Berti, czytając ten afisz, to bladł, to czerwienił na przemiany.

Toż niebezpieczne to ogłoszenie przyklepione było na własnych drzwiach jego...

— Cóż więc, czy jesteś pan owym Berti Csollan, czy nie jesteś nim? — krzyczał czeladnik z dzikim tryumfem.

— Kuglarstwem i oszustwem jest cała ta historia! — wybuchnął Berti pełen przerażenia. Łajdak, szubienicznik, złodziej jest ten, co to zrobił. A ty wynoś mi się do dyabła! Ja nie jestem ani akrobatą, ani siłaczem. Nic nie wiem o całej tej historii.

— Ohoho, mój kochany paniczku — naigrawał się Sebastyan, wygrażając kulakiem pod sam nos Bertiego. — Tak to nie ujdzie, żebyś nas bezkarnie brał w łapkę, a potem się z niej wyslizgnął, kiedy już całe miasto, wszystkie rogi ulic tym papierem są oblepione. Teraz trzeba stanąć, niema rady!

— A to stawaj sobie na głowie, jeśli ci się

podoba. Ja nie myślę z tobą się mocować, to nie moje rzemiosło. A dziś jeszcze mam postrzał w krzyżu. Jakiś gałgan zadrwił sobie z całego miasta.

— Oho! lis nie trafił do swojej jamy! Tak się pan nie wykręcisz! My już znamy tę sztuczkę! Przeszłego roku akurat tu tak samo zrobił jeden amerykański komedyant: ogłosił, że temu kto go pokona da sto guldenów, ale jak zobaczył te ramiona... Widzisz je pan? i przy tych słowach Sebastyan wyciągnął obnażone, grube, muszku-larne ramię — to odrazu serce poszło mu w pięty i powiedział także, że on sobie żartował tylko. W końcu zaczął się ze mną targować. Aleśmy nie ustąpili, musiał nam stanąć na placu i mocować się... I położyłem go oczywiście tak, że połamał sobie żebra. Nie przyjedzie on już mocować się do Pesztu! Ale i pana oduczę ja od tego rzemiosła.

— Kochany przyjacielu — począł Berti, próbując już prośby. — Klnę ci się na święte słowo honoru, że ani jestem komedyantem, ani nim byłem kiedykolwiek. Ktoś w mojem imieniu zadrwił sobie z miasta. Ja jestem posiadaczem majątku nad Cisą. Dajże mi pokój, mój kochany!

Motywowanie to wydało się śmiesznem Sebastyanowi.

— Hm, to ci zabawne! Zakpić sobie z czło-

wieka... Człowiek wierzy: że co wydrukowane, to tak jak pismo święte. Tak pewien jestem stu guldenów, jak gdybym je miał już w kieszeni. Pan mi zabierasz sto guldenów, jeśli nie chcesz mocować się ze mną. Ja na to konto już sprawiłem sobie nowy szpencer na rynku.

I wskazał powieszony szpencer.

— Cóż cię to kosztowało?

— Dziesięć guldenów.

— No więc masz tu te dziesięć guldenów, a teraz idź sobie z Bogiem, mój kochany.

Sebastyan machnął gwałtownie głową.

— Ha niech tam! Ze mnie takie już głupio poczciwe zwierzę. Dawaj pan te dziesięć guldenów. Nie powiesz pan przynajmniej, że ze mnie awanturnik. Wszyscy wiedzą, że Sebastyan to taki gładki chłopak jak masło.

Berti wcisnął mu w rękę dziesięć guldenów i zlekka popychał go ku drzwiom. Sebastyan jednak nie ruszał się jakoś z miejsca. Stał więc jak posąg spiżowy.

— Wiesz pan co, mnie jednak przykro, że choć cokolwieczek, tak bardzo delikatnie, jeśli już nie na ziemię, to choć na kanapę nie położyłem pana, żebyś przynajmniej wiedział kto ja jestem. Nie za pieniądze, ale tak po przyjaźni...

Berti podziękował jaknajpiękniej; nie chciał być na żaden sposób przewracanym, nawet na

kanapę, ani darmo, ani po przyjaźni, woli już ofiarować siłaczowi trochę tytoniu; niech sobie nałoży fajkę z jego kapciucha, co też uczynił. I tak na seryo wziął tę sprawę, że i kapciuch zatrzymuje najspokojniej. Berti za nic w świecie nie ośmieliłby się zażądać jego zwrotu; woli mu jeszcze z własnego krzesiwka skrzesać ognia; przykłada hupkę do fajki i czeka, póki Sebastyanowi nie rozpali się nalezycie.

To dobrze usposabia Sebastjana.

— No, mnie się pan tanim kosztem wykreślił. Bo widzisz pan, że mnie dobry chłopak. Ale tu ich jest więcej: Antek Kapuśniak, Józef Strażak i signore Mangiacatto. No, słuchaj pan, tych się tak łatwo nie pozbędziesz, bo to wszystko straszne krzykacze.

Berti przeląkł się ponownie.

— Cóż to za ludzie?

Sebastjan objaśnił mu to.

— Antek Kapuśniak to doróżkarz i gdzie tylko jest jaka bijatyka, pewnie go tam znajdzie. Józef znów to tragarz, a taki mocny, że dwa pełne wory pszenicy równocześnie weźmie na plecy. Włoch zaś jest handlarzem serów, a niegdyś był Herkulesem w cyrku. Spotkałem się już z nimi „pod Zrinyi'm“, gdzie radzili nad tem właśnie, kto pójdzie pierwszy, żeby pana za te sto guldenów porządnie powalić.

Tego zapewnienia brak jeszcze było biednemu Berti.

— Z nimi tak się pan prędko jak ze mną nie załatwi! Ich pan drobnemi nie zbędzie.

Wreszcie wyszedł czeladnik rzeźnicki. Berti wyjrzał na ulicę i zobaczył, że już porządna gromadka ludu stała na rogu i wzajem tłómaczyła sobie treść plakatu.

A to przekłęcie głupi figiel, ktobądź go wymyślił.

Tak, ale kto mu go spletał?

Łamał sobie nad tem głowę. Byłby posądził Balvandy'ego, ale to przecież niemożliwe. Wczoraj wieczorem dopiero się spotkali i od tej chwili nie opuścili się aż do rana; te plakaty zaś musiały być pierwej złożone w drukarni, wydrukowane, posłane do cenzury, rozlepione, to przecież robota co najmniej dnia całego. Więc czyja to robota?

To nie może być sprawa nikogo innego, oprócz — Katinki.

Żona chciała w ten sposób pomścić się na mężu za liczne przykrości, które on jej wyrządzał nieraz.

Inaczej nie może sobie wytłómaczyć tej sprawy.

W wściekłości swej i przerażeniu kazał Berti zaprzęgać coprędzej i nim zaprzężono jeszcze,

sam już pierw wsiadł do powozu i ukrył się pod skórzanym fartuchem, przykucnąwszy pod nim, i w tej pozycyi już pozostał, nie wytykając ani koniuszeczka nosa, dopóki powóz nie minął miejskich rogatek.

A jeszcze w dodatku miał tę przykrość, że nie mógł palić, Sebastian bowiem zabrał mu był wszystko tytuń.

Dopiero znacznie później, po latach, otrzymał raz z Pesztu kartkę, gdzie było napisane:

„Jakże ci się podobała komedyjka w hotelu pod „białym okrętem?“

„Balvandy, dyrektor wędrownej trupy“.

Był to odwet...

Balvandy zaś tegoż samego dnia przed południem jeszcze złożył wizytę Katince.

— No, na „niego“ pani nie oczekuj — ozwał się do pięknej kobiety. — Wczoraj wieczorem przybył i zaraz zasiadł do kart, zgrał się do nitki, aż w końcu przegrał nawet ślubną obrączkę, poczem odjechał do domu.

Katinka poznała obrączkę.

Zaczerwieniła się z gniewu.

— Natychmiast oddaj mi pan ten pierścionek!

— Ani mi się śni! Nie mało mnie on pieniędzy kosztował i dany jest w zastaw.

— Cóż zatem chcesz pan z nim zrobić?

— Będę z tym pierścionkiem szukał tego, na którego palcu piękna moja pani widzieć go zechce, i temu go oddam...

Katinka na to odpowiedziała tylko:

— Okropny z pana człowiek!

WSTECZ, A PRZECIEŻ W GÓRĘ.

— A więc rzeczywiście całowałeś kruoyfiks, mój drogi przyjacielu, kiedy ci go biskup podał? — zapytał Biroczy przyjaciela swego Kolomana, po skończonej ceremonii poświęcenia krzyża, która to uroczystość odbywała się w dzień św. Stefana, w kościele rodziny Decsery.

Na uroczystość tę sproszone wszystkich notablów z okolicy, biskup sam celebrował w asystencji dwóch kanoników; hrabianka Dorota odśpiewała swoim wspaniałym, dźwięcznym głosem solowy hymn, z towarzyszeniem orkiestry; młodzież zaś taka jak Koloman, w narodowym węgierskim stroju, z obnażonymi mieczami, odbywała straż w kościele i utrzymywała porządek. Następnie biskup udzielał błogosławieństwa wszystkim, nie pytając kto prawowierny, a kto kacarz. Biroczy, dzięki niekształtności swej postaci, wolnym był od honorowej służby i mógł

ceremonii przyglądać się z takiego miejsca, gdzie błogosławieństwo udzielanem było nie w materialnej postaci.

Uroczystość kościelną zamykała uczta; Kolomana posadzono przy głównym stole, przy którym siedzieli najdostojniejsi goście. Zastęp osób podrzędniejszych rozsiadł się w przyległej sali. U głównego stołu, oprócz członków hrabiowskiej rodziny, siedział biskup, dwaj kanonicy, dwaj bracia Dombradi, obadwaj wielce poważne i poważane w okolicy osobistości. Tu siedzi także miejscowy pastor kalwiński. Hrabia zaprasza go zwykle przy każdej uroczystości do swego stołu, czego, co prawda, ksiądz niezbyt pożąda. Nie nawykł on do pańskich biesiad i zawsze każdą taką ucztę przypłaca tygodniowem wyleżeniem się w łóżku.

Pocziwy stary pastor niezmiernie był ucieszony, spostrzegłszy obecność jednego z „nostras“ przy stole.

— Siadajże tu przy mnie, mój kochany panie — prosił Kolomana — i na miłość Boską zwróć mi uwagę, które potrawy jeść można, ażeby przy tym pańskim stole nie spożył czasem jakich węży lub żab, bo oni to jadają takie obrzydliwości.

Przedsięwziął sobie nie pić zupełnie wina. Ale w ciągu uczty niepodobieństwem było dotrzymać uczynionego ślubu. Jeden z kanoników

znakomitym był mówcą i po każdej niemal potrawie wnosił toast.

Z kolei przypadł i toast na cześć Kolomana. Ksiądz kanonik miał więc mowę pochwalną, w której wysławiał każdego z osobna z jego przodków, potem jego samego i liczne jego zalety; nakoniec wyraził ubolewanie, że tak doskonały, znakomity młodzieniec żyć musi w ka- cerstwie.

Tu już wytrzymać nie mógł pastor. Co mu tam hrabia, co biskup, nie pozwoli lekceważyć swojej religii!

Teraz dopiero zabawa stała się zupełną przy stole. Pastor był wielce biegły w umiejętności religijnej dyalektyki; odrzucał centnarowe argumenty swego przeciwnika niby piłkę leciuchną, i wpadłszy w zapał, dolewał sobie tyle wina, że Koloman uważał za stosowne trącić go nogą pod stołem i szepnąć mu w ucho:

— To wino jest bardzo mocne.

— Jeśli mocne to go nie pij, mój synu! — odrzucił mu natchniony szermierz.

Koniec zaś całej tej walki był taki, że Biroczy musiał wejść z oznajmieniem, iż pani pastorowa prosi męża, aby przyszedł do domu, bo stało się tam coś ważnego; poczem na skinienie hrabiego z jednej strony Biroczy, z drugiej Koloman wzięli pastora pod ramię i ostrożnie poprowadzili na probostwo, przez cały ciąg drogi

budując się cytatami z św. Augustyna. W domu zaś położyli go do łóżka i nie trzeba go było do snu kołysać.

— Widzisz, kolego — mówił wracając Biroczy do Kolomana. — To jest filozofia życia. Stałość przy swej wierze i gorliwość prowadzą do takiego domu, z którego tynk opada, łaska zaś wielkich panów do takiego pałacu jak ten, do którego my wracamy. *Flecti non frangi* (Być zgiętym, ale nie złamanym). Taką jest dewiza wypisana na jednej węgierskiej herbowej tarczy. Ty już znalazłeś *Gradus ad Parnassum*... Wprawdzie nie jest tam parnas, ale co innego. Ty idziesz w górę i... wstecz. Ile w górę, tyle też wstecz równocześnie. Ale robisz mądrze... *Sic itur ad astra*... Będziesz wielkim panem, jasnym panem, małżonkiem hrabianki, mężem bogini, błogosławieństwo spłynie na ciebie — z nieba i z ziemi. Gdybym ja był tak pięknym jak ty chłopcem, robiłbym co ty robisz.

— Ależ ty jesteś niepomernie pijanym, mój bracie!

— Być może, w takim razie wesprzyjmy się wzajem na sobie, bo i ty niemniej nim jesteś. Ja, jeśli pijany, to pijany tylko winem; ale tyś upojony pięknych oczu parą. Kiedy przyjdzie oprzytomnienie, z nieodłącznym bólem głowy, to doprawdy nie wiem dla którego z nas dwu będzie ból ten przykrzejszym.

Kiedy powrócili do sali, toasty były w najlepszym biegu; panowie siedzieli jeszcze przy stole, tylko panie już od niego odeszły. W tym miłym zamieszaniu Koloman miał sposobność na chwilę spotkać się z Dorotą.

Hrabianka uścisnęła jego rękę i szepnęła mu z cicha:

— Właśnie ojciec mój mówił, że od dziś za tydzień zaproszeni jesteśmy na wielką instalację w dobrach Kordicza. Pojedziem wszyscy; pan także pojedziesz z nami!

Kolomanowi uderzyło serce gwałtownie.

Przed tą instalacją w Kordicza on uciekł właśnie w zazdrosnej swej wściekłości i na nią dążyć teraz będzie w tryumfie szczęścia!

Uczta skończyła się, sprzątnięto stoły; każdy śpieszył ucałować rękę jego ekscelencyi, księdza biskupa.

Droga M. PODSOŃSKA.
Zakopane
PENSJONAT CZERNICOWIANKA
Tel. 645.

POŚRÓD TĘCZY.

Źródło rzeki Kordy wypływa z Karpat północnych. W pośrodku wysokiej, stromej, skalistej ściany spada ono z wysokości trzech sążni tak gwałtownie, że tworzy łuk pięciosażniowy, wywołując przytem zjawisko wieczystej tęczy.

Miejsce to jest przybytkiem zupełnej samotności. Od północy, od zachodu opasuje je klamrą stromy pasek góry, z której spada rzeka; stądto z szumem pędzi potok poprzez nieprzebyte zarośla krzaczaste, poprzez nagromadzone w potężnym chaosie pnie drzew dziewiczych niemal lasów; od wschodu zaś otwiera swą paszczę szeroka rozpadlina, w którą gdy spojrzysz, widzisz, dno jej pokryte mnóstwem rogów jelenich, które wiosną płochliwe te zwierzęta zrzucają w takich miejscach, kędy nie zbliżają się ludzie.

W górze, na wierzchołku skalistej ściany, szumią w wietrze korony prastarego sosnowego lasu; olbrzymi pień, kolos pośród innych, zapu-

ścił właśnie korzenie w skalisty gzyms jaskini, z której wypływa rzeka; stąd wznosi on swą wiecznie zieloną kibić i pnie się czołem między resztą braci. Wysoko w górze dziki winograd wplątał się w ciemną zielen gałęzi i zsuwa się po sam spód pnia; jedna gałąź winogradu, odczepiona, zwisa aż do wodospadu, a woda miota nią na wsze strony. Zdaje się, że stara ponura sosna bawi się tak w dziecięce igraszki.

Odbijające się od skalistej ściany słoneczne promienie zdwajają upał dnia letniego; nieprzerwany deszcz rozpylonego w mgłę wodospadu ochładza parne powietrze, tak iż tym sposobem istic zwrotnikowa powstaje atmosfera. W tem wilgotno-gorącym powietrzu w każdej skał szczelinie rozpiera się bujna wegetacya; zielone róże rojnika i żółte wieńce rozchodnika ukwiecają go, a gdzie już niema nic innego, tam mech przynajmniej zielony snuje swój haft bogaty.

Pod wodospadem, pod błyszczącą szklaną kopułą, wysokie jak drzewa paprocie kiściami swemi tworzą baldachim ponad omszałym kamieniem, który pnące się rośliny owiły różnobarwnymi kielichami swych kwiatów. W gorącym tym cieniu, niby w książęcej cieplarni, związane w malownicze grupy rosna klejnoty lasu, przepiękne bukiety balsamin, cyprysów, miodowników, jakieś kwiaty podobne do motyli, do

pszczoł, do ptaka siedzącego w gnieździe, których woń jest niby napojem miłosnym z baśni.

Spieniona fala toruje sobie dalej drogę między gęstymi krzewami ślazu i poziomek, co się splątały i splotły z gałązkami dzikiego winogrodu; a gdzie rzeka tu i owdzie znalazła sobie spokojny w dolinie kącik, by w nim jakaś zaśląkana odpoczęła fala, tam stroi brzeg bogato w niezapominajki, w błękitne sasanki i czerwone głogi.

W jednym miejscu załamuje się w krąg rzeka, a tam na piaszczystym brzegu wyrasta grupa srebrzysto czerwonych wierzb górskich. Malowniczy to kontrast do poważnej sosen ciemni.

A gdzie rzeka w mglistej głębi w dole znów jest widoczną, zwężoną w skalistą kotlinę, niby szmaragdowo-zielone górskie jezioro, tam ponad brzegami tego jeziora poznajesz szereg najstarszych palowych budowli: sztuczną tamę i szereg okrągłych chat mieszkalnych. Mieszkańcami ich są bobry, mądry nawodni architekci. Ród skazany na zagładę, który tam tylko zamieszkuje jeszcze, dokąd człowiek nie dotarł nigdy.

W tych miejscach jeszcze stopa ludzka nie pozostawiła swych śladów.

Tu tylko leśna pszczoła zbiera miód dla swego roju, we wnętrzach spróchniałych drzew. I całe to powietrze nawskróś przesiąkłe jest miodową wonią. Samo powietrze odurza, ukołysać

cię zdoła do snu i zbudzić jakieś tajemne uczucia.

A tajemnice te wyjaśnią ci mówce leśni; gdzie szumi wodospad, tam zwykle lubią pieśń swą zawodzić ptaki, tam brzmi wyzywający świst kosa, tam nawołuje głuszczyk w zazdrośnym gniewie.

A wschodzące słońce coraz to więcej rozszerza swój krąg tęczy, czarodziejski, ponad tą pełną leśnych gnomów, piękną okolicą; marzyciel spodziewa się, że tam na tym omszałym, blaskiem tęczy oświetlonym kamieniu, zjawić się przed nim musi jakaś leśna bogunka, by skąpać swe ciało w chłodnych mgłach wodnych.

I rzeczywiście, jeśli poczeka do wieczora, gdy zmrok pocznie zapadać, spotka go rzadka przyjemność: rozchyłą się kiście paproci i z pośrodku nich wystąpi obnażona syrena.

A jakież to widać pociągający dla zapalonego przyrodnika!

Ta „syrena“ jest wielkim, czarnym, nagim potworem; rzadkością pośród zwierząt. Ciało jej jest niekształtne, niby wąż gruby; ma małe nogi, a u głowy wyrastają dwa ruchome, czerwone pączki, które ją czynią jeszcze okropniejszą.

Ale dla badacza przyrody jest ona skarbem, trudno ją bowiem zobaczyć w żywej postaci; ucieka przed człowiekiem, przed każdym innym zwierzęciem, przed promieniem słońca, przed naj-

mniejszym szmerem. Żyje tylko w miejscach, gdzie jej nie nigdy nie płoszy. Wilgoci i gorąca szuka w cienistych miejscach; poruszać się może bardzo tylko powolnie i nie ma żadnej broni prócz chyba postrachu, jaki jej widok wywołuje.

Do tej-to syreny należy opromieniona tęczą czarowna jaskinia, poniżej źródła rzeki Kordy...

Instalacya w dobrach Kordicza zamiast we dwa tygodnie, przyszła do skutku dopiero we dwa miesiące, znacznie więc później, niż to naznaczył był Balvandy.

Główną przyczyną tego była niemożność pomieszczenia sproszonych gości, mimo że do dóbr tych należy dwanaście wiosek, których Kordicza jest stolicą. Na tytuł ten zasługiwała ona nie tylko dlatego, że z pośród wszystkich jest największą, ale i dlatego, że jest najnędrniejszą i najbrudniejszą zarazem.

Kiedy Balvandy zwiedzał nowy swój nabytek, gdy zobaczył długą, błotną ulicę stołecznej dóbr miejscowości i z surowego nieociosanego drzewa sklecone chaty, które wykonano, nie używszy do nich ani jednego żelaznego gwoźdźdź, a których wyziew już poza obrębem wsi przechodnia uderza — poznał natychmiast, że tu odbyć się nie może zapowiedziana instalacya; boć nie sposób podjąć tu i pomieścić licznych gości.

Początkowo myślał o wybudowaniu wspólnego dworu z desek, gdzieby pomieścił wszyst-

kich gości pospołu, ale wyrzekł się tego wprędce. Zaproszeni zjadą z żonami, z córkami, których przecież nie można pomieścić we wspólnych kucharach. A potem Balvandy nie starał się wcale o pozyskanie sobie opinii Bertiego Csollan, do którego zmuszonym być przyjechać w gościnę, przejmowało każdego przyzwoitego człowieka przestraczem. Nie, ambicya Balvandy'ego w innym szła kierunku; jego goście muszą poszczycić się przyjęciem.

Obmyślił sobie plan taki... W którąś noc burzliwą zapalił całą wieś Kordicza tak, by wszystkie nędzne chałupy spłonęły aż do ostatniej; brudne barłogi, nędzne sprzęty gospodarskie, zapowietrzzone graty, wszystko spłonęło do szczytu.

Potem wziął z heveskiego komitatu co najlepszych budowniczych wraz z mularzami, posłał ich do Kordicza i w ciągu dwu miesięcy kazał pogorzelncom nową wieś zbudować, w której aż połyskało wszystko. Zaopatrzył swych poddanych w sprzęty domowe, bieliznę, naczynia, kazał im spędzić całą trzodę krów tak, że kiedy nadszedł dzień instalacyi, każdy z osobna ze sproszonych ze wszech stron gości znalazł z rodziną swą pomieszczenie w osobnym domku wieśniaczym, gdzie wdzięcznością przejęci chłopci usługiwali im, radzi odgadnąć wszelkie ich życzenia. To najwyższy możliwy komfort na ziemi...

A przecież liczba zgromadzonych państwa przechodziła trzysta osób, nie licząc w to hajduków, stangretów i lokai.

W lesie Kordicza zaś, ku ugoszczeniu całego zastępu gości, wzniesiono zaimprovizowane myśliwskie pałacyki; stanęła olbrzymia balowa sala z desek, potem większe i mniejsze sale jadalne. Na stoku jednego z pagórków urządzono kuchnię, podzieloną na cztery oddziały; osobne ogniska dla państwa i dla służby; olbrzymie piec do pieczenia ciast; wielkie szopy na wino, stojące w beczkach; zagrody dla bydła, przeznaczonego na rzeź.

W takich rozległych, ogromnych dobrach, położonych w trzech komitatach i graniczących z Galicyą instalacya musi być wspaniałą. Wedle prawa, ponieważ dobra przypadają na spadkobiercę z mocy układu, wszyscy sąsiedzi winni być obecni wprowadzeniu w posiadanie nowego dziedzica i takowe musi się odbyć w obecności urzędowej władzy trzech komitatów.

I nietylko szlachta, ale i włościanie muszą tu być obecni, a wszyscy oni są gośćmi nowego dziedzica. Ale też ceremonia taka nie odbywa się, kiedy chodzi o jakiś szmat ziemi, lub choćby o jedną wioskę, ani w razie kupna, lecz wówczas tylko, gdy ktoś wielkie dobra dostaje darmo z królewskiej łaski, albo też z układu ze zmar-

łym dziedzicem. Taki pan oczywiście może wówczas ugaszczać.

Tym sposobem na instalacyi znajdziesz najróżnolitszą publiczność, jakiejby nigdy w życiu razem nie sprowadził żaden przypadek. Duchowni i urzędnicy, sędziowie gminni i notaryusze, drobna szlachta wioskowa i magnaci, Ruśniacy w chodakach i panie w strusich piórach z całego sąsiedztwa dóbr zaproszeni są na tę uroczystość. Tak nakazuje prawo. Z Galicyi nawet przybywają Polacy czystej krwi, panowie i panie i wzmagają różnobarwność towarzystwa.

Wskutek tego nikt się nie dziwi, gdy spotka tu takich ludzi, z którymi kiedyindziej nie wdałby się nawet w rozmowę. Każdy jest tu w urzędowym charakterze. Przybywający kolejno dyktują nazwiska swe do protokołu. I rodzina Decsery dozwala, że po nazwisku hrabianki Doroty Decsery następuje nazwisko: „Katinka Satory-Csolan“. Nigdzie indziej w świecie zresztą nie mogłyby one stanąć obok siebie... Nie z powodu różnicy stanowiska; i Katinka przecie należy do sfery arystokratycznej i jest bogatą; ale z powodu jej opinii. Kobieta, która nie żyje z mężem, nie może nigdzie indziej spotkać się w towarzystwie z rodziną Decsery, jak chyba na instalacyi, gdzie i ona jest oficjalną osobistością. Jeden z majątków jej graniczy o miedzę z dobrami Kordicza, tak samo jak któreś dobra hra-

biów Decsery. Balvandy tem skłonić zdołał Katinkę do pojawienia się na instalacyi, że oddał jej bez wszelkiego wynagrodzenia zastawioną ślubną obrączkę. Tego, co prawda, nie powiedział jej z góry, że tam spotka Kolomana.

I Koloman też nie zdziwił się zbyt, zobaczywszy przed swoim nazwiskiem zdawna już zapomniane imię Aszalyi'ego. U spodu dodany był charakter, w jakim tam przybył: „jako pełnomocnik pana Alberta Csollan“.

Spotkał go również ale z nim nie rozmawiał, jakkolwiek tamten z umysłu wciąż się o niego ocierał. Koloman nie chciał go spostrzedz.

— Słuchajno! — mówił Balvandy do Kolomana. — Czy widzisz tę długoszyją żebracką fizyognomią, ot tam? Założę się z tobą o dziesięć dukatów przeciw jednemu guzikowi bez ucha, że Berti tego jegomościa przysłał tu po to, ażeby, gdy instalacya będzie w biegu, wstał i zaprotestował.

— Jakiemż prawem?

— Żadnem zgoła prawem. Po to tylko, aby zepsuć całą zabawę. Na pytanie jakim prawem protestuje, odpowie, że ma na to rok czasu, by swe powody przełożyć królewskiemu sądowi. I oto gotówem się z tobą założyć o dziesięć dukatów przeciw jednemu guzikowi bez ucha...

Koloman odpowiedział, że nie ma na zbyciu guzika bez ucha.

I to mniemanie swoje wypowiedział Balvandy wszystkim swym znajomym, tak, że gdziekolwiek zwrócił się Aszalyi, wszędzie widział zawsze uśmiechające się twarze. Zagadka jego na-przód już była odgadnioną.

Od niepamiętnych czasów zawsze instalacya rozpoczynała się urzędowym, uroczystym aktem, poczynawszy od odczytania dyplomów posiadania, aż do oddania kawałka ziemi. Obecna tem się nie rozpoczęła.

Nazajutrz po zjechaniu się urządzono polowanie z naganką; był to prolog do uroczystości.

I do tego zaś były uzasadnione powody.

Instalacya połączoną bywa z obejściem granic, ażeby obejście to mogło być przedsięwzięciem kazał nowy dziedzic poprzez prastare lasy bić drogi i przy tej sposobności spotkali wieśniacy niemniej jak dziewięciu niedźwiedzi; jednego z nich postrzelili, ale im uszedł, drugi wszakże, stary mysio, zdarł niepokojącemu go Ruśniakowi całą skórę z grzbietu.

Pierwszem przeto zadaniem było tym autochtonom leśnym wytłómaczyć, że zmienił się dziedzic i że nowy pan wywłaszcza ze skóry niedźwiedzia; inaczej bowiem ten ostatni mógłby zrobić sobie figla i rozpedzić obchodzące granicę towarzystwo.

Przedewszystkiem więc należy oczyścić grunt z dzikiego zwierza.

Nikt też nie miał nic do zarzucenia temu wstępowi. Polowanie z naganką, zwłaszcza też na tak grubego zwierza, jest zawsze emocją, do której zapala się chętnie Węgier, Polak i Rusin. Była to lepsza połowa zabawy; z góry już pito na skórę niedźwiedzia.

Spędzono sześciuset naganiaczy, którzy przed świtem stanęli na swych stanowiskach, gdy tymczasem państwo przy śniadaniu *à la fourchette* losowali dla siebie miejsca.

Węgierskie panie współzawodniczyły z polskimi w śmiałym postanowieniu wzięcia udziału w polowaniu. Oczywiście do boku każdej dodany był, gotów do jej obrony kawaler *servante*, a prócz tego jeszcze celny ruśniacki strzelec.

Pani Decsery, podobnie jak księżna, raczyły wyrazić życzenie, aby z hrabianką Dorotą znajdować się w takim punkcie polowania, dokądby można jeszcze dojechać powozem, na co Balvandy oświadczył, że nad brzegiem rzeki jest ładna okrągła polanka, którą dla dogodzenia życzeniu księżnej, wyłączy z losowania i tam to sobie pozostawi zaszczyt strzeżenia pań, wspólnie z nadżupanem Decsery. Reszta ciągnęła losy, gdzie kto ma stanąć i kto której damy ma być obrońcą.

Wyznajmyż, że w tym rozdziale ról zachodziło maleńkie pobożne oszustwo. Balvandy tak

to urządził, że każdy zadowolony był tak ze swego stanowiska, jak i ze swego towarzystwa.

Katinka wyciągnęła nazwę „Szczyt Korda“. Kiedy przyszła kolej losowania na panów i każdy począł szukać swej pary, Katinka ciekawą była dowiedzieć się, kto ma być jej rycerzem.

— Ja jestem tym szczęśliwym! — wystąpił Koloman z odpowiedzią.

— Ha! ha! ha! — poczęła śmiać się Katinka. — A to ja pana nie poznałam zupełnie. Gdzieżeś pan podział swoje wąsy? Jakżeś pan teraz bez nich brzydki! *Pardon!* Nadzupan przecież podobnym jest do pana... To podobno teraz taka wiedeńska moda, nieprawda?

— Tak jest — potwierdził Koloman i dozwolił pięknej pani śmiać się piękniemi usteczkami na koszt jego. Pod pozorem, że Koloman stał się tak brzydkim, dowodziła dwoma poły-skującemi rzędami pereł swych ząbków, jak piękną za to jest ona...

— A więc skorośmy się sobie dostali, idźmyż na nasze stanowisko — wymówiła piękna kobieta i pozwoliwszy naprzód iść przewodnikowi Ruśniakowi, puściła się ścieżką wśród murawy.

Koloman ofiarował się nieśó jej broń, Katinka odrzuciła jednak tę propozycyą.

— Już ja ją sama uniosę.

Koloman postępował za nią...

Pani szła krokiem elastycznym po stromej górskiej ścieżynie pod górę; elegancyę smukłego jej wzrostu podnosił jeszcze wysoko podjęty, obcisły strój myśliwski, a męski kapelusz z czaplem piórem nadawał jej postawie coś dumniejszego jeszcze.

Przez jakieś pół godziny szła tak ścieżką pod górę, ani razu nie obróciwszy się poza siebie na Kolomana. Dopiero gdy doszli do małej polanki, z której przepyszny alpejski widok roztaczał się przed okiem wędrowca, stanęła na chwilę i odezwała się do swego towarzysza:

— Czyś pan nie zmęczony?

— Nie; może pani życzy sobie wypocząć?

— O nie, ja się nigdy nie męczę.

I nie rzuciwszy ani jednego spojrzenia ani na piękny krajobraz, ani na brzydką twarz swego towarzysza, skinęła na przewodnika aby szedł dalej.

Teraz opuściła już ścieżynę i musieli za przewodnikiem przedzierać się przez las prastary, gdzie stuletnie pnie drzew wzdłuż i w poprzek zawały drogę. Przechodzić przez nie w sukniach kobiecych byłoby dla każdej innej trudnem zadaniem. Rusin ofiarował damie swe usługi; ale i o tem nie chciała słyszeć; umiała wskoczyć na najgrubszy pień zagradzający jej drogę i zeskoczyć z niego tak zręcznie, że ani o jedną linią nie podniosła się jej suknia.

Nakoniec doszli do takiego miejsca, gdzie spadająca z góry rzeka tworzyła szerokie łożysko. Rusin zsuł buty i po kolana brnął w wodzie; myślał sobie, że i idącym poza nim nie zaszkodzi przecież taka zdrowa zimna kąpiel.

— Czy mam panią przenieść? — spytał Koloman damy. — On sam miał nieprzemakalne myśliwskie buty.

— A! ależ to przecież nie ma ani sążnia szerokości — odpowiedziała Katinka, wzięła w prawą rękę strzelbę, podbiegła ku wodzie, przeskoczyła ją lekko jak gemza i z drugiego już brzegu spoglądała na swego towarzysza.

Teraz oczywiście musiał już Koloman pokazać, że i on umie przeskakiwać. Rozpędził się i przeskoczył za nią...

Przewodnik przyrzekał, że za chwilę staną już na szczycie Korda; słyhać już szum wodospadu gdzieś w pobliżu. Droga przecież stała się wyłącznie tylko dla gimnastyków dostępną.

— Idź pan przodem! — nakazała Katinka Kolomanowi i nie żądała jego pomocy, ilekroć suknia zaplątała się jej w cierniowe zarośla.

Nakoniec dotarli do stromej rozpadliny skał, która dotychczas czyniła szczyt Korda niedostępnym. Nowy dziedzić postarał się o przejście; olbrzymi, na dziesięć sążni długi pień sosny ścięto z tej strony parowu i rzucono w poprzek, tak iż stanowił most zaimprovizowany.

Kiedy weszli na ten most, złożony z jednego jedyne go pnia sosny, miłość bliźniego, a i rycerskość skłoniły Kolomana do podania Katince ręki.

— Trzymaj się pani mojej ręki, aby nie doznać zawrotu głowy.

Katinka ujęła podaną sobie rękę i pozwoliła się prowadzić wzdłuż niebezpiecznego mostu.

Kiedy doszli do środka, naraz pochwyciła obiema rączkami dłoń Kolomana i przemówiła do niego :

— Gdyby tak teraz ogarnął mnie zawrót głowy i gdybym pana za sobą pociągnęła?

Kolomana nagle ogarnął jakiś przystęp dziwnego humoru :

— Chętnie gotów jestem spaść, byłem wiedział, że pani na mnie nie spadniesz...

Katinka urażona, uderzyła Kolomana po rękę.

— Idź pan sobie, nie chcę już twojej ręki!

Tak chwilieli się dalej oboje, zawieszeni w powietrzu, aż doszli do samego źródła rzeki.

Słońce nie było weszło jeszcze z ponad gór; tęczy przeto nie było widać i pięknemu widokowi brakło czarownego kolorytu.

Przewodnik bądźcobądź najmniej był czułym na niezwykłą piękność krajobrazu. Siadł zaraz na jakimś omszałym kamieniu, wyjął z torby myśliwskiej trochę czosnku i kawał słoniny i zabrał się do śniadania.

Katinkę wzięła ochota przysiąc się do wieśniaka; wdała się z nim w rozmowę, poczęła go wypytywać o żonę i dzieci i wyciągała na opowieści o całej rodzinie; równocześnie podała mu własną swą manierkę, napelnioną arakiem. Poczciwcowi ta część pogawędki podobała się najmocniej. To też pił jak szewc, a potem usnął jak suseł.

Koloman zaś tymczasem wyjął album i ołówek i usiłował nakreślić malowniczy krajobraz, ale wkrótce spostrzegł zniechęcony, że to przechodzi talent jego malarski. Wtedy wziął dubeltówkę, stanął na kamieniu i wmówił w siebie, że obowiązkiem jego jest teraz czatować na niedźwiedzia.

Kiedy przewodnik, w oczekiwaniu szczęśliwego zmartwychwstania w Panu, zasnął, Katincka weszła pod kopułę kaskady i usiadła na omszałym kamieniu, ocienionym paprocią, na tronie syreny.

— Mój panie! — zagadnęła Kolomana ze złośliwym naciskiem — nie prawdaż, że to okropne nieszczęście, iż uciec stąd nie można?

Koloman odwrócił się i spytał zimno:

— Czemu?

— Bo ta ściana za stromą jest trochę, by się po niej wdrapać, zeskoczyć koło tych krzaków niebezpiecznie, tu zaś, od strony mostu, ja panu zaszłam drogę.

Oboje wybuchnęli śmiechem.

— Wogóle to rzecz zbyteczna, byś pan tam stał i czatował na niedźwiedzia, póki nie rozpocznie się naganka; a i wtedy jeszcze dość będziesz pan miał czasu wówczas, gdy hałas do nas się zbliży. Tymczasem siadaj tu obok mnie, jeśliś sobie nie uczynił ślubu przeciwnego.

Koloman przerzucił strzelbę przez ramię, postąpił ku Katince i siadł obok niej na mohu.. Kto wie, może i syrena przychodzi tu czasami w parze.

Biedna syrena! Jakaż w nas budzi odrazę, że taka brzydka; a przecież gdy jej się przypatrzemy dłużej i zbliżka, jakież to wspaniałe stworzenie! Po przez brunatną skórę widać żyły, przeźrocze jakby ze szkła; przejrzysz jej wszystko aż do serca. U pięknej kobiety tak nie bywa.

— Pani już była wielokrotnie widać na polowaniach z naganką, że tak jej znane są wszystkie zwyczaje — rzekł Koloman.

— O, bardzo często — mówiła Katinka, opierając się na ustawionej między kolanami strzelbie, w taki sposób, że obie ręce położyła na otworach lufy, na rękach zaś złożyła brodę. — Ojciec brał mnie z sobą nieraz i wtedy polowałam na grubego zwierza.

— Ale proszę pani usilnie, nie kładź głowy na otworze lufy.

— Czemu?

— Bo mógłby spaść kurek.

— A to jakim sposobem?

— Kiedy proszę panią bardzo!..

— Dobrze. Proszę mi rozkazywać. Panu z tem znakomicie do twarzy, gdy rozkazujesz, choć mnie znów strasznie nie do twarzy, kiedy jestem posłuszną.

— Nie przyuczono pani do posłuszeństwa, — odparł Koloman uszczypliwie.

— To prawda, nie uczono mnie tego, — odpowiedziała pani i oparła broń o skałę; raczej przeciwnie, a to się stało przyczyną wielu chwil nieszczęśliwych dla mnie...

Głęboko westchnąwszy, ciągnęła dalej ze wzrokiem utkwionym przed siebie i rękoma splecionymi na kolanie:

— Od dzieciństwa wszyscy, ojciec, guwernerzy, krewni przyzwyczaili mnie do tego, że będę panem w rodzinie, nie kobietą, nie żoną, ale *panem*. We wszystkim pozostawiano mi swobodę. Wszystko mi było dozwolonem. Za to w tem jednym potem skuto mnie nierozzerwanymi więzami, w czem córka najostatniejszego z moich poddanych jest wolną: w tem, że może na małżonka wybierać tego, który jej się podoba. Dla mnie stworzono osobne prawo, w którym powiedziane było: ten będzie twoim mężem, a żaden inny! Zamiast z mężczyzną, po-

łączono mnie z najśmieszniejszym ze wszystkich dyabłów, z Asmodeuszem.

Koloman wstrząsnął głową. Katinka zauważyła to.

— No, pan go znasz przecie. Czyż to nie właściwe jego miano. Pomyśl pan: przed dwoma miesiącami zamykam się, dręcę dniem i nocą pytaniem, co się stanie zemną i wreszcie wpadam na myśl napisania do tego człowieka, żeby przyjechał po mnie, zabrał mię z sobą, byśmy odtąd mieszkali już razem i starali się wzajem przyzwyczoić do siebie. I w istocie przyjeżdża do Pesztu, siada do kart z Balvandy'm, stawia ślubną moją obrączkę na kartę, przegrywa ją i powraca do domu, ani się zobaczywszy nawet ze mną...

Katinka zdjęła z palca złotą obrączkę i pokazała ją Kolomanowi.

— A Balvandy zwrócił pani ten pierścionek?

Koloman myślał, że tym sposobem zadał cios dotkliwy pięknej pani.

— Tak jest, Balvandy mi go zwrócił. Nic tu niema do ukrywania. Balvandy należał również do zagadek w rzędzie tajemnic mego życia. Dziś zagadka już rozwiązana. Niech mnie sądzi, kto sam jest bez winy... W najokropniejszym dniu mego życia, w dniu którego nazwa: zaślubiny, kiedy z obrzydzenia i wstrętu wpadłam w rozpacz, kiedy w najbrutalniejszy sposób zo-

stałam zelżoną, kiedy człowiek, który mi poprzy-
sięgał wiarę, znieważył mnie niegodnie i dla
prostej dziewczki tegoż samego dnia jeszcze wy-
rządził mi krwawą obelgę, kiedym została wy-
szydzoną, wydrwioną, znicestwioną, wówczas
Balvandy był jedynym człowiekiem który mi
podał rękę do ratunku. Prawda, że ratunek ten
był złym, bo świat nie przebaczy mi go nigdy,
ale ja przebaczyłam go sobie sama. Zapłaciłam
za to każdemu; nikomu nie jestem już nic win-
ną; dla mnie może sobie dziś Balvandy isć gdzie
mu się podoba. Ja już nie myślę o nim wcale.
Lucyfer pozostał w raju, ale Ewa błądzi, wy-
gnana z niego.

Katinka zakryła obu rękami twarz...

Koloman lękał się, że za chwilę wybuchnie
płaczem. Ale nie, nagle zaśmiała się głośno.

— Teraz nikt już nie będzie mógł zaprze-
czyć, że wypełniamy czas pobożnymi rozpamię-
tywaniem; ja od godziny już zabawiam pana
biblijnym wykładem. Ale tak to już u nas dziew-
cząt kalwińskich; uczą nas tyle historii biblij-
nej. *A propos!* Pan jesteś katolikiem? bo coś ta-
kiego słyszałam.

Katinka, mówiąc to, usiłowała zdjąć obrączkę
po kolei wkładać na gładkie gałęzie drzewa, ale
nie stosowała się na żadną. Nakoniec włożyła ją
sobie na wielki palec. Pierścionek Bertiego oczy-
wiście dla niej na każdy palec był za szeroki.

Koloman rozśmiał się na pytanie, czy jeszcze nie został katolikiem i odpowiedział tylko:

— Jeszcze nie...

W tej chwili po za nimi, ponad szczytem skały wzniosło się słońce i równocześnie przed nimi ukazał się rzadki a przepiękny fenomem, krąg tęczy, tworzący aureolę. Ranny wietrzyk niósł ku zachodowi ze sklepionego wód łuku drobniutkie jak mgła kropelki wody i na tym wiecznym deszczyku ukazała się siedmiobarwna przepaska tęczy, która obie postacie objęła dwusążniowym kręgiem promiennym.

— O! jakże to piękne! — pomyśleli oboje, ale wypowiedzieć tego głośno żadne nie śmiało; każde lękało się, że je drugie wyśmieje. A przecież widok ten do dziwnej miary nastrojał i podnosił, uczucia.

Katinka, w miejsce wyrażenia zachwyty, poczęła dowcipkować.

— Siedzimy tu sobie w tej tęczy niby Jowisz i Junona; brak tylko pawi... Pocziwe to były, serdeczne a naiwne te bóstwa. Junonę ubłogosławiło samo powąchanie kwiatu, a Jowisz był tak pocziwym mężem, że się tem wytłumaczeniem zadowolił!

— Niezupełnie; umiał przecież się pomścić, odpowiedział Koloman na tę nieco emancypowaną wycieczkę.

— W jednym więc przynajmniej bądźmy po-

dobni do Jowisza i Junony; posprzeczejmy się trochę; bo oni przecież zawsze się z sobą kłócili. Powiedzże mi pan raz, dlaczego tak nagle uciekłeś?

Na pytanie to Koloman przysposabiał się wprawdzie już dawno, ale i teraz jeszcze nie był przygotowanym. Trudno-bo na to odpowiedzieć.

Katinka nie pozostawiła mu też czasu na odpowiedź; pytała dalej:

— Czy pana kto obraził? Czym ja zawiniła względem pana? Czy byłeś o kogo zazdrosny? Czy też poprostu nagle znienawidziłeś moich oczu dwoje i nie chciałeś już więcej w nie patrzeć? Odpowiedz mi pan, dlaczego uciekłeś? Odpowiedz mi, bo stąd już uciec nie można... Ruśniak spity jak bela. Jesteśmy sami. A pan nie wiesz jeszcze co to znaczy być ze mną sam na sam... Jestem dziś w moim morderczym humorze.

I aby okazać w jak morderczym jest humorze, złożyła obie rączki niby do modlitwy, popatrzyła na Kolomana błagalnie i powtórzyła to samo pytanie miękkim, uczuciowym tonem:

— Powiedz pan, czemuś mnie opuścił, czemuś mnie znienawidził?

— Dobrze więc, — wymówił Koloman. — Pani byłaś względem mnie szczerą, ja będę nim niemniej względem pani. Opowiem pani histo-

ryą tych dni ostatnich. Bogini rzekła do swego wielbiciela: „Zamierzam udać się do takiej miejscowości gdzie można błyszczeć“. „Dobrze więc, ja będę odzwierciedleniem twego blasku“. Tegoż samego dnia jeszcze poszedłem do pewnego lichwiarza i wziąłem od niego dwa tysiące guldenów; zobowiązałem się za to oddać dziesięć tysięcy, po pewnym oznaczonym przeciągu czasu. Wszystko było gotowe: pieniądze pożyczone na słowo honoru, naoslep pędząca namiętność, upojenie pożądania. Tak przyszedłem do pani— a w tem zbudziłem się.. Początkowo zawsze jesteśmy gniewni na tych, co nas z snów naszych zbudzą; po chwili wszakże widzimy, że pragnął on naszego dobra. Przez dzień jeden dręczyło mnie gorzkie uczucie zawodu ale nazajutrz byłem już spokojny. Widziałem siebie samego i wszystko dokoła we właściwym świetle. Wszedłem na drogę, na której można utracić wszystko — nawet honor. O, dla tych oczu, daleko promienniejszych nad wszelki blask ziemski, dla tych oczu, byłbym obiegił całą ziemię. Jam żył w tych oczach! Jam żył niemi, jak lunatyk księżycem. Wspomnienie to wówczas nawet jeszcze i mnie ożywi, gdy doczekam się kiedy siwych włosów. Ale dalszego ciągu niema nic podobnego... Pani mówiłaś do mnie: „Jeśli mnie kochasz, to nie kochaj prócz mnie nic innego. Ani przyszłości, ani tej sławy, co stoi przed mężczyzną

otworem, ani honoru, ani karyery; dla mnie odrzuć to wszystko od siebie; nie pytaj co świat powie; tu przy mnie jest świat inny, w nim zamieszkajmy". Ja słuchałem pani. I gdybyś była zechciała, byłbym mógł umrzeć dla tego innego świata; bo świat ten drugi dla dwojga jest dość wielkim, ale — dla trojga już za małym.

— A więc jednak Balvandy był przyczyną! — zawołała Katinka, zapłoniona z gniewu — bo dajby Bóg go za to skarał!

A po tem zakryła twarz dłońmi i załkała.

Koloman pozwolił jej się wyplakać. Dziś było to już daremne.

Katinka jednak wprędoe pożałowała okazałej słabości; otarła łzy, przybrała dumny wyraz twarzy i wymówiła gorzko:

— No, a potem znalazłeś pan dokoła siebie wszystko to, coś zaniedbał we śnie... Zobaczyłeś pan, że trzeba iść dalej drogą karyery; przecież nie złożyłeś jeszcze nawet adwokackiego egzaminu. Jeszcze poślubiony jesteś swoim księżkom; o nich myśleć powinieneś, a nie o żonie. W tem przeto miałaś słuszność. Żeś lichwiarzowi zwrócił wypożyczone pieniądze, wiem również i pochwalam najzupełniej. Chcesz stać się człowiekiem, to usiłowanie godne uznania. O jednem wszakże pan przemilczałeś. Czy nie widzisz jak blisko siedzimy obok siebie? Nasze ręce się spotykają... A przecież między nami stoi

wielki jakiś, zimny szczyt alpejski... Czy nie czujesz pan lodowatego podmuchu, który nas owiewa? Ja go czuję. Cóż to jest?

Koloman odwrócił oczy. On wiedział co to jest... Ale tego się zazwyczaj nie wypowiada.

„Kocham już inną“.

Katinka wszakże nie zadowolila się tem odwróceniem oczu.

— Zwróć pan do mnie twarz swoją, proszę, jeśli to panu nie jest przykrem. Tak... O, mój przyjacielu, to wszystko nieprawda coś mi powiedział. W twoim wzroku nie czai się ów potwór żółtooki, który się zwie *zazdrością*. Kto jest zazdrosnym ten walczy. Kto jest zazdrosnym, ten działa. Tyś uląkł się tego, którego uważałeś za swego rywala, porównałeś siebie z nim i nie miałeś wiary w siebie, ani we mnie, nie wierzyłeś, że go pokonać zdołasz, a że przedmiot walki nie wydawał ci się dostatecznie godnym tych zapasów, wolałeś uciec przed nim...

Przełknąć to było dla Kolomana zbyt ciężkiem. Wobec Balvandy'ego czuł zawsze więcej zawiści niż zazdrości. W tem piękna pani miała słuszność, że zawiść jest bojaźliwą, zazdrość zaś do szaleństwa śmiałą.

— A zatem powiem już pani wszystko, — ozwał się Koloman. — Nie dlatego, by się bronić przed panią, której i gniew uszanować umiem, ale by jej dać psychologiczne rozwią-

zanie tej historii... Mnie łączy i obowiązuje z innymi kolegami młodzieńcza przysięga; poprzysięgliśmy sobie, że wszystkimi siłami naszych zdolności, całym życiem naszym rozpoczniemy wielkie dzieło odrodzenia biednego naszego przez własne jego dzieci opuszczonego narodu: piórem, słowem, skrzypką, myślą i przemysłem. Młodzieńcy, którzy to sobie poprzysięgli, wszyscy już przystąpili do tej pracy i torują sobie kamienistą drogę. Jeden z moich przyjaciół poszedł zdobywać świat nowy jako aktor; drugi szukać starego świata jako uczoney; trzeci bada prawodawstwo i szuka sprawiedliwości; czwarty budzi do życia narodową muzykę, a wszyscy o żebraczym kiju w dłoni, o kawałku czarnego chleba w nagrodę... W dniu tym, w którym po raz ostatni byłem u pani, spotkałem tych moich przyjaciół. Każdy z nich przez ten czas postąpił naprzód, każdy walczył; a ja nie mogłem nic zupełnie powiedzieć, tylko to jedno, że żyłem i używałem. A przecież pośród nich byłem najpierwszym, najsilniejszym. Mnie powierzony był skarb najdroższy: dopomożenie narodowemu językowi do odniesienia zwycięstwa. Jam jednak nic nie czynił. Potępiłem siebie i dokonałem sam na sobie wyroku, choć on mnie bolał najwięcej. Oto dzieje moje pani.

Koloman podniósł natchnione oblicze. Sądził,

że wzbił się tak wysoko, iż piękna pani tam go nie dogna.

— Teraz pana złapałam! — wymówiła Katinka z nielitościwym uśmiechem. — Miałaś wzniosłą misją, święte powołanie, wielkie zadania przed sobą. Ale któż panu powiedział, że ja stoję temu powołaniu na drodze? Alboż powiedziałeś mi o tem kiedy choć jednym słowem? Alboż spytał mnie kiedy: „a ty czy nie zechcesz iść zemną razem po takiej drodze ideału, po drodze prowadzącej może do szaleństwa?” Czegoś pan pragnął, mogłeś tego żądać i ode mnie. Gdybyś był zechciał, abym w moim domu kazała wszystkie wyrzucić ściany i zrobić z niego teatr, byłabym to uczyniła. Gdybyś był zechciał abym została aktorką i występowała w sztukach przez ciebie napisanych, nie zawahałabym się... Jeśli chciałeś być poetą i nie znajdowałeś dla dzieł swych nakładcy, ja byłabym na to obróciła cały mój majątek, aby to co ty napiszesz czytanem było w każdej chacie. Jeśli sprawiało ci to przykrość, że mówię w obcym języku, byłabym ci poprzysięgła, że nigdy i wobec nikogo nie wymówię jednego wyrazu nad taki, jakiego pan sobie życzysz. Byłabym otwarła salon, przytułek dla tych wszystkich, co tak samo jak ty myślą i czynią. Pókiby mi stało kęsa chleba, i tobieby go nie zabrakło. Byłabym obraz stolicy dzisiejszej zmieniała z gruntu; byłabym

publiczności narzuciła dawne narodowe stroje; byłabym z tobą, robiła wszystko, dopóki byśmy oboje nie doszli bądź do panteonu, bądź do domu obłąkanych... Ale czyś pan kiedy odezwał się wobec mnie bodaj jednym takim słowem? Czyżby twoje muzy były o mnie zazdrosne? Czemu? Alboż nie mogły wszystkie dziewięć wraz zemną pomieścić się w jednym domu? Czyż ja tamowałam twój lot olimpijski? Lub może poezya domaga się ascetów, jak ewangelia? Czyż ja dręczyłam pana? Może rozpraszałam twoje natchnienie? Czyś znalazł we mnie prozaiczny, zimny, obrachowany umysł, wobec którego poeta cofa się ze wstrętem? Niebyłamem dla ciebie nawskroś sercem i niczem więcej tylko sercem?... Ale nie sądź kochany przyjacielu, że ci dziś wystawiam odrzucony towar na sprzedaż i że zachwalam to, czem wzgardziłeś. Nie, chciałam cię tylko postawić na jasno samym z sobą, bo widzę, że całkowicie jesteś w błędzie co do samego siebie. Uciekłeś przedemną, jak powiadasz, dlatego, że chciałeś iść wraz ze swymi przyjaciółmi po ciernistej drodze, gdzie przewodnikiem jest kij żebraczy, a stacye znaczą groby pomarłych z głodu uczonych. I dokądże to schroniłeś się przedemną? Może poszedłeś w ślady owych uczonych, którzy z mniejszemi od twoich zdolnościami tu i owdzie piszą coś dla ciasnego kółka czytelników? O, nie tam ty

poszedłeś, aleś wsiadł do karety jego ekscelencji i dałeś się powieść tą drogą, na której nie twarda gruda, ale posadzki oczekują wędrowca. Dobrze to jest umieć tańczyć tam, gdzie nie rosną laury i żebracze kije, ale urzędy i świetne tytuły i gdzie nie mogiły padłych w boju poetów, ale dostojęństwa są stacyami. Na tę to drogę ty wstąpiłeś, na tej drodze uszedłeś już kawał spory a teraz zakochany jesteś w jaśnie wielmożnem, anielsko pięknem Madonny obliczu...

Koloman osłupiały spojrział w twarz kobiecie; na twarzy tej mógł widzieć czem jest ów „potwór żółtooki“.

Katinka długo milczała po tym wybuchu. Ale Koloman w zapomnieniu ciągle miał wzrok w jej twarzy utkwiony.

A czegoż nie umieją powiedzieć kobiece usta, kiedy są zamknięte! O, studyował on cudowne te hieroglify, co powstają z załamania jednej jedynej linii. Jak ta Apellesowska linia umie dąsać się, czynić wyrzuty, zasmucać, a potem znowu czarować, marzyć, wyrażać pragnienia, na które słów niema!

Zgiełk naganki nie dochodził tutaj, każdy dźwięk bowiem pochłaniała skalista ściana, a jeśli by i zdołał się przedrzeć połknąłby go wieczysty szum wodospadu.

I im wyżej wzbijało się słońce, tam bardziej zniżał się łuk tęczy, tem więcej zacieśniał się

krąg czarodziejski dokoła siedzących przy sobie, siejąc blaski brylantów na ich postaciach.

Po długiej chwili popatrzyła Katinka w twarz Kolomana i podjęła znowu:

— Wąsów nawet pozbyłeś się pan dla przypodobania się im, aby się z nimi zrównać, jak ktoś, co gotuje się do ucieczki, jak ktoś co powiada: „nikt niech mnie nie uważa za tego, którym byłem dotąd“... Biedny Kolomanie! Jakżeś ty się ćwiartował po kawałku! Codziennie żądają jakiejś okruszyny ciebie. Dziś zrób dla nas to, jutro owo... Jakżeby można się wzbraniać? Ale kiedy będzie z czasem mowa o całym człowieku, nie znajdą odpowiedzi. Każdy daje panu jakiś kawałeczek swego serca, a poczciwy Koloman strzeże tego jak skarbu. Uczą się od niego po węgiersku, zapraszają go na uroczystości rodzinne, obdarzają go podarkami; nadżupan prosi go, aby mu napisał mowę, hrabianka śpiewa z nim duety przy fortepianie, odbiera życzliwe spojrzenia, tajemny uścisk ręki. Koloman jeździ z nimi w podróż, trzyma im kropielnicę kiedy się modlą i wierzy, że jednak go kochają. O, ja nie mówię, że oni bawią się panem. Za cenę połowy świata nie chciałabym obrazić pana; aby uważać to za rzecz możliwą. Sądzę, a nawet jestem tego pewną, że będzie z pana wielki człowiek. Ale co jest wysokiem, to też jest i dalekiem. Czy pan myślisz, że córki tych magna-

tów miłość tak antycypują, jak... inne szalone kobiety? A gdyby nawet tak robiły, gdyby nawet w tym świecie miało się zdarzyć, że młodzieńcowi, który nie jest magnatem z rodu, dlatego tylko że jest rozumnym i dzielnym chłopcem, oddano córkę jednej z najznakomitszych rodzin, — czemże młodzieniec ten musiałby dar taki opłacić? Wszystkiem co ma, nieprawdaż? Ale pan nie wiesz jeszcze co to znaczy to „wszystko“! Wczoraj poświęciłeś wąs swój, jutro zegniesz kolano przed ołtarzem, który jest ołtarzem twej ukochanej; bo przecież nie zechcesz przypuścić, by katolicka, ślepa w swoim fanatyzmie i bigoteryi rodzina Decsery oddała jedną ze swych hrabianek protestantowi? A pojutrze zegniesz pan kolano przed ludźmi, co są bożyszczami tych, którzy pragną wzbić się w górę. Co? Wstrząsasz pan głową przecząco? Więc pan sądzisz, że wielbicielowi Doroty Decsery wolno będzie przeciw nadżupanowi Decsery popierać adres nogradzki? że młodzieniec, który przez Decsery'ch wprowadzonym zostanie na dwór palatyna, może tam bawić się w malkontenta, w liberała? O tak, koniem palatyna Stefana zostaniesz, jeśli mu się tak podoba. Tam nie będziesz pan pisywał patryotycznych wierszy; tam nie podejmiesz w proch upadłej sprawy twego narodu; tam nie będziesz popierał

węgierskich aktorów, ale będziesz służył za tę twarz piękną, którą odsłużyć im musisz.

Koloman zaciął zęby. Ta kobieta nawskroś przebiła mu serce.

— Ale to wszystko tak nie będzie. Niechaj to pana nie zasmuca... To wszystko tylko dziecinna igraszka, fantasmagorya. Piękne oblicze Madonny nie będzie czekało na pana, pokąd nie wyjdiesz na wielkiego człowieka. Toż gotowych już wielkich ludzi dość jest na świecie i przy pierwszej lepszej sposobności zapomną o tobie tak, jakby ci nigdy nie ściskano dłoni. — No, no! Nie odskakujże pan tak odemnie! Nie chciam pana okłamywać. Kochacie się wzajem prawdziwie i nie zapomnicie nigdy o sobie. I stać się może, że po latach może dziesięciu spotkasz się pan znowu z hrabianką Dorotą — boć przecie wiecznie nie będziesz u nadzupana Decsery juratem? Wtedy pan będziesz już człowiekiem z wysoką pozycją, człowiekiem który dość posiada sławy, dostojęństw, majątku. Hrabianka Dorota zaś będzie może już wdową po którym z panujących niemieckich książątek. Ale mimo to będzie zawsze jeszcze bardzo piękną, bo pan wiesz przecie, że arystokratyczne te panie umieją bardzo dobrze chronić twarze od gorących promieni słońca, a serca od silnych namiętności. Wtedy będziesz pan mógł ją posiadać...

Koloman, oszołomiony temi słowy, chciał się zerwać z miejsca.

Piękna pani jednak pochwyciła gorączkowo jego rękę i nie puściła jej...

— To może pan sądzisz, że te twarzyczki anielskie aż do końca pozostają świętymi? że tym, co głowę niosą tak wysoko, nigdy nie potknie się noga? Wszystkie jesteście kobietami! Każda ma na tem samem miejscu serce co i inne. I ja nie jestem aniołem, nie przeczę i nie łudzę tem nikogo. Jednakże jeśli ja przeciw tobie zawinię, jeśli czem cię rozgniewam, możesz mnie bić, zamknąć, zdeptać, a jeśli mnie pożałujesz, możesz mi przebaczyć. Gdy zaś ta wielka pani dotknie cię do głębi serca, musisz to przyjąć z uśmiechem, ukryć ile cię to boli i z wiecznie nieprzejednanem sercem schlebiać jeszcze swej dręczycielce. No, uciekajże pan stąd zaraz! Alboż nie dość okrutnie dotąd obchodziłam się z tobą?

Koloman powstał i patrzył nieruchomym wzrokiem poprzez mgłę o tężowych barwach. To były takie ciernie, których kolce przyłamują się w ranach.

— Jakim sposobem dostałeś się pan w to miejsce? Czy słyszysz pan tu co z gwaru polowania? Nic zgoła. To miejsce leży po za światem. Jakim sposobem dostaliśmy się tu razem? Może zrobiono to dla mnie? Może dla pana?

Lub może to rzecz przypadku, żeśmy tutaj zeszli się razem. — Czy nie wpadasz pan na myśl, że dlatego tu jesteś teraz, że nie powinienesz być tam? Miałaby może ta cała instalacya, to polowanie być z góry obmyślonym i umówionym planem? Hrabiowie Decsery mają dużo leżących pieniędzy, baronowie zaś Balvandy niesłychanie wiele uroszczeń; a postać barona Antinousea doskonale kwadruje do oblicza Madonny. Czy pan tego nie rozumiesz? A! gdybym ja była panem, nie stałabym tu teraz, ale wzięłabym broń i wpadła w koło myśliwych, szukając sobie własnej, innej zwierzyny.

Koloman zapanował już nad swoją namiętnością. Spozrzegł odrazu, że mu niewolno w tym wypadku narazić się na śmieszność. To też roześmiał się głośno i rzucił się na murawę z całą swobodą.

— Może kryć się w krzaki! Nie, już co tego to nie zrobię. Tu mi jest bardzo dobrze.

A kiedy piękna pani zobaczyła go tak śmiejącego się, poczuła, że serce rwie jej się w pierśsiach. Poczula jak wielką sprawiła mu boleść, jak on niesłychanie cierpieć musi.

Uklękła więc obok niego, pochwyciła rękę Kolomana i uderzyła w ton namiętnego błagania.

— Ah, Kolomanie przebacz mi, żem cię tak dotknęła. To wszystko, com mówiła nie jest

prawdą. To wszystko kłamstwo i zapomnij o tem... Złe serce tylko podszeptało mi te słowa. Ciebie kochać będą; będą ci wierni. Kto raz pokochał ciebie, ten cię nigdy już zapomnieć nie zdoła, ten wiecznie zatrzyma cię na swoją własność, ten zdoła zasłużyć sobie na ciebie!

I padła na zielen murawy, lży swe mięszając z poranną rosą; rzuciła się do nóg Kolomana; wiotka jej, piękna postać drgała konwulsyjnie, porzucona na murawie.

I Koloman myślał o tem, jaką niezmierną głębią i jaką nieskończoną wysokością jest miłość kobiety. Można doznać zawrotu głowy długo w nią patrząc.

Słońce wznosiło się coraz wyżej, powietrze było gorące, przesiąknięte wonią kwiatów i ambrawososen; w górze dźwięczały pocałunki słowicze, tęcza wodospadu zniżyła się niemal do samej już ziemi, jak gdyby chciała tych oboje związać czarowną swą opaską i uścisnąć razem.

Pani była samem uczuciem, pani była kobietą i tylko kobietą, jak ją przyroda arcydziełem swem stworzyła, kobietą, której grzech nawet jest jeszcze pięknem, czarodziejką, która zabija szczęściem...

W tej chwili jakiś szmer, połączony z trzaskiem, zbliżył się ku dolinie.

Poprzez gęste zarośla cierni, po stromym spadku, toruje sobie drogę jakaś postać wielka.

Koloman porwał się i chwycił za broń..

Z dali, w dole, w nizinie dochodzi gwar głośny, zgiełk zmieszany i odosobnione wystrzały dubeltówek.

Suche gałęzie trzeszczą i łamią się pod naciskiem silnych kroków zbliżającego się zwierza; rozdzierane zarośla padają z łomotem; wystraszony zając wypadł i pomknął gdzieś w bok w burzany; chronią się lisy i kuny i gromada ptactwa, którego gniazda zniszczył po drodze, ucieka z krzykiem. Zamęt ten i gwar był już sam z siebie dostatecznym, by zwiastować jego zbliżanie się... On sam zato żadnego nie wydaje głosu.

Pędzi on wprost, do wodospadu. Może go gnają, może ze wszech stron naciśniony, tu szuka schronienia.

Długo nie przyszło nań czekać. Niebawem wyrusza się z gęstwi sosnowej.

To wspaniała, czarna niedźwiedzica, przeszło sześć stóp wysoka, z gęstem, kudłatem futrem.

Niedźwiedzica szła na dwu tylnych nogach, wyprostowana, jedną z łap przednich łamiąc przed sobą krzaki. Niosła z sobą dwoje młodych. Jedno niedźwiedziątko miała w pysku, trzymając je za kark zębami, drugie przyciskała do siebie przednią łapą.

Między zaroślami a wodospadem była mała polanka, wszystkiego może ze dwadzieścia kro-

ków. Kiedy uciekający zwierz wyszedł na nią, spostrzegł stojącego na zasadzce nieprzyjaciela. Koloman czekał jej ze strzelbą u twarzy.

Zwierz wydał chrypliwy ryk przerażenia i zawahał się nagle. Potem uskoczył w bok i zmieniając dotychczasowy kierunek schronił się w tę stronę, gdzie dopatrzył rzuconą przez rozpadlinę skał sosnę.

Koloman byłby go mógł zastrzelić z łatwością, ale nie uczynił tego, Bóg wie czemu. Może żał mu było samicy i matki, co spieszyła ocalić swe młode. Po nim można się i czegoś podobnego spodziewać, po poecie! Dość że brał tylko niedźwiedzicę na cel, póki ją mógł widzieć, a kiedy mu już zniknęła z oczu, spuścił broń... Wypadek taki niezliczone już razy przytrafił się u nowicyuszów w myśliwskim rzemiośle.

— Czemużeś pan nie dał ognia? — zawołała na swego towarzysza rozdrażniona amazonka.

Koloman spojrział na nią i odpowiedział:

— Proch na panewce mojej strzelby zwilgotniał pod wodospadem. (Podówczas używano jeszcze skałkówek).

Nie było to wszakże prawdą.

— A! co za szkoda!

Ale niedźwiedzicy nie udało się wymknąć tak łatwo. Kiedy doszła do parowu, młode, które trzymała w niezręcznej swej łapie przelękło się

spadźstego stoku, skoczyło od łona matki i poczęło pełznąć napowrót ku gęstwinie.

Matka pozwoliła biedz głupiemu zwierzęciu i śpieszyła z drugim, które wlokła w pysku, coprędzej ku rzuconej przez parów sośnie. Tam było bezpieczeństwo. Pośród skał nie mógł ich nikt już ścigać.

Tu wszakże stanęła na chwilę. Na brzegu skał pozostałe młode poczęło skomleć, potem piszczeć żałośnie, a matka to słyszała.

Wróciła by je zabrać...

Niesionego w pysku niedźwiadka ukryła w krzaki, a potem też samą drogę przebyła raz jeszcze.

— Niedźwiedzica powraca! — zawołała dama i ze wzdymającą się wysoko piersią pobiegła ku opartej o skałę strzelbie.

Koloman sądził przez chwilę, że okaże się potrzeba bronienia towarzyszki i stanął przed nią na wypadek, gdyby zwierzę przybywać miało w zaczepnych zamiarach. Następnej wszakże już chwili zobaczył, że obrona jego jest zbyteczną; nie powracało ono po to by napadać; bo matka szukała swego dziecka.

Nie szła w wyzywającej, groźnej postawie, z rykiem i na dwu łapach; tylko skulona chyłkiem, z cichym pomrukiem przeszukując zarośla.

By odnaleść niedźwiedziątko musiała raz jeszcze przejść w poprzek polankę. Trwożnie od-

wróciła głowę ku myśliwcom, niespokojnie mrużąc, jak gdyby chciała powiedzieć: „Nie czyńcie mi nic złego, i ja wam nic złego nie zrobię; pozwólcie mi poszukać mego dziecka“!

Znalazła młode...

Z radosnem skomleniem skoczyła, nagle, wzięła je w pysk i podniosła się na tylnych łapach, jakby się chciała pochwalić: „Patrzcie, znalazłem!“ je

— Z drogi! — posłyszał za sobą Koloman syk pięknej pani nad uchem.

Przestraszony obejrzał się za siebie.

Dama stała za nim, z lewą nogą wysuniętą naprzód, ciałem oparta na prawej i podnosząc strzelbę do rozpalonej twarzy, mierzyła do zwierza.

Niedźwiedzica również ją spostrzegła i poczęła płakać jak człowiek... Niemożliwem było niezrozumieć tego płaczu.

„Nie czyń mi nic złego. Przecież ty kobieta! Toż widzisz, że i ja jestem matką. Ratuję moje dziecko. Nie bądź względem mnie niemilosierną“!

Ale tu próżne były płacze.

W jednej chwili huknęły raz po razie obie lufy i niedźwiedzica padła ugodzona.

I wtedy jeszcze nawet nie wydała ryku, tylko płakała; i wtedy jeszcze nawet trzymała w paszczy młode. A kiedy wreszcie zmuszoną była już je wypuścić, krew jej bowiem poczęła je oble-

wać, ostatniem, śmiertelnem drgnieniem wyciągnęła po nie obie przednie łapy i raz jeszcze przyciągnęła je do siebie. Tak skoła.

Koloman stał wsparty na strzelbie i zapadł w ponure zamyślenie.

Ale piękna pani pobiegła do położonego trupem zwierza, pochwyciła za kark młode niedźwiedziątko i wzięła je na rękę; potem lewą nogę postawiła na głowie ubitego zwierza i śmiała się z płonąca tryumfem twarzą. Z okrwawionego zwierza zabarwił jej się biały haftowany kołnierzyk i koronkowy żabot na falującej pięknej piersi. Wszystko to zdało się we krwi zmaczane. A potem zdjęła z szyi róg myśliwski i zwróciwszy się ku dolinie, uderzyła w niego przeciągłym, potężnym myśliwców sygnałem.

Echo skał odgłos ten powtórzyło po setne razy.

I w tej chwili, może zwabiona nigdy nie zasłyszonym dźwiękiem, ukazała się na swym omśzałym tronie... syrena.

Wyszła ze swej jaskini, zobaczyć co się tu dzieje nowego?

A przecież oczy jej nie stworzone są do światła dziennego. Ta sama cieniutka skórka, która pokrywa całe jej ciało, osłania także jej oczy; z popod niej migocą połyskujące niby rubiny źrenice. A przez tę przeźroczystą skórę widać wszystkie wewnętrzne części pulsujące, od-

dychające, drgające. Różowe jej dychawki po obu stronach niekształtnej głowy poruszają się w powietrzu; u spodu głowy małe nóżki czy ręce, dalej gruba wężowata postać bez nóg tylnych.

Koloman przypatrywał jej się zdziwiony. I zstawił w myśli oba te zjawiska: tam owo dziwne stworzenie, co jest tak podobnem do pięknej kobiety; tu owo inne, podobne do węża.

Obie piękne i obie straszliwe...

CZYN BOHATERSKI.

Na dźwięk sygnału odpowiedziały ze wszech stron rogi z doliny; od przeciwnej strony góry biegli najbliżej rozmieszczeni myśliwi. Dla reszty, znajdującej się po za obrębem doliny, byłoby zbyt trudnem zadaniem wdrapywać się tutaj, dlatego też zaniechali go zupełnie.

Na strzelanie i dźwięk rogów zbudził się wreszcie z niemałym trudem i Ruśniak. Utrzymywał on zresztą, że spełnił wiernie swój obowiązek; bo kiedy taka piękna pani i takiż panicz chcą porozmawiać z sobą, najpierwszym obowiązkiem wiernego poddanego jest położyć się i zasnąć na oba uszy.

Katinki od tej chwili wszakże nie zajmował już wcale dodany jej towarzysz; wielki jej tryumf myśliwski obchodził ją tylko wyłącznie i pochłaniał całkowicie; mierzyła ile piędzi ma ubita niedźwiedzica, kazała szacować myśliwcom, ile też cetnarów ważyć może. Najważniejszem zaś było pytanie, jakim sposobem da się ją stąd

przenieść? Niepodobieństwem jest, by czterej ludzie z noszami szli po tej jednej kłodzie sosny. Nakoniec znalazł się sposób, naciągniono linę w poprzek przez parów, zawieszono u niej zwierzę za cztery nogi i przeciągnięto je w ten sposób w powietrzu. Szkodaby była tu je pozostawić. Ze skóry jego będzie dywan przepyszny. Katinka zamierza położyć go przed swem łóżkiem. A przecież i mięso jego ma być znakiem, łapy słyną jako przysmak, na książęce podawany stoły. Musi ich spróbować.

No, a małe niedźwiedziątko? Niema już biedactwo matki, któż je wykarmi? Ale pocóżby tem się trapić? Katinka ma przecież tak czułe serce, więc weźmie do siebie niedźwiadka; u niej maleństwu będzie daleko lepiej niż w lesie. Wyrośnie na kawie, ciastkach i osmażonych w cukrze orzechach; na całe życie ma już zapewniony spokój i... więzienie.

Ale bo co też to za serdeczne, co za miłutkie stworzeńko! Jak się przytula do piersi swej jaśnie wielmożnej opiekunki i miłutką swą mordkę ukrywa w koronkach jej żabotu, a łapkami grzebie niezgrabnie, jak małe dziecię! Katinka zakochana była formalnie w niedźwiadku. I ot znalazła już właściwe pomieszczenie dla ślubnej swej obrączki. Jak raz wybornie wchodzi na łapkę zwierzęcia. A kiedy tak jej tam dobrze, niechże zostanie.

Kiedy wreszcie z niemalym wysiłkiem przedostano niedźwiedzicę na drugą stronę parowu, wzięło ją tam czterech silnych Ruśniaków na nosze i w towarzystwie coraz to wzrastającej liczby myśliwców poniosło ku głównej kwaterze.

Główny pawilon myśliwski rozbity był na okrągłej polance, gdzie rodzina Decsery'ch, w towarzystwie Balvandy'ego, zajęła stanowisko. Tu też przyniesiono ubitą zwierzynę.

Było to jedyne trofeum dzisiejszego polowania. Niedozwolonem było strzelać do innej zwierzyny, tylko wyłącznie do niedźwiedzi. Co prawda, pokazały się w ogóle cztery niedźwiedzice, wszystkim innym wszakże udało się wymknąć z koła naganki. Jeden wielki, wspaniały męzki egzemplarz dostał nawet cztery postrzały od czterech różnych myśliwców, ale żaden z nich nie trafił celnie; zabrał sobie przeto tylko cztery kule w futrze i uszedł cało.

Niedźwiedzica z dwojgiem młodych dążyła w przeciwnym wodospadowi kierunku. Nikomu nie przyszło na myśl, że zdoła wdrapać się po stromym stoku skały. Ale tu spotkały ją dwa celne strzały, choć padły z ręki kobiety.

Wyznać trzeba, że oba strzały były znakomite; jeden przeszył niedźwiedzicy płuca, drugi rozdarł jej serce. Takie strzały każdemu strzelcowi przyniosłyby zaszczyt.

Całe towarzystwo powitało bohaterkę dnia okrzykami radości i chórem pochwał, a nawet panie Decsery nie usuwały się od objawów powszechnego zachwytu, owszem zamieniły kilka słów uprzejmych z bohaterską amazonką. Księżna dobrowolnie ofiarowała jej swój podróżny futrzany worek na nogi, jako prowizoryczne pomieszczenie dla małego niedźwiedziątka, które następnie przeniesionem zostało do karety, poczem przywiązano głowę jego do worka, ażeby uciec nie mogło.

— Winszuję pani serdecznie, — mówił Balvandy do Katinki; — uratowałaś pani honor całego towarzystwa. Ci panowie tak strzelali wszyscy, że zasługują w czambuł na chłostę.

— Ale przynajmniej strzelali, — odpowiedziała Katinka z rozplómonioną twarzą. — A mój asystent nie wystrzelił nawet swej broni, widząc nadchodzącego ku nam niedźwiedzia. Pewnie myślał sobie: jeżeli wystrzele, czemże będę bronił się potem?

Jakże się też z niego śmiano! Biedny Kolo-man usiłował ukryć spuszczoną głowę po za liściem krzaków. Nie śmiał już nawet spojrzeć na Dorotę; myślał, że i dla niej stał się przedmiotem pośmiewiska.

Źle strzelać jest już dostatecznie wielkiem przewinieniem; ale nie strzelać wcale, to już zbrodnia nie do darowania.

Ale nie dozwolonem mu było ukrywać się w krzakach, okazała się bowiem potrzeba jego obecności. Myśliwcy mają także swoje usankcjonowane obyczaje.

— Teraz więc, za ten strzał mistrzowski, musi pani uroczycie otrzymać pasowanie na członka myśliwskiego cechu — ozwał się Balvandy.

— Jako?

— Tak, ceremonia ta ma zakrój nieco militarny. Zwycięzki myśliwiec, który po raz pierwszy ubił grubego zwierza, położonym zostaje na ofierze i uroczycie otrzymuje chłostę.

— A czemże!

— Jeśli to mężczyzna, stemplem fuzyi; jeśli kobieta, gałęzią kwiatów.

— No, to nie będzie przynajmniej boleć tak bardzo.

Przytem obejrzała się dokoła po obecnych; może chciała widzieć, czy reszta pań się nie rumieni? Nie. Wszystkie śmiały się... Taki już zwyczaj.

— Ha, skoro tak być musi, — wymówiła piękna pani i przysiadła na ziemi obok rozciągniętego zwierza, przybierając do rycerskiego pasowania ile możności najwdzięczniejszą pozę; ramionami objęła szyję martwej niedźwiedzicy, głowę zaś odwróciła z uśmiechem ku patrzącym:

— No, któż mnie bić będzie?

— Panie Kolomanie! — zawołał Balvandy —

nie zechciałbyś czasem nieco wynurzyć się z tych zarośli. To pański urząd, ponieważ pan byłeś asystentem bohaterki.

I mówiąc to wyrwał olbrzymią lodygę dziewaną, którą od wierzchołka po korzenie pokrywało różowawo-żółte kwiecie wcisnął ją Kolomanowi w rękę i popchnął młodego człowieka naprzód.

— A tylko proszę nie bij mnie pan zamocno! — zastrzegła Katinka, fluternie zwracając ku niemu twarz roześmianą.

Koloman uderzył ją okwieconą gałęzią przepisane trzy razy; piękną panią razy te nie bolały, ale jemu za tem większą sprawiały przyjemność.

Pośród rozgłosnych okrzyków *Eljen* zerwała się łowczyni nie czekając na niczyją pomoc, i odtąd już prawa jej wchodziły w życie.

— Teraz niechaj wystąpią ci, którzy dotąd się śmiali. Na nas teraz kolej się pośmiać.

— Pudłujących strzelców zwyczajem jest karać...

Maluje im się prochem wąsy na twarzy, i to jest jednym z praw zwycięscy.

Katinka zmaczała własny swój delikatny, biały paluszek w rożku od prochu i dokonała wilgotną czarną farbą niemiłosiernego wyroku na oskarżonych.

Kto miał już wąs, ten otrzymywał jego prze-

dłużenie aż do uszu; komu zaś i bez tego wąsy dochodziły do uszu, tego udekorowano jeszcze śpiczastą bródką z prochowego szlamu.

Koloman pozostał na koniec. On jest największym winowajcą, on, co nawet nie wystrześlił. Tchórz! Musiał się przypatrywać egzekucyi towarzyszków łowieckiej swej wyprawy. Kiedy wreszcie na niego przyszła kolej stanąć przed piękną panią, która wymierzała karę, był na to przygotowany, że resztą prochu zrobi mu prawdziwą karykaturę.

Ale Katinka zanurzyła swój paluszek w czarnej cieczy i winowajcy z wielką starannością na gładkiej górnej wardze wymalowała wąs... Potem wyjęła z kieszeni maleńki grzebyk z perłowej macicy. W pochewce jego było umieszczone wklęsłe lustro, w którym można było całą twarz widzieć. Potrzymała przed nim to lustro i spytała z pieszczotliwym wyrzutem:

— Cóż, czy nie był takim?...

Zebrane towarzystwo łowieckie zasiadło do uczty myśliwskiej. Piękna zielona murawa była siedzeniem i nakrytym stołem zarazem.

Bohaterka dnia, dalej rodzina Decsery'ch, Balvandy i Koloman, wraz z kilku jeszcze myśliwymi i paniami, ugrupowali się około jednego ogniska. Fuzye pozawieszali na drzewach i każdy ułożył się w trawie jak mógł i jak mu było dogodnie.

Balvandy, ze zwykłą uprzejmością, zabawiał hrabiankę Dorotę, a musiał opowiadać jej coś wesołego, bo wciąż słychać było śmiech jej dźwięczny.

Koloman nie spuszczał ich z oka. Przyszły mu na myśl złośliwe insynuacje, które mu była poszepnęła Katinka.

Kiedy człowiek jest młodym i zakochanym, gniewa go już to nawet, że przedmiot jego uwielbienia rozmawia z innym mężczyzną. Ukochana powinna mieć głos tylko dla niego.

Niestety, młode dziewczęta nie stosują się znów tak bardzo do tej zasady.

Katinka dostrzegła te ukośne spojrzenia Kolomana, a lepiej jeszcze jego niezadowolenie, i poczęła żartować z niego.

Obyte w świecie kobiety niezmiernie wiele przywiązują wagi do tego rodzaju zabawki i rade są, gdy mogą bezkarnie nad kimś się znęcać. Za żadne skarby w świecie nie oszczędziłyby mu jakiego choćby niesmacznego żartu za najmniejszą niezręczność popełnioną. Musi się poddać temu, że nietylko piękna pani jego kosztem się bawi, ale i całe towarzystwo.

Koloman znosił to wszystko łagodnie, czego następstwem było, iż pozwolono sobie z nim różnych dowcipów.

Ale rzecz to wcale już niemiła kiedy dowci-

pów tych słucha piękna panna, w której się jest zakochanym.

Znalazł się jednak jeden człowiek, który się podjął go bronić, był to nadżupan. Wziął on stronę swego jurata. Ale tego brakło jeszcze tylko! Protektor bowiem przytaczał zawsze tak szczególniejsze powody, że wszyscy śmieli się jeszcze więcej. Często broni ktoś kogoś przeciw innym dlatego tylko, aby potem tem lepiej mu docinać.

Raz, kiedy Koloman siedział pogrążony w smutnem zamyśleniu, jakiś łakomy chart pochwycił mu z przed nosa przysmażoną grzanekę. Cóż za śmiech powstał z tego! Nawet pies pozwala sobie z nim żartów bezkarnie, a przecież miał kij w rękę.

— Pan więc zawsze próżno miewasz broń w rękę? — żartowała Katinka. — Czy pan nie zwykł nigdy ani strzelać, ani bić nawet?

Koloman wreszcie zabrał głos w swojej obronie.

— Nie używam nigdy żadnej broni przeciw kobietom. Niedźwiedzia byłbym mógł zabić z łatwością, szedłem na niego, wziąłem go na cel, nie uciekłem przed nim; ale zobaczyłem, że należy do słabszego rodzaju i pozwoliłem mu uciec. Nie mógłbym zabić kobiety wówczas nawet, kiedy jest — niedźwiedzicą.

Była to obrona wielce stosowna dla poety,

będącego zarazem młodzieńcem z dystygowanego towarzystwa. Kompliment to dla pań, hołd dla żeńskości, poszanowanie tego ideału aż do zwierzęcego świata. Ale uwaga Balvan'dyego zepsuła to korzystne wrażenie.

— Mój drogi Kolomanie, gdybyś tak był zobaczył samca tej niedźwiedzicy, to pewnie uczucie grzeczności byłoby ci żywiej jeszcze stanęło w pamięci.

Koloman zocerwienił się aż po szyję.

— Tego niechby spróbował zemną, ktobądź z męskiego świata!

A, do licha! Toż to już wyzwanie!

— Ho, ho, mój panie! — łagodziła Katinka. — To *mauvais genre* urażać się o żart na polowaniu. W towarzystwie myśliwskim wszystko jest dozwolone. I kobietom tu nieraz przychodzi posłyszeć coś takiego, na co kiedyindziej odpowiedziałaby policzkiem. Tu panuje żywioł koleżeński.

— Ależ my się bić z sobą nie myślimy, — mówił Balvandy; — *au contraire*. Ja stoję po stronie Kolomana. On ma słusność. Bo proszę, przypatrzcie się państwo tylko, jaką to on ma fuzyą. Nie wiem kto mu ją mógł wybrać?

I Balvandy wstał, zdjął strzelbę Kolomana z drzewa i pokazywał ją kolejno każdemu, jaki nędzny ma zamek; z taką fuzyą nie radziłbym nikomu iść na niedźwiedzia.

— Na drugi raz, mój kochany, skoro będziesz szedł na polowanie, dam ci własną moją fuzję, z tej będziesz mógł strzelać przynajmniej. A teraz przyznaj, żeś dwa razy pociągał za cyngiel, że tylko kurek ci nie spadł a opinia twego męstwa zostanie ocaloną.

— Tak, tak, z pewnością! — potwierdzała wspaniałomyślnie Katinka, spoglądając znacząco na obrońcę.

Koloman spostrzegł, że mu budowano do odwrotu most złoty i cofnął się też nań... Zastanowił się zresztą, że to jeszcze najlepsze może wyjście.

W toku dalszego ciągu zabawy, którą urozmaiciły ludowe tańce, Balvandy okazywał, że pojednanie z Kolomanem bierze na seryo, bo kiedy całe myśliwskie towarzystwo zabierało się do powrotu i każdy przewieszał broń swą przez ramię, podszedł do Kolomana.

— Rzućże tę obrzydliwą strzelbę, mój kochany, która z kształtu tylko do broni jest podobna. A kiedy już ci koniecznie potrzeba co przewiesić przez ramię, to weź mój karabinek. Ja i tak będę sam powoził, bo mój stangret nie jest zupełnie trzeźwy i nie mógłbym mu powierzyć koni. Ty mógłbyś towarzyszyć paniom.

Była to już bezprzykładna wspaniałomyślność. Balvandy napowrót wybiera sobie miejsce, gdzie przez cały czas musi być odwrócony do

dam plecami i wszelkie korzyści dobrowolnie odstępuje Kolomanowi.

Koloman nie lubił nigdy cieszyć się podarowaniem szczęściem i tak pokierował rzeczy, że dostał się na tę stronę powozu, gdzie siedziała stara księżna, nie zaś tam gdzie mieściła się hrabianka Dorota. Mimo to jednak karabinek Balvandy'ego przewiesił sobie przez plecy.

Pochód myśliwski ruszył wreszcie; zabita niedźwiedzicę złożono na przybranym gałęźmi wozie; tuż za wozem tryumfalnym jechała bohaterka dnia, otoczona całą drużyną pomalowanych łowców. Dalej szedł lekki wózek Decsery'ch. Na koźle siedział Balvandy, przy nim nadżupan. Po lewej stronie wózka szedł Koloman, za nim jeden z Ruśniackich strzelców, stary chłop, wyga, umiejący po węgiersku, który zabawiał panie opowiadaniem różnych baśni i podań ludowych. Przynajmniej uwalniał on Kolomana od obowiązku nadskakiwania damom.

I ktoś inny jeszcze pomaga mu w tem zadaniu. Z pośród przedniej kawalkady myśliwych odłączyła się naraz jakaś postać i pozostawszy w tyle, wkrótce przyłączyła się do otoczenia wózka Decsery'ch.

Poznajemy w niej Aszalyi'ego.

Dlaczego tu się przysuwa? Ani wspomnienia, które go łączą z Kolomanem, ani zamiary, które

żywi względem Balvandy'ego, nie wyjaśniają tej szczególniejszej przyczepki.

Niechajże on sam ją wyjaśni.

— Moi panowie! Panie baronie, panie hrabio! — bąka długoszyja postać, z twarzą bladą i strasznie przeciągniętą. — Ci myśliwcy tam z przodu utrzymują, że ten niedźwiedź, który otrzymał cztery postrzały, nie musiał odejść stąd daleko, ale gdziekolwiek tutaj przyczaił się w gęstwinie.

— Tak, to bardzo możliwe — odpowiada mu Balvandy.

— I mówią, że niedźwiedź miewa zwyczaj powracać w te same miejsca, gdzie otrzymał rany, i że wszystkich ludzi, których napotka wówczas, do ostatniego rozdziera...

— Prawda, to jego obyczaj.

Dopieroż stary Ruśniak pochwycił ten temat.

— No, jeszcze tu, gdyby to przypadkiem miał być niedźwiedź zaczarowany, ładniebyśmy wyglądali wszyscy.

— Co to jest niedźwiedź zaczarowany? — wyjąknął Aszalyi, dzwoniąc zębami.

— Co, pan tego nie wie? To okropne zwierzę! Kiedy taki z człowiekiem się spotka, nie czeka, żeby myśliwy do niego strzelił, ale on strzela do myśliwca; półcentnarowy, centnarowy kamień, to nic dla niego; podnosi go w obie

łapy i rzuca nim jak z procy, kogo taka bestya nim trafi, ten ani już zipnie.

— Aj! — zawołał Aszalyi, zdziwiony i wystraszony.

— A potem czar jego w tem jest głównie, że wszystkie kule, choćby ich niewiedzieć wiele mu posłać, chwytą w powietrzu łapą jak muchy, wkłada sobie w paszołę i połyka.

— No, takiego spotkać, to nie byłoby rzeczą przyjemną — westchnął Aszalyi. — A w którą też stronę uszedł ten niedźwiedź?

— Tędy gdzieś, ku nam...

Aszalyi w jednym mgnieniu oka był już po drugiej stronie wózka.

Koloman pomyślał sobie coś, ale nie śmiał w myśli nawet sformułować tego życzenia. A czemużby nie? Alboż to raz myśliwca spotyka szczęście po dwakroć dnia jednego?

Zmrok począł już zapadać; pośród wysokich gór słońce zachodzi wcześniej; orszak myśliwski był już w dolinie, której jeden spadek pokrywa prastary las sosnowy, gdy tymczasem drugi stok góry może kiedy aż po wierzchołek spustoszył pożar, tak że teraz porastają go tylko gęste, splątane zarośla; tu i owdzie tylko z pośród krzaków wystaje wyższa nieco, skąpo pokryta liściem, karłowata jodła.

Pusta, nieprzyjemna, dzika ta okolica, niezdatna ani na pastwisko, ani dla myśliwca; na

polankach rosną w niezliczonej ilości czerwone i czarne jagody, a i tych tu nikt nie zbiera.

Kiedy tak połowa może długą linią ciągnącego się myśliwskiego orszaku dostała się w te zarośla, naraz rozległ się okropny pomruk w tej puszczy; krzyk naganiaczy ożywił las nagle; tu i owdzie rozległ się w dali huk wystrzału, potem jęk jakiś okropny, podobny do wołania o pomoc rozdzieranych strzelców, a pośród tego wszystkiego ciągle ten mruk przerażający, po którym tak łatwo poznać można niedźwiedzia. Więc nadchodzi!

Ale skąd, tego niepodobna było dociec w pośpiechu, z powodu licznych ech łudzających.

Naraz jednak z pośród gęstych zarośli podniosła się czarna jego postać...

Musiało to być olbrzymie zwierzę, przeszło sześć stóp wysokie. Znajdowało się o jakie dwieście kroków od wózka Decsery'ch, tak jakby właśnie tu zamierzało się zwrócić.

Ktoś strzelił z zarośli do zwierza, poczem ten natychmiast podniósł z ziemi ogromny kamień, centnarowej może wagi i cisnął go z okropnym rykiem w stronę skąd wypadł strzał...

— Chryste Panie! — zawołał stary Ruśniak — toż to zaczarowany niedźwiedź!

Aszalyi'emu nie trzeba było niczego więcej; uciekł copędzej tam, gdzie nie widać już było niedźwiedzia. Po drugiej stronie rósł krzak gra-

bowy, przedarł się przez niego jak się dało, a potem rzucił się na ziemię, udając umarłego, w nadziei, że tym sposobem niedźwiedź da mu już pokój.

— Ha, to coś źle idzie! — wymówił Balvandy. — Gdzie moja broń?

— Całkiem jej tu dobrze u mnie — odpowiedział Koloman i zajął u jednej z jodeł stanowisko, odwiódłszy oba kurki u strzelby.

— Ale, mój kochany, celuj dobrze! — upominał go Balvandy. — Nie strzel zawczasie i traf go w serce; bo takie wielkie zwierzę i ciężkie rany z sobą ci zabierze.

— Zobaczysz pan; do tego możesz pan mierzyć gdzie zechcesz — mruknął Ruśniak. — On w lot łapą chwyta kule.

Zęby szczękały mu i przeżegnał się przesądnie.

Kolomanowi zabiło gorączkowo serce...

Teraz więc jest sposobność obronienia przedmiotu swej miłości i dowiedzenia wobec niej osobistej swej odwagi. Nie, doprawdy, przypadek tak zrządził, jak gdyby układał to powieściopisarz.

Ale spotkanie takie jest ogniewą próbą dla serc młodych. Olbrzymi zwierz, łamiąc krzaki, idzie wciąż naprzód. Oczu nie widać mu z popod kudłatego włosa. Postępuje wprost ku strzelcowi. Rzadkiej krwi zimnej do tego potrzeba,

aby przeciwnika dopuścić do krytycznych dziesięciu kroków odległości, by do tej chwili odczekać, wtedy bowiem dopiero strzał może być pewny.

U Kolomana siła woli zastępowała krew zimną.

Jakiś nieprzeparty odezwał się w nim popęd okazania się odważnym.

Dopuścił zwierza tak blisko do siebie, że tylko jeszcze krzak jeden dzielił ich od siebie. Niedźwiedź podniósł się na dwóch łapach i wychylił z krzaka połowę ciała.

Teraz wziął na cel Koloman i strzelił.

Niedźwiedź wydał mruk groźny, ale nie padł...

— A co, wszak mówiłem, że on w powietrzu chwyta kule — ryknął z tyłu Ruśniak.

Niedźwiedź przedarł się teraz i przez krzak ostatni i stał zaledwie o sześć kroków od Kolomana.

Wziął głowę zwierza na cel i wystrzelił.

Niedźwiedź wstrząsnął tylko głową i nie zwrócił nawet na strzał uwagi...

— Na drzewo! Na drzewo! — wołali zarówno Ruśniak, jak baron na Kolomana równocześnie. Teraz jedyny to ratunek przed rozszalałym zwierzem.

Ale Koloman, miasto rzucić broń i conajspieszniej wdrapać się na drzewo, pochwycił za

koniec lufy odwrócił fuzyą kolbą, i począł zwierza walić z całych sił w głowę, tak, że niedźwiedź zakrzyczał:

— *Dostał!*

„*Dostał*“, zaś w języku tamecznego ludu znaczy to samo co „*dosyc*“.

Tylko połączenie zbiorowych tych czynników, jak wstyd, wściekłość, rozpacz, może wytlómaczyć, że młodzieniec rzucił się na czyn tak nierozważnej a szalonej odwagi.

Bo gdyby też nie był uczynił tego, a natomiast poszedł za radą, którą mu udzielano, mianowicie gdyby był drapał się na drzewo, wtedy i niedźwiedź byłby tam wszedł za nim, a zrównawszy się ze zbiegiem, byłby z fałdów swego futra wyciągnął oplataną flaszę i ofiarował mu łyk wódki:

— *Nech sa lubi pan vodasz* ¹⁾.

Bo to nie był ani zaczarowany zwierz, ani nawet zwykły niedźwiedź, ale wysoki chłopak wiejski, przybrany w niedźwiedzią skórę i nie fatum też powieściopisarza układało tę scenę, ale p. Balvandy... Całe towarzystwo zmówiło się przeciw Kolomanowi; każdy naganiacz, każdy strzelec był w ten żart wtajemniczony, prócz jednego tylko Aszalyi'ego. Temu naumyślnie napędzono śmiertelnego strachu, aby obawą swoją

¹⁾ Można panu służyć, panie myśliwy?

zaraził Kolomana. Dlatego to Balvandy zamienił z Kolomanem swą fuzyą, ta bowiem w miejsce kul nabiła była bżowem rdzeniem; dlatego to opowiadał stary Ruśniak ową legendę o zaczarowanym niedźwiedziu.

Młodemu fanfaronowi chciano tym sposobem pod formą żartu dać zasłużoną nauczkę, ponieważ uraził wszystkich towarzyszy łowów oświadczeniem, że do pierwszego niedźwiedzia nie strzelał tylko dlatego, że to była samica; niechaj zaś pokaże się tylko samiec! Jak gdyby inni nie pozwolili ujść właśnie samcom! Niechajże więc popróbuje, co to znaczy spotkać się z niedźwiedziem samcem.

Ale złapano się na tej próbie...

I głowa biednego parobka (na szczęście miał twardą czaszkę i niedźwiedzie futro łagodziło razy) musiała zapomocą uderzeń kolbą zdobyć to psychologiczne doświadczenie, że ten pan, który na szczycie „Korda“ wobec Katinki produkuje się tem, że nie strzela wcale do niedźwiedzicy, gdy ta ucieka i ratuje swoje młode — jest całkiem innym od tego, który przy powozie Decsery'ch wobec pięknej hrabianki stawia czoło niedźwiedziowi, występującemu w roli napastnika i zagrażającemu jego ukochanej.

Parobkowi od świadomości tej wprawdzie spuchła głowa jak bochen; ale i inni jego kosztem jej nabyli.

Katinka z kapelusza swego zerwała wszystkie tryumfatorskie emblematy, kiedy jej opowiedziano tę historią, a Balvandy pobity został z kretesem.

Ale Koloman tem więcej był pomieszany, gdy spostrzegł, że to był żart tylko... Strasznie go to zbiło z tropu. A więc całe towarzystwo, wszyscy jak są, sprzysięgli się przeciw niemu jednemu! I pośród wszystkich nie znalazła się ani jedna pokrewna dusza, któraby go była ostrzegła, jak okrutny żart przeciw niemu się przygotowuje?

Balvandy pospieszył go przejednać.

— No, mój kochany, teraz zachowałeś się jak prawdziwie odważny myśliwiec. Nie mogłeś wiedzieć tego, że strzelasz nie do prawdziwego niedźwiedzia i bronią nienabitą kulami. Powiedzieć ci mogę, że pośród tysiąca ludzi zaledwie jeden zrobi to, co ty zrobiłeś idąc na niedźwiedzia, którego nie powaliły dwa porządne strzały, o samej kolbie strzelby! To futro niedźwiedzie otrzymasz ode mnie na pamiątkę. A zarazem uwolniony jesteś od kary noszenia malowanego wąsa... Jedna z pań ci go wymalowała, druga musi ci go zetrzeć. Hrabianka Dorota będzie tak łaskawą...

Do tego nie trzeba było Kolomana ciągnąć przemocą.

Hrabianka Dorota wzięła delikatną batystową

chusteczkę, aby dokonać operacji rehabilitowania, a kiedy Koloman przystąpił do tej strony powozu, gdzie siedziała, szepnęła mu z cicha:

— Ja ciągle dawałam panu znaki, żebyś przeszedł na tę stronę wózka, aleś pan na to nie zwracał uwagi; byłabym panu poszepnęła, co się gotuje, i przynajmniej biedny przybrany chłopak nie byłby miał tak potłuczonej głowy.

CO SIĘ KRYJE ZA SOSNAM I.

Od tej chwili Katinka nie mówiła już do Kolomana. Nienawidziła go...

Czuła się poniżoną. Tenże sam mężczyzna był wobec jednej z kobiet nędznym tchórzem, wobec drugiej szalenie odważnym bohaterem.

Chciała Kolomana zawstydzić w oczach Doro-ty Decsery, a jakże bardzo upokorzył ją Ko- loman!

O, ale mimo to ona o nim tak łatwo nie za- pomni! Niech nie wierzy nigdy młodzieniec, że kobieta, która żyje jego miłością, może się po- zbyć tem słowem: „kocham inną“. Nieraz on jeszcze potknie się o te pajęczce sieci, które gniew obrażonej zastawi na jego drodze...

Po polowaniu cały orszak gości czuł się znu- żonym i każdy rad był z rozporządzenia, by się wszyscy rozeszli na swoje kwatery na odpo- czynek.

Nazajutrz uroczyste przeprowadzenie insta-

lacyi miało się odbyć pod gołym niebem. Pogoda sprzyjała ceremonii. Na zielonej murawie postawiono stół długi, na czele którego zasiadł instalujący vice-żupan; dokoła sproszeni goście na krzesłach i ławach zbitych z desek, naprzód panie, potem panowie, nakoniec wieśniacy.

Uroczystość odbywała się ze zwykłą urzędową powagą; starszy notaryusz komitatowy odczytał dokumenty, usprawiedliwiające wzięcie w posiadanie, poczem miało nastąpić uroczyste oddanie na własność uzmysłowionego kawała ziemi. Na olbrzymiej drewnianej tacy, z pośrodku której wyrastała młoda sosenka w miękkiej ziemi, połyskał surowiec ołowiu, kawałki cynobru i malachitu i iskrzące marmaroszowe dyamenty. Wszystko to są okazy produktów gruntu dóbr Kordicza i miało być złożone w ręce instalowanego.

Pierwej wszakże zawezzwani zostają obecni przez notaryusza donośnym głosem, aby, jeśli kto ma co do nadmienienia przeciw wejściu w posiadanie nowego dziedzica, zastrzeżenie swoje złożył obecnie.

Każdy był na to przygotowany, że ów człowiek z wyciągniętą naprzód szyją tam u końca stołu, dlatego tylko tak się gwałtownie przeciska, że przybył by zaprotestować. To Aszalyi.

Od wczoraj ani o włos nie stał się przyjemniejszym; ucieczka przed niedźwiedziem przez

grabinę pokreśliła mu twarz w egipskie hieroglify.

— Protestuję! — wrzasnął, wyciągając długą swą rękę, aż do środka stołu, ażeby móżdżkiem palcem uderzyć w zielone sukno co go pokrywało. Proszę to wciągnąć do protokołu.

Starszy notaryusz przybrał wielce poważną minę; nie sięgał jednak wcale po pióro, ale odpowiedział tylko z drwiącą obojętnością:

— Już zapisane.

Całe towarzystwo śmiało się..

Aszalyi zaś ciągnął dalej:

— Protestuję i kładę zastrzeżenie, jako pełnomocnik jaśnie wielmożnego pana Alberta Csollan z Gödenylak, prawnego małżonka, a w następstwie tego kuratora jaśnie wielmożnej pani Katarzyny Satory.

— Kłamstwo! kłamstwo! kłamstwo! — wołała Katinka namiętnie, rączką swej szpicruty tyleż razy w stół uderzając.

— Proszę słowa moje wciągnąć do protokołu.

— Naprzód już są do niego wciągnięte! — wymówił z tymże samym spokojem notaryusz.

— A u spodu i moje słowa niechaj będą! — wołała Katinka i rączką szpicruty biła w przekłety protokół.

— Te się dopisze na marginesie.

Publiczność bawiła się tą sceną wybornie.

Aszalyi miał jeszcze coś do powiedzenia.

— Powody tego zastrzeżenia w ciągu roku przedłożone zostaną dostojnemu królewskiemu sądowi.

— I to już zapisane — mówił notaryusz. — Może pan zechcesz obejrzeć protokół..

Obecni wybuchnęli śmiechem. Ale Aszalyi nie poszedł już patrzeć co zapisano w protokóle. Ani o tem myślał! Zrobił to po co go tu przysłano, a potem szybko wysunął się z tłumu, pragnąc conajprędzej zniknąć.

Figiel zaś, który tą zaimprovizowaną scenką Berti Csollan zgotował ukochanemu swemu przyjacielowi Balvandy'emu nie był bynajmniej drobnostką.

Wprawdzie Berti, po upływie oznaczonego prawem rocznego terminu nie przedstawi królewskiemu sądowi żadnych dowodów, ale Balvandy'ego sztuczka ta kosztować będzie całoroczny dochód z dóbr Kordicza.

Główny dochód bowiem dóbr Kordicza stanowi dziesięcina, pańszczyzna, podymne, płacone przez poddanych z dwudziestu dwóch wiosek, a wreszcie propinacya. Wszystko to razem tworzy znaczną sumę. Obecnie wszakże przez rok cały owe dwadzieścia dwie wioski nie przyniosą Balvandy'emu ani złamanego szeląga, każdy bowiem pomyśli sobie: a kto to wie czy on naprawdę jest dziedzicem? Jutro przyjdzie inny

i nowe nałoży na nas podatki. — Co to zaś znaczy ściągać zaległości, wiedzą ci, o tego kiedokolwiek doświadczyli.

Całoroczny dochód więc, dzięki temu figlowi, rzucony jest w błoto...

Ale Aszalyi uciekł z areny swego czynu tak szybko, jak tylko mogła go unieść czwórka chłopskich koni, czekających na niego w pogotowiu nieopodal.

Broni nie miał przy sobie, ale liczył na pośpiech.

Wiedział on dobrze, że za popełnienie „*actus majoris potentiae*“¹⁾ naznaczoną jest kara dwustu guldenów, jeśliby mianowicie ktoś porządnie przetrzepał szlacheńca, a dwieście guldenów niewiele znaczą w oczach pana Balvandy.

Prawda i to, że te dwieście guldenów z innymi dwustu guldenami, które mu przyrzekł Berti Csollan w nagrodę, stanowią czterysta guldenów. Ale gust jego był, już tego rodzaju, że uważał za daleko odpowiedniejsze schować dwieście guldenów bez bolesnego poczęstunku, niżeli czterysta z nabitymi na głowie guzami.

Skutkiem tego też niemalą sprawiło mu radość, kiedy się przekonał, że nikt za nim nie goni, że go nie myślą ściągać. Zapatrywano się na rzecz całą z żartobliwej strony.

¹⁾ Aktu przemocy.

Kiedy wszakże najmoocniej oieszył się z tego, że udało mu się ujsć szczęśliwie, nagle zawołało nań z parowu: „stój!”

Okrzyk zdradzał głos kobiecy i pochodził widocznie od osoby dążącej z przeciwnej strony.

Aszalyi ujrzał zdumiony, że ku jego wozowi podjeżdża galopem kobieta na koniu, w której poznał Katinkę Satory.

Piękna pani boczną leśną dróżyną zdołała go wyprzedzić i obecnie zastępowała mu drogę.

Widocznie musiała względem niego żywić niezbyt przyjemne zamiary, jak to sądzić było można z rozognionej jej twarzy i błyszczących oczu.

— Ani mi drgnąć! — zawołała dama na woźnicę — bo cię zastrzełę.

Wprawdzie pistolety spoczywały w olstrach u siodła, ale że ta pani umie strzelać, tego przecieź już dowiodła. Woźnica więc był posłuszny; nasunął sobie tylko derę od koni na głowę, aby nie widzieć nawet co się tu dzieć będzie. Wiedział, że nie jego ścigano.

— Co pani rozkaże? — wybąkał Aszalyi.

— Mówmy po niemiecku, aby nas chłop nie zrozumiał — ozwała się Katinka i zwróciła łeb swego konia ku siedzącemu na wozie. — A teraz posłuchaj mnie pan... Widzisz co mam tu w lewej ręce? Woreczek. W nim jest pięćdziesiąt dukatów. Wiem, że Csollan za tę haniebną



protestacją ani połowy tego nie przyrzekł, nie biorąc już tego w rachubę, że nie wiesz nawet jeszcze czy ci da to co przyrzekł? Ja zatem daję panu ten woreczek, jeżeli teraz wrócisz, oświadczysz wobec sądu, że protest pański był tylko żartem i cofniesz go w imieniu swego mocodawcy. A teraz widzisz pan co mam tu w drugiej ręce? Szpicrutę. O tem wszakże mogę go z całą dokładnością zapewnić, że Berti Csollan, jeśli mu w ręce popadniesz, nie oćwiczyna tak szpicrutę za to, żeś cofnął protest, jak ja cię tutaj teraz natychmiast osmagam, że byłeś tak bezczelnym i ośmieliłeś się w mojej obecności nazwać pana Csollan moim kuratorem i małżonkiem, protestując z jego zlecenia. No, teraz wybieraj pan... Z prawej, czy z lewej ręki?

Przyciśnięty do muru bohater nie wiedział jak się wyratować z tego dylematu.

Po jednej stronie ponętne „kanarki“, po drugiej groźna szpicruta!

Być obitym jest już samo w sobie nie aroy-przyjemną rzeczą; ale w dodatku jeszcze być obitym przez kobietę, to już coś ohydneho; nie można jej zaskarżyć nawet, bo zostałoby się wyśmianym.

Piękna pani wszakże powtórzyła bardzo seryo:

— Decyduj się pan, bo nie mam ochoty trać czasu na długie dyskusye.

— Powracam! — wybąknął Aszalyi i instynktowo wyciągnął rękę, może do zawarcia pokoju, a może też po woreczek.

Katinka uderzyła zlekka po wyciągniętej dłoni sarnią łapką, stanowiącą rączkę jej szpicruty i odsunęła woreczek.

— Otrzymasz pan pieniądze, skoro już cofniesz protest. Prędko więc teraz każ zawracać!

Aszalyi wyciągnął chłopca z pod dery i oznajmił mu, że teraz wracać mają skąd przyjechali, co pocziwca przejęło niemalą troską; miał bowiem smutne a niebezzasadne przeczucie, że wedle obyczaju ojców na granicznym pagórku zgarbują mu porządnie skórę na pamiątkę. Ale co było robić? Musiał zawracać.

Instalujący wice-żupan w najlepsze właśnie przemawiał do gości, kiedy Aszalyi przecisnął się znowu do stołu. Na ten raz przychodził z uśmiechnioną twarzą, przekonany, że wszystkim pojawieniem się swoim sprawi wielką przyjemność.

Pozwolił sobie przeto w środku zdania przemawiać wice-żupanowi.

— Uprzejmie proszę! Zechciej pan nie zamykać jeszcze protokołu!

Wice-żupan spojrział nań groźnie.

— Jakiem prawem pan się poważasz?...

— Zamierzam powiedzieć coś bardzo ważnego! Cofam mój protest i oświadczam uro-

czyście, jako umocowany jaśnie wielmożnego pana Alberta Csollan, że poprzednie moje zastrzeżenie było tylko żartem i nie ma żadnej wagi.

Że teraz za to sprostowanie nie obito Aszaly'ego, prawdziwym było cudem. Wice-żupan rozwścieklony był na niego, ponieważ w mowie swej musiał nowe układać zwroty, starszy notaryusz ponieważ musiał na świeżo układać i spisywać protokół, a wszyscy sołtysi, ponieważ teraz płacić im przyjdzie. To też zewsząd jak grad padały na niego wymyślenia i obelgi.

Ale Aszalyi do czegoś podobnego już jest przyzwyczajony. Kiedy mu porządnie wymyślają, zwłaszcza też w oczy, wówczas on czuje się w swoim żywiole. Dla niego to rozkosz najwyższa! Zniewag czynnych tylko, razów, nie lubił... Jednak i na te się godził, jeśli miał nadzieję, że na nich coś zyska.

Największym jego kłopotem było teraz, gdzie znaleźć piękną panią z ową przyrzeczoną zapłatą?

Nie potrzebował długo czekać; Katinka przysłała mu przez służącego w papier zawinięte dukaty. Woreczka nie dała mu na pamiątkę.

Aszalyi nie dowierzał służącemu i odwinął papier. Prawda, to były najrzeczywistsze w świecie dukaty. Ale czy ich jest pięćdziesiąt?

Jakże tu rachować pieniądze wobec tylu lu-

dzi? Dał sobie przeocież z tem radę: wziął dukaty w jedną rękę i przerzucał je po sztuce do drugiej dłoni, z której znów pojedynczo wpuszczał je do prawej kieszeni. Wstrząsnął głową, naliczył pięćdziesiąt jeden. Zebrał je przeto w dłoń ponownie i po jednym począł wpuszczać do lewej kieszeni. Znów było pięćdziesiąt jeden!

Chciał okazać, jak wielkie ma poczucie honoru.

Póty się cisnął i tłoczył między tłumem, aż się przecisnął tam, gdzie Katinka, Balvandy i kilku polskich panów w jednej grupie stali, rozmawiając z sobą. Dotarł do Katinki i wyciągając ku niej nadliczbowego dukata, który trzymał w końcach palców, wymówił:

— Proszę pani, o jednego było zawiele.

Katinka zmierzyła go od stóp do głowy dumnie, gniewnie, a ponuro ściągniętymi brwiami, i wzrokiem lodowatym obejmując natrętnika, rzekła:

— Nie wiem o czem pan mówisz.

I odwróciła się od niego natychmiast plecami.

Mimo to jednak wielu odgadło, czyjem dziełem było cofnięcie protestu.

A wówczas mógł sobie kto chciał łamać głowę, dlaczego Katarzyna Csollan-Satory naraz taką się okazała życzliwą dla barona Balvandy.

Uroczystość kończył oczywiście bankiet.

Stół zastawiony był tem wszystkiem, co tylko pięć części świata mogą dać najwybredniejszemu podniebieniu smakosza; dla chłopów na dworze pieczono całego wołu, wino płynęło z beczki, panowie zaś tymczasem zasiedli w wielkiej, z desek zbitej sali.

Długość tego drewnianego pałacu, z zewnątrz mierzona, wynosiła jakie dwadzieścia sążni, sala zaś, w której odbywał się bankiet, mogła mieć zaledwie czternaście sążni, z których jeden jeszcze odchodził na pomieszczenie dla cygańskiej kapeli. Ale komuż przyjsćby mogło na myśl dochodzić, co się tam kryje w tej brakującej przestrzeni sześciu sążni?

Poza estradą orkiestry gęstwina sosnowych gałęzi odgraniczała tę przestrzeń pozostałą; całe świeżo ścięte o wysokich pniach sosny ustawione były w ścianę a jeśli kto był ciekawym co się po za tą ścianą kryje i rozchylił gałęzie sosen, zobaczył tylko wielką matę, poprzetykaną gałązkami jałowcu.

Bankiet przeciągnął się do siódmej wieczorem. Wtedy hajducy zapalili świece żyrandolów i zaimprovizowanych z jelenich rogów świeczników. Morze światła nadało uroczystości pozor balowy, a oczy pięknych pań błyskały czarowniejszym jeszcze blaskiem.

I Koloman pośród tej jasności przekonał się, że jemu żadne światło nie przyświeca.

Oczu Katinki już nie spotykał, a przed własnym jego słońcem stawało bezprzestannie inne ciemne ciało: Balvandy.

Począł pojmować i doświadczać tej prawdy, że gotowych już wielkich ludzi ceni się wyżej, niż tych, co dopiero mogą być nimi w przyszłości.

Nudził się... Cofnął się w kąt jakiś, czekając, by ktoś przyszedł spytać go dlaczego jest taki smutny.

Ale nikt jakoś się nie zjawił.

Czuł się dziwnie osamotnionym, jakby niezdrowym. Może to tylko szampan był zbyt mocny?...

Co jest blizkiem nieskończoności? Morze, góry, twarz pięknej kobiety, która ci przyrzeka, że cię kiedyś kochać będzie.

Przychodziło mu teraz na myśl wszystko, co niedawno słyszał od owej drugiej pięknej pani.

Muzyka cygańska, wrzawa w węgierskim, niemieckim i polskim języku, śmiechy kobiet, wszystko ogłuszało i oszalało mu głowę jak jakiś sen niewyraźny. Czuł, że mu było dziwnie niedobrze.

Jakiś nieujęty, nieokreślony pociąg popychał go ku nieznanym za sosnami ciemności i szeptał mu, że gdyby tam się zdołał dostać, zostałby uleczonym ze swego cierpienia...

Naraz rozległ się huk trzech moździerzowych

wystrzałów, poczem z wielkim szumem rozsunała się na obie strony ściana sosen i znajdująca się poza nią, mata niby kurtyna teatru, podniosła się w górę.

Cóż więc było poza nią?

Scena!

Rzeczywista, najprawdziwsza w świecie scena, ze wspaniałemi dekoracyami górskiego krajobrazu, ze szczytami śnieżystemi i ruiną zamku, z wieśniaczemi chatami, u których dachów zwieszają się sople lodowe. A przed chatami stoją grupy mężczyzn i kobiet w polskich strojach, i wraz z podniesieniem kurtyny odzywają się chórem pięknej, rozplamieniającej serce polskiej pieśni...

Jakaż to była niespodzianka!

Scena, teatr, pośród dzikiej pustyni; na granicy Polski i Węgier, gdzie spotykają się z sobą dwa narody i wzajem śpiewają swoje pieśni!

Pieśń przyjętą została burzą oklasków; dyrektor zaledwie zdołał dojść do słowa, ażeby zapowiedzieć, że węgierskie towarzystwo dramatyczne będzie miało honor zebrany państwu przedstawić sztukę Kotzebue'go, pod tytułem: „Maurycy Beniowski“.

W tym dyrektorze teatru Koloman poznał... Borcsay'a.

Kolomanowi zabiło serce gwałtownie. Dla niego była to największa niespodzianka. Potęż-

nemu magnatowi udało się zdaleka, bo aż z Ungvar sprowadzonych aktorów aż do samego podniesienia kurtyny w takim utrzymać ukryciu, że ani jeden z gości nie domyślił się nawet ich istnienia.

I Koloman zobaczył przed sobą człowieka, którego pod groźbą klątwy babki winien był unikać. Głośno bijące serce mówiło mu coś... Tylko, że to tak trudno zrozumieć co nam mówi serce! Byłże to wyrzut: patrz, jak wiernie zastosowałeś się do tego, do czego rozgniewana babka cię znagliła, tak wiernie, że przeszło przez półtora roku nie napisałeś ani jednego słówka do zbiegów, ani razu nie zapragnałeś stanąć gdzieś na ich drodze.

Tyle tylko pewna, że Kolomana pocieszał dziwnie cień sosen, osłaniających róg sali, kędy zajął miejsce na czas kilku godzin, zabezpieczony przed wzrokiem Borcsay'a.

Ale nie było lękać się czego. Aktor ze sceny nie widzi nikogo. Dla niego cały ten zbity w masę tłum ludzi ma jedno tylko jedyne oblicze. Ta twarz olbrzymia śmieje się, płacze, lub gwizdże, kiedy zechce; on jednak ze swojej wyżyny widzi w niej jeden tylko rys wielki, szeroki — szczegółów nie dopatrzy nigdy.

Koloman mógł sobie stać choćby w elektrycznym oświetleniu przed Borcsay'em, onby go nie był zauważył.

Ale skoro przyjdzie tamta, co ma oczy kobiety! Bo to są oczy całkiem innego kalibru.

Koloman drżał i płonął, kiedy zobaczył, że na scenę występuje Cilly.

Zaledwie ją poznał...

Ta bowiem, którą zobaczył przed sobą była natchnioną, namaszczoneą artystką; przyroda obdarzyła ją pięknnością i dźwięcznym głosem. Kto wszakże dał jej to artystyczne świecenie, kto jej rysom tę szlachetną namiętność, jej głosowi tę prawdę sięgającą do głębin serca? Kto ją nauczył w języku ludu przemawiać do ludu, kto tych plastycznych ruchów, tej wytworności niewieściej? Skąd wzięła gust ten w ubraniu, w całym zewnętrznym układzie? Kto jej wyjaśnił, ile na scenie wystarcza, aby akcya stała się sztuką, a nie łamańcami, obliczonemi na zabawę tłumów?

Podówczas nie było jeszcze szkół dramatycznych.

Cała publiczność zachwyconą była, porwaną: węgierskie i polskie panie i ruśniaccy wieśniacy, tam w głębi sali. A przecież i węgierskie i polskie panie rozumiały może z tekstu sztuki tyleż lub niewiele więcej, co biedni Słowacy tam poza niemi.

Koloman najwięcej może był porwanym,

najgłębiej ze wszystkich przejętym. Toż był poetą!

To też nie krył się już w cieniu sosen... Owszem, wysunął się naprzód, aby mózdz lepiej posłyszeć artystkę. Cilly walczyła właśnie z trudnościami długiego monologu. Każdy słuchał jej ze skupioną uwagą. Słowacki chłop zasłaniał ręką usta, aby sapaniem swoim nie mącić ciszy, a polski magnat przykładał jak znawca do ucha dłoń skurczoną, aby nie utracić ani jednego wyrazu wymówionego przez artystkę. W najważniejszym miejscu smętnego tego monologu artystka spostrzegła nagle w parterze twarz jakąś, i w jednej chwili Kamczatka, Kotzebue, wszystko to znikło jej z przed oczu. Z płonącemi oczyma postąpiła o krok ku kinkietom sceny i zawołała w tonie radosnego zdumienia: „Koloman!...“ W tejże samej jednak chwili opamiętała się, zawstydzona, odzyskała napowrót panowanie nad sobą i w dalszym ciągu poczęła wypowiadać żallosny monolog, teraz już jednak z rzeczywistemi łzami w oczach.

Ten okrzyk mimowolny, ten rumieniec pomieszania, ten odzyskany spokój, wszystko to było tak artystyczne, tak porywające, że publiczność była zentuzyazmowana.

A cóż dopiero Koloman!

Jak tylko zapadła kurtyna, przedarł się poprzez barykadę sosen; teraz nie obchodziło go

już nie, co tam powiedzą piękne panie z grona jego znajomych, ani jak go tam w domu przeklinać będzie rozgniewana babka; przedzierał się wciąż naprzód poprzez gałęzie sosen, poprzez kurtynę wprost na scenę i w minutę później płakał już w objęciach Cilly.

Tu dopiero był naprawdę w domu... Tu odnalazł serdeczne, życzliwe, obejmujące go ramiona, które dają miłość, nie w zamian nie żądają.

— O, Kolomanie, o drogi Kolomanie!

— Toć i mnie z niego pozostaw choć cząsteczkę! — wymówił wśród tego głos męski i Borecay z rąk Cilly pochwycił Kolomana w swoje objęcia. Nie mógł się wszakże powstrzymać od robienia ściskanemu przyjacielowi wyrzutów.

— Że też raz wreszcie się spotykamy... Umiałeś się dobrze ukryć przed nami! My ani razu nie posłyszeliśmy nic o tobie. Ty jednak musiałeś słyszeć o nas... Babka zagroziła ci klątwą, jeślibyś bodaj raz miał się zbliżyć do nas, prawda? Tyś poszedł za jej rozkazem. Ale dopóty tylko mogłeś mu być posłusznym, dopókiś nas nie spotkał. Ja to wiedziałem dobrze. Dość ci było zobaczyć Cilly na scenie, a zaraz przepadły twe postanowienia. Przed nią wszyscy padają na twarze, jak daleko tylko byliśmy. Nieprawdaż, co to za artystka! Zdumiewająca! A po

za sceną to takie nieporadne stworzenie, jak pensyonarka. Sam to zobaczysz. Bo teraz zostajesz z nami, dopóki obozujemy w lesie tego waryata barona. To szalony człowiek! Wyrzuca tysiąc guldenów, abyśmy mu dawali przedstawienia podczas jego instalacyi. Co ja sobie robię z jego tysiąca guldenów? Ale przybyłem tu, ze względu na publiczność. Chciałem, abyśmy pokazali się Polakom. Węgrzy nas znają już, Słowaki, Raicowie i Wołosi. Tych już zdobyliśmy sobie wszystkich. Teraz kolej na Polaków! Czekał, o tem opowiem ja ci niemało jeszcze. Bo teraz nas się nie pozbędziesz tak długo, póki tu będziemy. Musimy opowiedzieć sobie wszystko, co przez te dwa długie lata zaszło. No, a teraz idź wracaj między publiczność, a jeśli musisz prosić kogoś o pozwolenie odejścia, powiedz mu, że teraz tylko Cilly może ci rozkazywać. Nieprawdaż, ukochana: ty rozkazujeś Kolomanowi, aby z nami pozostał, dopóki mu znów nie uciekniemy. Widzisz, że ci to rozkazuje Cilly. Jej zaś trzeba być posłusznym. No, zgoda, powracasz? Może tam pośród wszystkich tych arystokratycznych twarzyczek nie ma ani jednej, coby była zazdrosną o ciebie? Tam na dole nie tak to prędko idzie z miłością... Tam trzeba się pierwaj zestarzeć, pierwaj wyrosnąć w znaczenie, zdobyć bogactwa, trzeba przypo-

chlebiać się, trzeba służyć, podpisać kontrakt ślubny, zanim ci wolno będzie kochać. Teraz nie potrzebujesz obawiać się nikogo, teraz jesteś u siebie w domu, wśród swoich... Wracaj więc!

Koloman w istocie doznawał uczucia, jak gdyby tu dopiero był w domu, wśród swoich.

Sufler zadzwonił po raz pierwszy do drugiego aktu, trzeba było zejść ze sceny. Koloman poza kulisami sosnowemi przeszedł napowrót między publiczność.

Tu wszyscy znajomi obsypali go pytaniami.

— Kto to jest ta piękna aktorka, która pana zawołała po imieniu? — spytała młodzieńca starszą księżną, ze ściągniętymi brwiami.

Nadżupan powiadomił już był księżnę kto to taki, widział ją bowiem z panią Jenöi po kilkakroć w teatrze w K. i wiedział, że Cilly jest jakąś *bliską* krewną Kolomana.

Skutkiem tego nikt nie spodziewał się po Kolomanie, jako dobrze wychowanym i obytym w świecie człowieku, innej nad tą odpowiedzi: Jest to *daleka* moja krewna.

— To moja *siostra* — odpowiedział Koloman.

Była tylko jego kuzynką, ale sercu jego sprawiało to wielką przyjemność, że ją kłamstwem

o jeden stopień pokrewieństwa mógł zbliżyć do siebie.

W pobliżu wszakże był Aszalyi, widział i słyszał wszystko i pewnem było, że w domu zdradzi to przed starą babką Kolomana.

Ale któżby teraz o tem myślał?...

Druka M. PODSOŃSKA
Zakład
PUBLIKACYJNY I KSIĘGARNIA
Tel. 623.

BLIŻEJ NIEBA.

Trzeci dzień uroczystości instalacyjnych zajęła wielce bogobojna rozrywka: poświęcenie kościoła.

Nieboszczka ciotka Balvandy'ego kazała w Kordicza zbudować kościół i to poza wsią daleko, wówczas bowiem jeszcze wspaniała świątynia, pośród tych chałup ulepionych z gliny i błota, byłaby dziwnym razila kontrastem. Mówią, że kościół ten kosztował ją dwakroć sto tysięcy guldenów. O tyle mniej odziedziczył po ciotce Balvandy. Przyjaciele jego zwykli byli mu grozić. „Słuchaj, sprawuj ty się porządnie! Bo jeśli się ciotka dowie co wyrabiasz, to gotowa wystawić jeszcze jeden kościół“.

Pobożna pani jednak nie dożyła już poświęcenia postawionej przez siebie świątyni; zadanie to przeto pozostało w spuściźnie siostrzeńcowi. Poświęcenie miało się odbyć za jednym z instalacją zachodem.

Tego dnia rano Banyavary wczesnie zbudził zasypiającego przyjaciela.

— Wstawaj! *Aurora musis amica!* Jutrzenka jest muz przyjaciółką — mawiał nasz dawny profesor. — Ten dzień dla nas jest świętym. Słyszysz? już dzwonią! Ale i tam na dworze wydzwania dzwonek leśny: kukułka. Nie pójdziemy na poświęcenie kościoła. Cóżbyś ty tam miał do roboty? Po co ci gapić się na obrazy świętych, malowanych czy żywych? Jedne i drugie dla ciebie są za wysoko. Nie wymodlisz ich stamtąd... Pójdź razem z nami. Będziemy bliżej nieba; wstąpimy na ołtarz. Czy widzisz tam ten szczyt skalisty, który wschodzące słońce ozłaca teraz? To Ołtarz. Tam dziś dotrzemy: ty, Cilly i ja we troje. Tam będziemy o tyle bliżej nieba, o ile dalej od ludzkich twarzy.

— Dobrze, idę z wami — odpowiedział Koloman.

Cilly cieszyła się jak dziecko myślą tej wycieczki w góry.

— Podaj rękę Cecylce i prowadź ją — zakomenderował Banyavary, kiedy już zebrali się razem.

Koloman zadowolony był z tej komendy, podał rękę Cecylce i pokąd droga dość szeroką była na to, by dwoje ludzi mogło iść obok siebie, szli z sobą ręka w rękę.

Banyavary nie dał się zamysłać swym towa-

rzyszom, ale zabawiał ich przez cały czas drogi nieprzerwaną rozmową.

— Czy przypominasz sobie, Cilly, jak zeszłego roku o tej porze podróżowaliśmy przez Słowackie góry? Od dwóch dni wyszły nam wszystkie zapasy żywności. Od rana do zmroku już niemal nie mieliśmy ani kęsa chleba w ustach, a gdzie nade drogą dostrzeżliśmy jaką jagodę leśną, zjadaliśmy ją, choć była jeszcze zielona. Mnie biegały już ogniste koła przed oczami z głodu. Naraz zobaczyliśmy dwór jakiś koło drogi. Dwór otoczony był wspaniałym parkiem i obwiedziony wysokim murem. Ha! tu mieszkają ludzie! Skoro zaś są ludźmi, muszą żyć jałdem. Wdzieram się więc dalej... Wdrapałem się po murze do ogrodu, przeszedłem przez wartę brytanów i dotarłem do dworu. Tu zastałem idealnie pięknego młodego gospodarza i gospodynię z sercem anioła, ale z garbem na plecach. Przedstawiłem się: „Jestem dyrektorem Banyavary i wraz z moją trupą blizki głodowej śmierci. Moi łaskawi państwo, uratujcie nas dla ojczyzny!“ A! jakaż to była rodość! Zwołano natychmiast całą trupeę, nie puszczono nas przez dni trzy. Czwartego dnia sufler nie mógł mi się już zmieścić w budkę, tak go wypasiono... A ja przez całe te trzy dni zalecałem się do tej rozumnej, zaonej, garbatej pani, pozwalając wza-

jem idealnie pięknemu gospodarzowi wzdychać do Cecylki.

— Dajże pokój! — łajęła go Cilly w żartobliwym gniewie.

— Czwartego dnia wyszli naprzeciw nas z sąsiedniego miasta, dokąd byliśmy zaproszeni, z banderyą; sto wozów towarzyszyło nam do miasta, przyjęto nas wystrzałami z moździerzy jak księcia i mieliśmy już wszystko, czego serce pragnie.

Banyavary dał się porywać własnym przesadzonym opowieściom.

— Słuchaj! — rzekł do Kolomana, stając przed nim i chwytając rękę Cecylki. — Ta „moja królowa“ ma już daleko więcej poddanych w tym kraju, niż rzeczywistość:

— W jakimż ty żartobliwym dziś jesteś humorze, Sandor! — przerwała Cilly.

— Alboż nie mam słuszności? Alboż nie mamy książęcych posiadłości w tym kraju? Nasz jest kraj cały, każda w nim droga, każda ścieżyna!

I zaintonował pieśń ze „Zbójców“ Szylera:

„Swobodne życie więdziemy...“

Przed dochodzącymi już do szczytu góry roztaczały się coraz to nowe widoki. Romantyczne doliny zmieniały się w ich oczach co chwila, niby najpiękniejsze dekoracye.

W jednym miejscu przystanął Banyavary. Stąd widać było całą słońcem ozłoconą dolinę, z rozsypanymi po niej domkami wieśniaków.

— Patrz, kolego, co to za przepiękny obraz! Ten waryat baron sądzi, że rozległy ten kraj-obraz do niego należy, a przecie to nieprawda... Należy on do nas; do niego należy, tylko podymne i potaż tej okolicy, naszym jest zachwyt, który czujemy na ten widok, zachwyt, o którym on nic nie wie. Do niego należy krwawy pot jego poddanych, zganianych na pańszczyznę; do nas, do poety, do aktora należy serce tego ludu... Czy ryczał tak głośno kiedy Słowak, witając swego dziedzica, lub podnosząc na cześć jego wiwaty, jak wówczas, gdy nas darzy oklaskiem? Myśmy magnatami kraju, my: poeta i aktor. Mnie posiadanie ziem nie przywiązuje do kawałka błota, toż kraj cały jest moim, od pokrytych śniegiem łańcuchów gór, aż po gładkie, zielone tafle równin! A spiętrzone chmury, co z drgającymi pioruny pędzą, by posiew pól zniweczyć, dla mnie niosą tylko jedną więcej rozkosz. Mnie jutro nie napełnia troską a jednak walczę o nieśmiertelność. Dziś jestem bogatym, jutro żebrakiem; jedno i drugie jest mi obojętnem. Mnie nic nie obchodzi. Patrz na ten wątły kwiat u twego ramienia; ileż razy opierała ona swą głowę na mojej piersi i spała na łożu osypanem wieńcami; ile razy na nagiej ziemi,

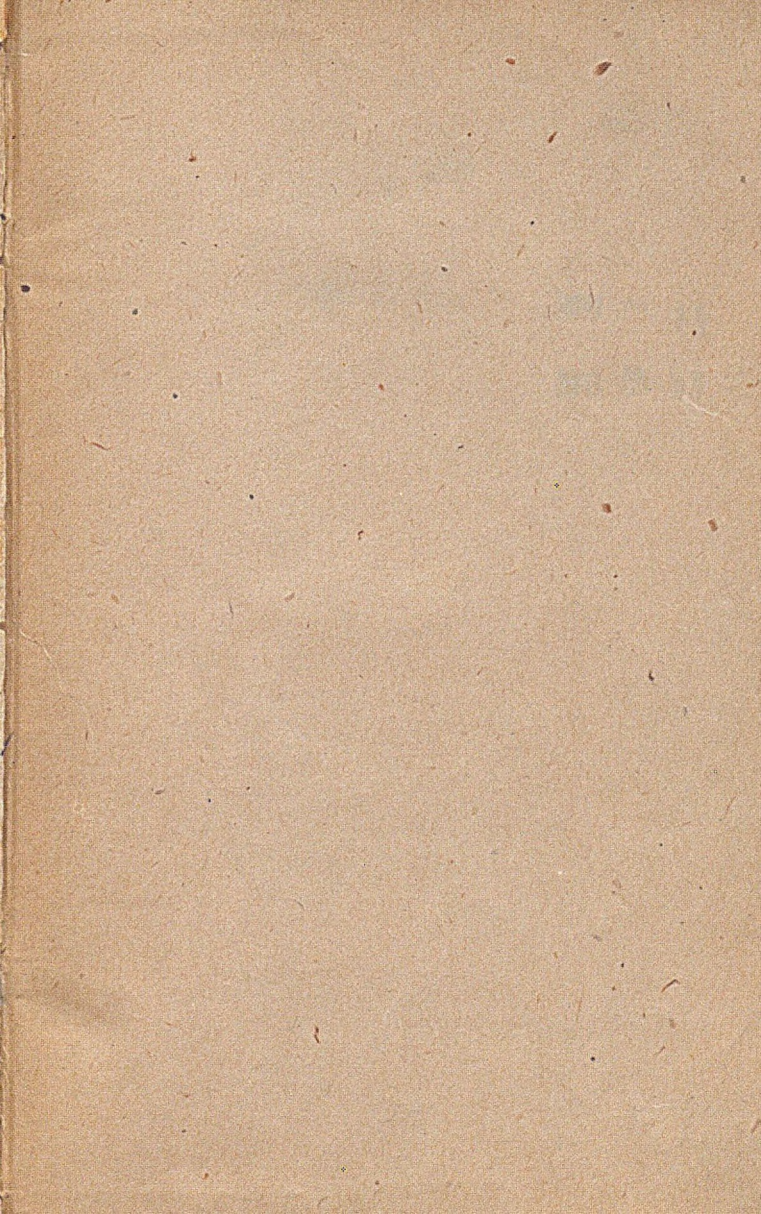
na słomie, pokrytej płaszczem z purpury. To i tamto jednaką było dla niej przyjemnością. A przecież nie do tego ją chowano! Strzeżono i chowano ją do tego, by nigdy ani wiatr, ani ludzkie słowo jej nie dotknęły. O, wierzaj mi, nie to jest szczęściem, by w nocy spać na miękkim, wygodnie zasłanem łożu. Nie to jest życiem, by codnia po trzykroć zasiadać do nakrytego stołu. I nędza ma swoje rozkosze... Tam dopiero, gdzie poczyna się wolność, poczyna się człowiek. Co poza obrębem jej żyje, jest tylko psem, baranem, mrówką, kretem, bydłem chodzącym w jarzmie. Nie bądź ty nigdy panem! Pusty żołądek, to rzecz przykra, ale stokroć przykrzejszą, stokroć gorszą jest puste serce.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

SPIS RZECZY.

	Str.
Proces	1
Fiasco	21
Pierwsze ostrzeżenie	33
Malowidło na słoniowej kości	70
Daleko widząca rodzina	90
Pierwsze „ty“	109
Aryadna	122
Heca	134
Sławny atleta	144
Wstecz, a przecież w górę	155
Pośród tęczy	160
Czyn bohaterski	201
Co się kryje za sosnami	222
Bliżej nieba	242





13/10 47
26.

1999-01-13

05.03.1999

2009-09-02

2011-02-14

2013-03-09

STUDIUM NAUCZYCIELSKIE
w GLIWICACH

Sp 13427